GABRYELA ZAPOLSKA

Rajski ptak



NAKŁAD I DRUK

RAJSKI PTAK

GABRYELA ZAPOLSKA

RAJSKI PTAK

POWIEŚĆ

W TRZECH CZĘŚCIACH

WARSZAWA
NAKŁAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-ka.
1907

1680

(... dla duszy największa pociecha,
Gdy zdoła drugiej duszy odjąć smutku trochę.)

VERLAINE.

I

Adam kawałkiem papieru założył przeczytaną stronicę i Chirurgię Rydigiera zamknął i odłożył na bok.

Ciemnica nocna o szyby biła.

Ścinało mu się serce uczuciem samotności.

— Pójdę trochę... — pomyślał — świeca nie starczy mi na cały wieczór. Gdy tak siedzę w ciemności, fantazya zanadto pracuje...

— A to nie dla mnie.

— Nie.

. . . .

Bo są już takie dzieci, są tacy młodzieńcy, są tacy ludzie dojrzali, którzy o fantazyi nic wiedzieć nie mogą. Idą więc przez życie równo, prosto, za włosy zwłóczą się na to „prosto“, jeśli coś się zamajaczy.

Dopiero nad grobem, gdy są już bardzo starzy — do niczego niezdatni, dla nikogo nieprzydatni — dopiero wtedy...

Ot — nawet i lepiej gdy taki stary cichutko w kącie siedzi, wsłucha się w wicher, albo w trzask drzewa w piecu — ręce przy piersiach skuli, oczy powiekami przysłoni.

— Mówi się wtedy...

— Stary zasnął.

A „stary“ nie śpi! On czuwa, duszę swą zbudzoną na wywiady wysłał po drogach życia, przeczuwa to, czego przez swe istnienie przeżyć nie mógł, garnie się do tego, czego dotknąć nie śmiał.

Zgarniają go ku sobie wielkie idee, tłumy jakieś pełne goryczy otaczają go, on z nimi podnosi pięście, woła — pieni się. Czyny jakieś wielkie, mieczami o tarcze biją... to znów łąka zielona szemrze falą traw posianych, bielą mleczów drżących. I jak jakiś wiosenny, i tęskny śpiew — jakaś harfa srebrna drży w przestrzeni — ręka biała o różowych palcach tych strun dotyka...

I potem olbrzymie wnętrza cichych świątyń — stłumiony głos zakonnic z po za krat, adorujących purpurową gwiazdę kaplicy...

I jeden wielki, rozpaczny głos — za nim, za pozostałym z drugiej strony krat... Głos, który wstrząsa wspomnieniem niedawnych chwil, w których usta przy ustach sączą rozkosz w nerwy, i duszę przejmuje lęk...

O tem marzy starzec „donaszający“ swą odzież człowieka dojrzałego i siedzący tak cicho koło ciepłego pieca, złożywszy ręce na piersi.

A dokoła niego mówią.

— Stary zasnął...

Ramionami wzruszają.

— Ot... stary!...

A on tymczasem szybuje płomiennie po przestworzach dotąd dlań zakrytych...

Choć teraz...

. . . .

Adam idzie z falą ludzi.

Nie umie jednak iść.

Potrącają go, popychają, jak zwykle każde drobne istnienie.

Grzecznie się usuwa, nie pokornie — ale grzecznie...

Pelerynę ma z krajowego wyrobu, a więc wiatrem podszytą.

Ale za to ma ogromne, czarne oczy, bladą drobną twarz, smukłe ciało, i te prześliczne proste rysy twarzy, które zniewalają od pierwszego wejrzenia.

Nie mówi się o takim człowieku „to piękny chłopiec“ — ale — „to dobry chłopiec.“

Dobry chłopiec idzie i myśli. Chciał unormować swój budżet, a nie mógł tego dokazać w ściankach swego pokoiku, gdzie zadużo było wielkiej wiedzy i przeogromnych przyszłych

czynów dla ludzkości. Szło o marne cyfry codzienne. Należało je zbierać i rzucać w tłum nieznany i na grunt neutralny. Wywoływały natychmiast wizyę wuja, wiecznie stroskanego i snującego się po plebanijce nędznej galicyjskiej wioski.

Te trzydzieści guldenów, przysyłanych z pod serca — starczyły na cały miesiąc. Starczyły z trudem.

Należało, aby starczyły bez trudu — bo ten trud przeszkadzał często w pracy.

Czyż tylko trud o te guldeny!...

Idzie Adam ulicą w swej pelerynce i ciągle występuje na jaw jego blada twarzyczka, gdy wejdzie w smugę światła, bijącego z okien sklepowych.

— Mieszkanie osiem guldenów, opał — dwa — obiady w taniej kuchni akademickiej siedem i pół...

Minęły go dwie kobiety. Obie były jasno, pomimo zbliżającej się jesieni, ubrane. Donaszały letnie stroje. Zarzuciły tylko boa na szyję. Spotkały się oczy młodszej z oczami Adama. Roześmiała się.

On — natomiast spoważniał.

Jasno ubrana kobieta rozsłoneczniła się uśmiechem na widok smukłego mężczyzny. A on się jakby cofnął w głąb swej istoty i na twarz jego wypłynął cień melancholii.

Nie obejrzał się.

Szedł dalej prosto — ale myśli jego gzygzakiem pofrunęły w bok...

. . . .

Gdzie są łąki zielone wiosenne czarem, a na nich śnieg mleczów białych się kołysze.

I na te łąki wizyjne spływają korowody dziewcząt, owianych blademi draperyami fałd drobnych, o twarzach, jakby je Fra Filippo Lippi pędzlem swoim rzeźbił.

Są to śliczne, przerzewne dziewczyny, które zdają się spływać w życiu i przepajać sobą atmosferę.

Dziwią się złemu — nie gardzą niem. Do tego, co dobre wyciągają ręce jak do kwiatu, i tulą ku sobie smutki sennych bratków. Białe ćmy delikatne i puszyste tańczą dokoła nich gwieździste desenie. — One idą w błękitnym blasku księżyca, pod deszczem gwiazd, nie mając na ustach nigdy takiego uśmiechu, jaki rozjaśnił wargi przechodzącej kobiety na widok ciemnych oczu chłopca.

Bo choć są powiewne i lekkie, to nic w nich niema przelotnego. Ani drgnienia ich własnych dusz, ani zburzenia dusz drugich przez ich łagodną moc.

. . . .

Idzie dalej prosto Adam, a myśli jego gzygzakiem fruwają znów w bok...

. . . .

Tam gdzie ściele się szumiący kobierzec jesiennych purpurowych liści — tam jest wielki

park obramowany dzidami krat o złoconych strzałach.

Słońce mdleje na horyzoncie i nawet nie zapala na tych strzałach rzędu iskier, któremi w upalne lato żegnało dzień.

Lecz ciepło jest jeszcze i na stawie duże koła zataczają czarne o koralowych dziobach łabędzie.

Szeroką aleją dwurzędową włoskich topoli idzie prosta, smukła kobieta.

Jest odziana w ciemnozieloną wełnę. Suknia jej marszczona od pasa opada ślicznie ku dołowi i wlecze się po purpurze liści zagarniając je, rozrzucając — to znów zabierając w swe fałdy jakby miłosiernie tulące się konające ptaki.

Kobieta idzie — tam gdzie przed nią wznosi się las strzał bramujących park. — Za lasem ciągnie się bezkresna równina. Szare ściernisko, na niem nie płonie nawet perz.

W oddali, bardzo daleko — jakiś krzyż...

I horyzont na którym mdleje słońce.

Kobieta idzie wolno, idzie szlachetnie — nie tłocząc brutalnie ziemi. — Twarz jej wąska, trójkątna, pełna tragicznego odbicia przeżytego wielkiego bólu. Kąciki ust opadły, ręce także linią smutną zwiesiły się ku dołowi. A w oczach ciemnych cała głębia melancholii. I nie można pojąć aby ta kobieta cierpiała tak przeżyciem swych własnych smutków. Ludzkość cała w niej zamyka swą księgę żałobną. Było to wielkie

współczucie smutków wszelkich jakby jej dusza zbierała bóle drugich na wzór szaty zgarniającej ku sobie konające liście.

Powieki jej opuszczone rzucały cień na trójkąt jej twarzy. Był to jakby kwef żałobny wdowy po szczęściu swojem - nieswojem a chód jej był tej, która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego obszaru ziemi.

I wszystko dokoła tej kobiety było smutne, królewskie, poważne.

Nie śmiało się nic, nie szemrało weselem.

Jej namiętność musiała mieć omdlenia skupionych w sobie dusz. Nawet w pocałunku była melancholia bólu nad cudem, który się poczynał wśród łez...

Ta kobieta nie śmiała się nigdy tak, jak uśmiechała się przechodząca spotkawszy oczy chłopca.

To myśli Adam i jeszcze ponadto dziw go ogarnia skąd mu przychodzi ten wykwint duchowy gdy myśli o kobiecie. .

Odwraca się od tych, które rzucają mu brutalnie w oczy swój wdzięk i chcą być kochane. — Dąży myślą w parki jesienne, na łąki wiosenne i najrzadsze, najkosztowniejsze kwiaty garnie ku sobie myślą.

— Tylko taką...—myśli prawie dziecięco, modląc się purpurą warg rozchylonych.

Tymczasem, na ulicy ocierają się o niego wykwintne halki, poematy muślinów, aksamitek,

koronek... Woń perfum smugą bije mu w pierś, on idzie... i myślą błądzi przed kratą parków u skraju łąk...

— Tylko taką...

Tak mało mają dziewczęta Fra Filippo Lippi — lub jesienna wizya parkowa, wspólnego z kobietami, które leczył na łóżkach szpitalnych.

Tak mało wspólnego z dziewczętami, które myją ganki plebanii lub piskliwie wywodzą nieszpór niedzielny.

A on takie kobiety znał tylko żywe. Bo — były w życiu jego jeszcze trupy kobiet, które dysekował.

Milczące, zimne — groźne, tragiczne...

Te trwożyły go zawsze. Ich zamknięte źrenice zdawały się mieć zastygłe łzy, i ręka mu drżała, gdy skalpel zanurzał im w piersi.

Ach! nic więcej — tylko był to błędny rycerz, romantyk, zbłąkany i drogi szukający. Nic więcej — tylko romantyk.

Szły więc kobiety otulone w boa — z włosami w kształcie pasteli z XVIII wieku nimbem nad uśmiechniętemi twarzami. Patrzały na młodego studenta, w pelerynce podszytej wiatrem, i zdawały się mówić.

— Jesteśmy ładne, wybierz sobie którą z nas!...

A jemu dziwno było, że kobiety zajmują tyle miejsca w jego myśli. I to t a k i e właśnie

kobiety. Tamte z parku i z łąki żyły tylko w abstrakcyach, te zaś raziły go i odtrącały.

Po cóż więc myślał o nich?

Po cóż szedł tam, gdzie snują się i zwartą falą ku niemu dążą.

Tyle jest w życiu innych poważniejszych kwestyi, przed któremi stoi jego młodość niepewna i nieznająca nic!...

Czyż tylko — kobieta?...

Zboczył z głównej ulicy, po której snuje się w cieniu jesiennego wieczoru targowisko ciał. Unosi swój romantyzm, który go niejako od tłumu odcina w ustronniejsze ulice, po których snują się rzadsze postacie. Sklepów tu brak. Z parterowych mieszkań czasem przepłynie jaśniejsza struga razem z przyciszoną falą fortepianu. Za koronką firanek płaczą salonowe nokturny, chłonąc w siebie dziewczęce bezbarwne marzenia. Jakaś rezygnacya bezużyteczna wypełnia te zakątki. Czuje się tu identyczne gesta i identyczne myśli — bez pragnień wzniesienia się nad poziom. Adamowi zdawało się, że się zanurza w letnią kąpiel.

— Tak będę musiał żyć! myślał, idąc wzdłuż murów.

Nie sprawiało mu to bólu. Nie szumiały w nim bohaterskie skrzydła. Pojmował inaczej użyteczność swojej przyszłości. Zaczął o niej myśleć — lecz — widział ją mglistą. Wiedział, że musi być użyteczną, i o to się nie sprzeczał ze swem przeznaczeniem.

— Tak będę żył...

Po za nim w pewnych odstępach czasu pędziły wozy tramwajowe. Huk ten potrząsał powietrzem i najeżdżał mu na schylony kark. Purpurowe światło biło mu prawie z pod stóp, bo ulica była wąska i szyny szły obok trotuaru. Gdy przeleciał wagon, Adam mimowoli śledził błękitne elektryczne iskierki, które tryskały z pod kół. Interesowały go, i żałował, gdy znikły. I znów słychać było żałosne nokturny z po za koronkowych, ładnie upranych firanek. Czasem ciemniała rózga chryzantemów, wykwitających z żardinierki. Lecz najczęściej były to krzyże ram okiennych, znaczących się jednaką, jakby więzienną linią.

Adam piął się coraz wyżej ku parkowej górze, która tonęła w mglistych oparach, unoszących się nad miastem. Coraz mniej było przechodniów — wozy tramwajowe przejeżdżały o pustych, jasnych wnętrzach.

— Ojciec mój był lekkomyślny... mignęło nagle przez myśl Adama. Tak zawsze mówi mój wuj, na czem jednak jego lekkomyślność polegała?

— Nie wiem — rozełkało się w nim nagle — nie wiem nic, tylko to, że stoję u progu życia sam i bardzo sieroco...

Starał się w tej samej chwili stłumić w sobie ten ból. Wyśmieliby mnie ci wszyscy, którzy mnie mijają. I to błędne rycerstwo, i ten

romantyzm... Oni wszyscy mają k o g o ś—a czy ten ktoś jest im rzeczywiście potrzebny?

Może i on, gdyby nie był sam, a koło niego błąkało się jakieś istnienie, nie czułby ciepła a przeciwnie doznałby jakby przeszkody... Kto wiedzieć może?

Przed nim od jakiegoś czasu ciemniej, jakaś postać kobieca. Nie opatrzył się, że idzie j e j s m u g ą. Kobieta jest wysoka i szczupła w ramionach. Rzuca na mury dwa cienie.

Jeden niższy i ciemny.

Drugi cień — cienia — wyższy i bardziej przejrzysty. Na kapeluszu jej chwieją się duże czarne pióra.

Takie same pióra widmowo drżą na głowach dwóch cieni.

Adam wpatrzył się w te trzy postacie, idące przed nim. Zajęły go. Suną powoli na jasnem tle ściany. Tramwaj przeleciał — one jakby się zakołysały...

I znów suną dalej.

— Ojciec mój był podobno lekkomyślny... myśli Adam — i patrzy na cienie, na kobietę, idącą przed nim.

Przyśpieszyła kroku, on uczynił to samo. Chwilę później tramwaj nadjeżdżał, słychać było dzwonek, widać czerwoną smugę — kobieta zdawała się zatrzymać... Adam zatrzymał się także...

— Dlaczego ja to robię? — pomyślał.

Lecz poszli znów dalej wolno, wzdłuż murów on — kobieta i jej dwa wierne cienie.

. . . .

Idąc, obserwował ją. Chłonął jakby bezwiednie szczegóły jej postaci!

— Musi być młoda — myślał — szkielet jej jeszcze niezupełnie rozwinięty — głowa mała pomimo skrzydeł kapelusza. Ślicznie opadają fałdy jej sukni. Dlaczego jednak tak niedbale wlecze ją po ziemi? Jest w tem jakieś zmęczenie fizyczne, czy apatya duchowa? Idzie prosto, nie patrzy na nikogo, nie stara się zwrócić niczyjej uwagi. Jest sama i bardzo sieroca... Gdzie idzie, jak senna? Czy czeka kto na nią? Nie śpieszy się jednak. Pnie się ku górze, jakby bez celu. Melancholia smugą wlecze się za nią.

To musi być istota pełna smutku i wdzięku.

Nagle Adam otrząsnął się.

— Znów kobieta? Co ona może mieć wspólnego z memi wymarzonemi, które jedne tylko dla mnie egzystują! Gdybym ją minął i spojrzał jej w oczy, roześmiałaby się tak, jak śmiały się tamte w blasku latarni. Jest mi obojętna. Idę za nią, bo tak mi wypada droga...

A przecież idzie i patrzy. Chłonie znów szczegóły jej postaci i czyta z nich ukradkiem, jakby w kartach niedozwolonej księgi.

— Ręce jej obwisły ku dołowi — białe są, bez rękawiczek. Strój jej przecież jest wytworny. Zwalnia znów kroku, jakby powzięła jakieś

postanowienie. Tramwaj nadjeżdża... dzwoni gwałtownie, łuna bije — co to? — kobieta zbacza z chodnika... na szyny?... czyżby...

. . . .

Jedno silne pociągnięcie ręki i kobieta powraca do normalnej linii.

Tramwaj przejechał — błękitne gwiazdeczki migocą w ciemni i oddalają się smugą, ale Adam wciąż trzyma prawie brutalnie ramię kobiety i w astrakan jej żakietu zanurza febrycznie palce.

— Co pani?... co?...

Jest tak wzruszony, jak ona. Przed nimi boczna jama małej uliczki. Daleko pali się naftowa latarenka. Bezwiednie oboje kierują się w ten cień.

— Co pani?

Ona nie odpowiada nic. Opuściła głowę. Skrzydła czarne kapelusza i pióra otuliły ją. Nie widać nic prócz delikatnej linii białej, jakby porcelanowej brody, tonącej w puchu czarnego boa. Broda ta drży. Słychać także przyśpieszony oddech. Delikatna woń szkarłatnej koniczyny unosi się z piór i futer.

— Pani chora... ja panią odprowadzę...

Coś płynie srebrnego z pod skrzydeł czarnych, coś opada na futro, drży iak rosa na czarnych irysach i znika.

Jakby — duże, gorące, kobiece łzy...

Adam na łzy te patrzy — pije je wzrokiem. Nie wie co powiedzieć. W praktyce

swej szpitalnej otaczały go całe łańcuchy nędz fizycznych. Tu stoi wobec jakiejś tragedyi odzianej w dostatek, tragedyi moralnej. Romantyzm jego roztapia się w bezsilnem współczuciu.

— Pani pozwoli... ja odprowadzę...

Łzy ciche przechodzą w spazmatyczny płacz. Jakaś, jakby ulga z tym wybuchem spływa, nieznajoma przez jedno mgnienie oka podnosi głowę i ukazuje nieziemskiej piękności twarz młodej dziewczyny o rysach delikatnej muszlowej kamei. Płacz nie wykrzywia jej lica — przeciwnie uduchowia je do najwyższej potęgi. Białka oczów błękitne opłynięte łzami błyszczą dziwnie z pod długich rzęs. Jakiego koloru są oczy — nie dostrzega. Wie, że są to dwie głębie, które na niego patrzą. Chwilę jakby go przeszyły całego i po za nim jeszcze coś dostrzegły.

I już wyciąga się ręka chuda, nerwowa, delikatna.

Ręka ta wyniosłym gestem usuwa z drogi studenta.

Bez słowa, bez czegoś, coby zbliżyło ją tak losem zbliżoną ku niemu — kobieta zwraca się ku oświetlonej ulicy i uciekać zaczyna. Biegnie lekko, rozpaczliwie — jakby teraz ten mężczyzna, który ją wyrwał z pod kół tramwaju był dla niej jeszcze większem niebezpieczeństwem.

Adam widzi, jak przebiega ulicę, rzuca się w jakąś przecznicę i — niknie.

Sekunda — niema jej, niema jej łez błyszczących rosą na tle futra, niema jej cudownej twarzy, wyniosłej postaci, jej rozpaczy i buntu, i jej dwóch cieni wiernych, z których jeden był jej siostrą bliźnią, a drugi zdawał się być aniołem czarnym, przejrzystym — w ślad za nią sunącym.

II

Mieć lat dwadzieścia cztery i tak dużo tego, co ludzie zowią „sercem“ — a co jest przekleństwem, mieć mały, chłodny pokoik, być źle odżywianym, przepracowanym, i nagle pozostać z wizyą niespodzianą, która się objawiła czarnym ptakiem, przecinającym szary i bezbarwny widnokręg życia.

A ponadto wszystko mieć d z i w n e usposobienie. Tak przynajmniej ludzie nazywają młodego chłopca, który przyszedłszy do kawiarni, z wyrazem nudy patrzy na marmur stolika, sączy powoli podany napój — który nie pławi się w dwuznacznych słowach i równie dwuznacznych gestach, zwątpienia swego nie wypluwa z butą histeryka w twarz słuchaczom, i w noc ciemną, gdy inni giną w uchylonych gościnnie drzwiach spelunek — on do domu wraca.

A wraca, niosąc w piersiach nie rozwichrzone, lecz jakby wsączone to, co życie mu dało z lepszych objawów... i to, co życie ma w sobie na dnie.

Gdy taki d z i w n y chłopak pozostanie sam, on to wszystko ,sortuje, zestawia — odrzuca precz.

I myśli.

— To poniosę ze sobą, a to mi niepotrzebne.

Adam jest właśnie ten „dziwny“ — źle odżywiany i smutny chłopiec. Absynt w kawiarni rozlewa po marmurze stołu i zwątpienia swoje kryje na dnie, czekając na objawienia, które zetrą się z niewiarą i może ją zwyciężą.

Długo marzył o tem, co daje rozkosz pieszczoty kobiecej. Była to jakby lampa, płonąca w świątyni jego życia. I nagle, brutalnie ocknął się z dwojgiem ramion zarzuconych dokoła szyi. Rozrzucony warkocz pachnął rozmarynem. Porwała go szalona melancholia straconej wielkiej pociechy. Uciekł z goryczą w sercu i ustach...

I od tej chwili żył pomiędzy dziewczętami Fra Filippa i damą w ciemnej wełnie, zgarniającej ku sobie liście jesienne i smutki ludzkie.

W wąskim jego pokoiku zaludniło się przecież.

Tego wieczoru przywiódł ze sobą wrażenie niezwykłe, które przepoiło go na wskroś.

— Dlaczego chciała t o uczynić? — myślał ciągle.

Przez ścianę dolatywały go głosy. Gospodarz jego rozmawiał ze swą żoną. Ludzie ci mówili półgłosem, ale ściana była drewniana,

i od czasu do czasu wpadał jakiś wyraz. Adam uczuwał zawsze pewien rodzaj grozy, gdy słyszał te szepty. Znał źródło tej cichej, spokojnej fortunki, która dozwalała im hodować kanarki i kwiaty na oknach czyściuchnego mieszkanka.

— To jest dno życia!... — pomyślał.

I znów mignęła przed nim kobieta, zbaczająca na szyny tramwaju i jej dwa cienie.

— Czy byłaby i ona na dnie życia? — pracował jego mózg — czy w ten właśnie sposób tylko mogła wydostać się na gładką i spokojną równię?

Stanęły mu w oczach szeregi samobójczyń, które leżały przed nim nagie i ciche na stołach szpitalnych. Były to ubogie kobiety, sługi zjedzone fosforem, szwaczki topielice — jakieś dziewczęta *wesołe* — a tragicznie podwiązane sznurem, na którym zawisły.

Żadna z nich nie miała tej szlachetnej rasy, tej nerwowej piękności, która aż biła od nieznajomej kobiety.

— Ona coś chciała powiedzieć!...— tkwiło mu w myśli — coś uderzyło we mnie, gdy spojrzała w mą twarz. To były jej niewypowiedziane słowa, nic innego...

— Czy chciała mi podziękować? czy chciała mi złorzeczyć za to, że jej przeszkodziłem. A może... o parę ulic doprowadziła swój zamiar do skutku?...

Aż w nim się coś szarpnęło i krzyknęło rozpaczliwie na tę myśl, tak bardzo logiczną.

— Chciała się zabić koniecznie... a więc...

Jedna, bezkształtna masa na szynach, krwią zbroczone ręce białe, nerwowe, zmiażdżona cudowna twarz...

I dalej — uciekał tramwaj, siejąc błękitne gwiazdki.

Nad samobójczynią — schylone dwa czarne cienie. Jej własne cienie!...

Adam porwał się z krzesła.

Uczuł gwałtowną potrzebę otoczyć się ludźmi. Ich choćby bezmyślne gdakanie może odpędzi to przypuszczenie. Nie chce go, jakby zdjęty zabobonną trwogą — że na odległość wywoła sprawdzenie się krwawego faktu.

Wchodzi do wąskiego przedpokoiku, w którym wiszą potrzepane właśnie rano i przygotowane na letnie przechowanie futra, i puka do drzwi sąsiednich.

— Cisza — i nagle głos kobiecy, jakby strwożony.

— Kto tam?

— Ach, nie lękajcie się — to ja... Walkiewicz.

— Proszę wejść.

Adam otwiera drzwi. Ciepło na niego bucha z cichego wnętrza dobrze uprzątniętego pokoiku. Przy stole jeszcze, jakby strwożona, stoi niemłoda kobieta o zgarbionych plecach i łagodnej twarzy jednobarwnej — jakby bez krwi kropli. Oczy spłowiałe patrzą z pod brwi ściągniętych.

— To pan?...

— Ja... słyszałem głosy państwa.

— Mąż w tej chwili poszedł do sypialni. Kładzie się spać. Niech pan siada...

Wszystko tchnie tu spokojem ludzi drobnych, którzy wydarli losowi na starość ten kąt dla siebie i dla swoich ptaków. W kącie klatka z kawkami, przysłonięta kawałkiem zielonej kitajki. Na stole koszyczek z robotą — świeży dziennik. Z uchylonych drzwi sypialni widać migoczącą lampkę przed obrazem świętym.

Adam patrzy na właścicielkę tych sprzętów, kawek i tego spokoju — i znajduje w geście jej rąk opuszczonych tę samą dziwną rezygnacyę, jaką miała idąca przed nim, niedoszła samobójczyni, a w ślad za nią dwa cienie.

— Czyżby i ona była zgnieciona zależnością od swego przeznaczenia—i zrezygnowana... pomimo śladów walki, jakie nosi na swej duszy...

Tymczasem kobieta siadła przy stole. Trwoga jej minęła. Sięga po robotę.

— Przeszkadzam pani?—pyta Adam.

— Nie. Mąż kładzie się wcześnie. Ja sypiać nie mogę.

Zacięła usta.

— Dlaczego!...

— Ach, nic! Dawniej było gorzej. Nie sypiałam zupełnie. Teraz godzinę, dwie...

— Trzeba się leczyć.

Milczenie.

I on to powiedział bez przekonania. Słyszał ją nieraz, jak chodziła w nocy — snuła się za ścianą, szemrząc filcowemi pantoflami. Na ten brak snu nie było w medycynie nasennego środka. Sumienie ich nie zna. Łka, krzyczy... a najstraszliwiej milczy.

Adam patrzy na pochylone nad robotą czoło kobiety. Cierpi ona bezwarunkowo moralnie wielkie tortury. Czy te moralne katusze, które zadaje sumienie kobiecie, mogą ją doprowadzić do samobójstwa?

To zaczyna tak nagle pożądać w nim odpowiedzi, że wpierw, nim zdołał sformułować swe słowa, już słyszy swe pytania.

— Proszę... niech mi pani powie, jakie powody skłaniają najczęściej kobietę do odebrania sobie życia?

W mlecznem świetle skromnej, oszczędne lampy, biegnie ku niemu strwożone spojrzenie wypłowiałych źrenic.

— Po co to panu?...

— Wiedzieć muszę...

— Dlaczego się kobiety zabijają?

— Albo c h c ą zabić?

Milczenie.

Tylko w sypialni jakiś szmer — jakby ktoś posuwał się ostrożnie po pokoju.

— Nie odpowie mi pani?...

— Ach, Boże!... skąd ja o tem wiedzieć mogę.

— Każda kobieta, która dużo przeżyła, wie, co inne w sercu mają.

— Nie... nie...

Spłowiałe źrenice coraz nieufniej od Adama odbiegają.

— Zresztą pan wie lepiej — pan doktor przecież. Adam uśmiecha się gorzko. Był przy dysekcyi tylu samobójczyń — to prawda. Ale — najczęściej wiedział, że miały mózg przekrwiony.

Nic więcej...

Serce ich, to serce duchowe było już zamkniętą księgą... do niego skalpel dojść nie mógł.

— Nie wiem nic, zapewniam panią.

— Pomimo, że pan doktor?

— Może właśnie dlatego.

Milczą chwilę — ale on znów zaczyna nalegać, choć czuje, że popełnia jakieś okrucieństwo.

— Nie powie mi pani?...

— Nie wiem... nie wiem... Sądzę, że z miłości.

Jakieś uczucie, jakby gorącego żelaza w piersi, przejmuje Adama.

— Czy zawsze?...

Kobieta uczuła, iż teraz ona sprawia jemu przykrość. Z chęcią zemsty, powraca oczami ku niemu.

— Tak... zawsze!

Głos jej brzmi teraz rzuconem wyzwaniem. Coś się w tej atmosferze ściera. Tych dwoje ludzi dobrowolnie zaczynają się ranić.

— Przecież—po chwili podejmuje Adam— są inne uczucia— żal, zawód materyalny, obawa cierpienia fizycznego — poczucie zależności...

Ona potrząsa głową.

— Nie, nie... wierz mi pan. Zawsze musi być na dnie miłość. Tamto wszystko to dla mężczyzn. Kobieta zabija się tylko z miłości...

Do tej chwili mówiła cicho. Przy tych słowach podniosła jakby bezwiednie głos. I zaraz umilkła jakby przerażona, rzucając wejrzenie na drzwi sypialni.

Adam podniecony tą walką, której prąd ogarniał go — zawołał.

— A... jeśli kobieta popełni jakiś czyn, zły czyn — szkodliwy i występny... czy wtedy zdręczona nie zechce...

— Co? co?...

Kobieta rękę po czole przesuwa. W białem świetle lampy wydaje się alabastrową maską. Znać, że siła woli ją opuszcza. Lecz — z sypialni wysuwa się niski mężczyzna, zaledwie odziany, mający długie ręce i krótkie nadmiernie nogi.

Coś z orangutanga jest w linii jego ciała. Wchodzi — skinieniem głowy wita Adama.

— No... matka... spać!... — mówi niskim, gardłowym głosem.

I obchodzi dziwnym, kołyszącym się chodem pokój, jakby coś zbierał, coś gnał przed sobą, co tylko dla niego widzialne.

Adam wstaje i wychodzi do swego pokoju. Wie, że już się nic nie dowie — że Minzowa milczeć teraz będzie gdy on się pojawił i napełnił przestrzeń swą widmową postacią. Ten człowiek zjawia się zawsze — nie wchodzi, jak przeciętny ktoś zwykły. Ni to postać z Odillon Redona, Sznajdra, Ropsa — ni to zjawa wizyonera mózgiem spłodzona. Szepce, snuje się, kołysze swą głową obrosłą silnym, ciemnym włosem i swe długie ramiona, zakończone żylastemi rękami, które zawsze zdają się spełniać jeszcze posługi śmiertelne dokoła niezastygłych trupów, patrzących na niego szklannemi, załzawionemi źrenicami.

. . . .

W pokoju Adama dogorywa świeca i przez źle dopasowane okno jesienna noc się wdziera...

— Powiedziała, że tylko miłość... — myśli Adam, siadając przy stole nad rozłożoną książką

— Tylko miłość...

A więc ta nieznajoma o dwóch cieniach wiernych i rozwiewnych musiała kochać i przez tę miłość chcieć umrzeć. Dlaczego innego — nie... Tylko przez miłość?...

Adam tak myśli a przecież w nim coś krzyczy, iż tak nie jest, że nietylko miłosny zawód rzucał tę kobietę pod koła wagonu.

Na opuszczonych jej rękach ciężyła zbyt wielka jakaś moc czarnych przeznaczeń. Tego gestu nigdy najsilniejsza miłość dla mężczyzny wywołać nie potrafi. Tak idą kobiety gnane tragiczną siłą fatalności, która ciężarem je tłoczy tak strasznym, że już tchu niema prócz tego wyzwolenia w spodziewanym niebycie.

— Raczej to — odezwało się w Adamie,— raczej to...

Za ścianą słychać było delikatny szmer kroków. Ktoś sunął się po pokoju, miarowo, delikatnie.

— Minzowa... rozpoczyna swą wędrówkę nocną — pomyślał Adam.

I wyobraził ją sobie zgarbioną, bezsenną, błyskającą bladą maską w oświetleniu nocnej lampki w cichej przestrzeni czystego pokoiku.

Chodzi jak automat i ręce jej zwisają po obu stronach ciała takim samym gestem jak zwisały ręce tamtej kobiety.

— Dlaczego ona prawdy mi nie chciała powiedzieć—dlaczego mówiła, że to może uczynić kobieta tylko z miłości?...

Przeciągle rozegrał się wicher i zakołatał do okna. Na ulicy zagasł nagle gaz, resztka świecy sycząc rozpływała się w lichtarzu. Daleko, w ogrodach szpitalnych szumiały jeszcze liśćmi pokryte drzewa i szum ten w ulice wpływał.

— Tamta musiała chcieć umrzeć nietylko z miłości... — myślał Adam.

I w tym zapewne jakąś pociechę znajdował.

Pociechę?

Po czem, lub w czem.

Nie wiedział sam. Czuł jednak, że w nim coś cierpiało, że musiał coś znaleźć, aby to cierpienie uciszyć.

Tak — czuł.

III

Wiedział, że u niego zimno, smutno — smutniej, niż kiedykolwiek, i że wieczorem słyszeć będzie znów szepty tajemnicze Minzów za ścianą — a potem szelest jej kroków bezsennych i szum wichru drzew szpitalnych ogrodów...

Dawniej znosił łatwiej te wieczory samotne, zimowe, zapowiedzi długich ciemnic bez światła, gdy pod koniec miesiąca już pieniędzy nie starczy.

Lecz od wczoraj coś się w nim przełamało. Do zwykłych myśli, które tworzyły jego świat spokojny i tylko zygzakami wybiegających w krainę fantazyi — przybył jakiś ból, coś, co go dławiło niepokojem.

— Pójdę... gdzieś grają „Śmierć Azy"— chcę to znów usłyszeć... kocham, gdy mi tak łkają skrzypki i głos czepia się powietrza.—Tak umierają suchotnice w separatkach szpitalnych, podczas gdy zakonnica zapala światło na ołtarzyku, przybranym w przyniesione przez odwiedzających chryzantemy.

Tylko, że Grieg słyszy coś więcej, niż my w ich łkaniu i oto — płaczą skrzypce śmiercią człowieka...

— Pójdę posłucham.

Do białej sali Filharmonii ma Adam wstęp wolny. — Drugi sekretarz, młody, żywy chłopiec jest mu przyjazny. Uśmiechem wita go.

— Dobrze, żeś przyszedł — o n gra bajecznie.

Adam nie wie, kto jest ten o n, który właśnie wchodzi na estradę, witany salwą braw. Adam patrzy mu tylko na ręce, na te skrzypce, które za chwilę płakać będą ludzkim głosem. Może tam, gdzieś w szpitalu właśnie w agonii leży jakaś kobieta. Duch jej nie zna już czasu, przestrzeni. Przywieje do tej lśniącej od świateł sali i nagi — bezbarwny dyszeć będzie ciężko, łkać, jęczeć — po strunach innych dusz drgać ostatnią skargą.

Dokoła — wyprostowane siedzą postacie ludzkie — sznurem jeszcze dążą inni do swych miejsc. Nad nimi wiszą grona złotych świateł i mieszają się ciemno-zielone draperye. Jest to jakby grota lodowa, w której cudem rozkwitły złote jagody, okryte ciemnymi liśćmi winogradu. Ruchoma fala ludzka zaległa jej dno. I szemrzą i kołyszą się z gracyą istot, mających kulturę gestów i dźwięków głosu. Zwłaszcza kobiety w tem falowaniu niosą swą siłę wdzięku i piękna. — Przeważa puch piór i futer. Z tych fal wynurzają się szyje, odkryte przez wysokie

podniesienie włosów. Kaski ciemne, jasne — falowane kryją czaszki. Płynie z nich woń, ta sama co z tych boa, które tak pokornie szyje im pieszczą delikatnem, ciepłem dotknięciem.

Adam patrzy, jak setki rąk, obciągniętych białą skórą — w bezmyślnym geście uderzają jedna o drugą. — Nie jest to nawet ten wykwit ludzkiej dobroci, która każe uprzyjemnić jakiejś istocie choćby jedną chwilę — nie jest to odruch szału krwi podnieconej, ani potrzeba okazania wdzięczności za doznane wrażenia — jest to jakiś z góry umówiony ruch pędu tłumu, który mimowoli zatraca swą indywidualność i przybiera ogólną cechę najwygodniejszą i najłatwiejszą do wykonania.

— Jak one wszystkie podobne do siebie...— myśli Adam.

— A jak niepodobne do moich dziewcząt Fra Filippa i do kasztelanki, idącej ku rzędowj dzid złotych, i do...

Trzy cienie przemknęły jakby po sali.

Były czarne — wiotkie. — Miały opuszczone ręce, dusze w nich jakby marły z wycieńczenia.

— I do nich...

Tak dokończyły jego myśli.

Skrzypce już rozwiały się masą tonów jakiejś kunsztownej sonaty.

— To nie dla mnie, nie moja muzyka...— myśli Adam — moja przyjdzie. Dusza, która za

chwilę tu konać będzie jeszcze trzyma się nici życiowych.

Kobiety zaczynają się już nudzić. Prędko — ale tak bywa. — Ten na estradzie nie jest zbyt piękny. Ma pozór parobka. Osądziły go prędko. — Tem bardziej, że w tej chwili jest tylko wirtuozem. Popisuje się przed niemi ilością przegranych w życiu ćwiczeń. Nic im nerwów ani duszy nie targa. — Są to wrażenia czysto zewnętrzne. A więc się nudzą w swych futrach i piórach, które im tak delikatnie pieszczą szyje.

Adam odziany nie wytwornie ale wystarczająco, stoi na tle białego filaru i odcina się tak samotnie, wyróżniając się wśród tłumu. Nie jest na estradzie, nie popisuje się „sprawnością techniczną"—ale jest młody, jest smukły— ma śliczne drobne usta, proste rysy i duże marzące oczy. — To ma, jeszcze ten czar romantyzmu, który zawsze będzie miał wdzięk niepokonany w otoczeniu dekadenckich, chorobliwych istot, kryjących w udaniu arystokracyi duchowej—bankructwo swe życiowe. I dlatego powoli — w stronę Adama, w posyłki jak gołębie — płynąć zaczynają wejrzenia kobiet, przyćmione rzęsami i udaną lub prawdziwą pruderyą.

Jak łabędzie swe szyje w słoneczną smugę, tak i one wynurzają swe szyje z obramowania puchów, a twarze ich przygaszone pudrem, zwracają się w stronę Adama.

On — juz na nie nie patrzy, ręce skrzyżował na piersi — spokojny i nieruchomy. Wie — i czuje siebie małym, drobnym, nic nieznaczącym zewnętrznie, i stara się zabrać jak najmniej miejsca, aby w ten sposób, ocalić swój wewnętrzny świat od zniszczenia przez niebaczne jakieś, brutalne, a niespodziewane fakty życiowe.

— Nie mogę dać nic nikomu ze siebie — myśli, — nie chcę przyjmować nic od drugich. Kiedyś... gdy będę tak duchowo usposobiony i bogaty, że będę mógł czynić innych szczęśliwymi — stanę się śmielszym, wiedząc, że nie pozostanę dłużnym. Dziś — muszę pozostać na uboczu...

A przecież kobiety patrzą na Adama, i to z upodobaniem. — Sonata ma się ku końcowi — smyczek tryumfalne tony wyrzuca w powietrze. Za chwilę — ucicha.

I znów setki rąk identycznym gestem szeleszczą brawami. — Wirtuoz ze skrzypcami pod pachą kłania się. Na smyczku błyszczy przepyszny brylant, na piersiach dzwonią ordery.

— Dusza konająca... gdzie ta smutna dusza — myśli Adam.

. . . .

I oto jest...

Przywiała.

Ach! pod lodową grotę, gdzie zwisają złote grona świateł, okryte ciemną zielenią.

Ach! nad głowy tłumu, który nagle znieruchomiał, skarlał, zesztywniał w liniach rozmodlonych pielgrzymów.

Ach!... obok serc, które drżą trwogą śmierci swojej i tych, z którymi nici ich życia związane są każdym nerwem i każdym przejawem ich ducha.

Ach! i po nad ciałami ich, z których każde choćby śniegiem i kaliną wdzięczyło się pięknu — ma w sobie zaród śmierci.

Ach! i nad melancholią bezdenną ich czynów dobrych i złych, z których każdy nosi w sobie ukryte piętno bezsilności wobec mocy przeznaczenia.

Po nad tem wszystkiem — rozwiała się pieśń pożegnania — pieśń rozpłynięcia się w nicości, lub w początku rzeczywistego Bytu, pieśń rozwichrzona rozpaczą za tem co było, i trwogą przed tem, co będzie...

I ta pieśń nie była różną dla każdego zgonu. — To była pieśń jedna dla wszystkich zgonów—bo śmierć jest jedną. . bo każdy z nas jednako umiera. I w tej sali tak jasno oświetlonej, tak przepojonej zapachem kwiatów i kobiet, każdy z tych ludzi przeżywał śmierć swoją, i konał, i lękał się — i jeszcze słabym tchnieniem zdawał się mówić.

— Jeszcze jestem!...

. . . .

Adam oczy w grającego wbił. — Brylant na smyczku migotał gwiazdą w przestrzeni.

Ten człowiek był w tej chwili piękny i oczy jego piły z powietrza agonię rozełkanej duszy

W tej chwili kobiety konały z nim i kochały go. — Ze stron ich siły życiowej zdały się być skręcone struny jego skrzypiec. Brylant miał odblask ich łez, tych łez, które zastygać będą w kątach ich źrenic cudownych.

Powiało grozą — trumną — konaniem. Rozełkała się rozpacz rozstań rodzinnych, lub śmierci samotnych. W oddali zajęczał puszczyk, stróż opuszczonych katakumb, zaświeciła lampa podziemnej kaplicy...

Nagle — Adam uczuł, że ktoś na niego patrzy.

I musiała być ogromna siła tego wzroku, skoro zdołała wyrwać go z koła, które muzyka zataczała. A może i w tym wzroku tkwiła część tej śmiertelnej harmonii, bo Adam sam nie wiedział, czy było to kontrastowe wrażenie, czy właśnie dopełnienie poprzedniej sensacyi.

Odwrócił się powoli — i pozostał już tak nieruchomy, nagle pobladły — z rysami twarzy, jakby wyciągniętymi i zaostrzonymi nagłym przestrachem.

O kilka rzędów krzeseł — tam gdzie roztaczało się puste miejsce niezajętych foteli — siedziała obecnie para ludzi.

Kobieta i mężczyzna.

Ona było rozwianiem gaz nieuchwytnego koloru, jakichś pasteli, narzuconych siatką koronek.—Cała była zresztą delikatna i blada w kolorze. Tylko włosy jej były czarne, tą prawie

niezdrową czarnością, która aż boli tych, którzy się w nią wpatrują. — Zdaje się bowiem, że te włosy wypiły z ciała wszystek cień, i pozostawiły smutną, jednostajną, żółtawą biel pergaminu.

Kobieta była tak białą, i tak czarną.

Rzec można było o niej, że jest to symfonia „en blanc et noir". — Oczy, ogromne duże plamy, czerniały także zdaleka. — Oczy te wbite w tej chwili w Adama zdawały się przenikać go do głębi...

Była to kobieta o dwóch cieniach. Adam poznał ją natychmiast. Nie twarz go uderzyła, lecz jej wyraz. I w tej chwili zdawało się, że kobieta owa chce coś mu powiedzieć, co uderza go tak silnie, iż znieść nie jest w stanie. Nie była to prośba, nie było to wytłómaczenie, to był jakiś rozkaz, który posyłką leciał...

Muzyka cichła, konała. — Jeszcze się zrywał jeden jęk... jedno „jestem jeszcze!..."

I z czarnych oczów kobiety wypływało spojrzenie — „jestem jeszcze... żyję..."

Adam oddychał ciężko. Sala znikała mu z przed oczów. Nie marzył o spotkaniu nieznajomej, a już najmniej o spotkaniu jej w koncertowej sali. Łączył ją z wrażeniem, tragicznej jakiejś grozy niedoszłego samobójstwa, rozwianych szat żałobnych, pomykających za nią cieniów.

Ma ją przed sobą, patrzy na niego uparcie i w tych oczach, które widział przez sople łez—

migoce coś dziwnego... coś, jakby nienawiść, jakby jakieś zuchwałe wyzwanie.

Szykownie gazami i bielą rękawiczek ubrane ręce, złożone ma na kolanach. Bawią się wiązanką kwiatów różowych. Nie mają w sobie ani śladu owego opuszczenia fatalnego, którem wczoraj znaczyły swe zgnębienie...

A przecież to... ona — nikt inny tylko ona!

— Kobiety zabijają się lub usiłują się zabić... — dlaczego — myśli Adam — dlaczego...

Teraz — nie wie! nie wie już nic.

Tamta wlokąca się tuż obok linii szyn tramwajowych — mogła chcieć umrzeć dla jakiejś wielkiej idei zniszczonej, dla melancholii wynikłej z pastwiącego się nad nią losu — z pogardy wreszcie dla czynów swoich — lecz ta...

Ile w niej zuchwałej energii! Oto — teraz oderwała od niego oczy i patrzy po całem zgromadzeniu. Kąciki jej ust opadły ku dołowi.

Jest śliczna ale zarazem nieprzenikniona. Rzecby można chwilami, iż walczy ze sobą, ażeby się nie dać opanować wzruszeniu, które wywołuje muzyka. — Ma pozór istoty żywej, która nienawidzi śmierć, odpycha myśl o niej... — Wreszcie jedno jeszcze westchnienie skrzypiec i następuje wielka cisza.

Była to próba konania. Dusza pasowała się z tą mocą przeogromną. — Życie zwyciężyło. Lica kobiet rumienią się, usta oddychają z ulgą. — Mężczyźni pochylają się ku

nim. Jak dobrze jest żyć, gdy było się u skraju grobu.

Kobieta spowita w gazy, jedną sekundę patrzy z pogardą po tych ludziach, którym tak śpieszno powrócić z nad brzegów grobu. — Ona zdaje się już coś więcej wiedzieć. Ich zaprowadził duch pieśni po nad ich mogiły. Ona tam poszła dobrowolnie. Czarne jej oczy mają hart stali. Patrzy i kieruje ku sobie spojrzenia. Adam widzi, że niemal wszyscy usiłują ją dojrzeć, że pokazują ją sobie. — Z łatwością rozbawionych papug, już wracają do drobiazgów rzeczywistych.

Piękna kobieta, blada w swych gazach, zajmuje ich obecnie. — Nie czują nawet, jak są wobec niej brzydcy i śmieszni — myśli Adam — ona jest jeszcze dalszym ciągiem tej śmiertelnej pieśni...

Jest jakby śmiercią samą.

. . . .

I tem mu jest dziwną, i tem mu jest niepojętą. A przecież zaczyna w niej powoli odnajdywać tę samą, która wczoraj odepchnęła go rozpaczliwym gestem, uciekając w ciemnię. Przed chwilą, gdy patrzył na nią jak ten, który ją poznał, który posiadł jej wielką, straszną tajemnicę — odepchnęła go wzrokiem prawie nienawistnym.

Tym samym wzrokiem odpycha od siebie spojrzenia tłumu. Co więcej, prostuje się,

podnosi głowę — zagryza usta. — Nieopisana ironia wykwita jej na wargi.

I pochyla się do swego towarzysza...

Zaczyna z nim mówić.

Białe perły zębów błyskają z pomiędzy bladych ust — —

Śmieje się — śmieje się jakoś przykro, nieszczerze, wyzywająco...

Adam, który jeden może wie, jak ta kobieta płacze, doznaje jakiejś dumy.

— Patrzcie na nią... podziwiajcie jak ona się śmieje. Ja bladłem pod wrażeniem jej łez...

Towarzyszący jej mężczyzna, rosły — rasowy — trochę łysy — odziany w najnowszego kroju suknie, pochylił głowę...

Słucha, co ona mówi, patrzy na gazy, osłaniające jej ciało, patrzy na różowe gwoździki, pokrywające jej kolana. — Ma niedużą brodę trochę siwiejącą i oczy o białkach krwią nabiegłych.

Z estrady w szalonym tempie biegnie hiszpański walc. Karkołomne igrzysko klownowskie.

Rozpłakane struny zgrzytają śmiechem roznamiętnionych hiszpanek, potrząsających pomarańczową draperyą szali i bijących o ziemię obcasami pantofli.

Oczy kobiety o dwóch cieniach — przysłania coś nakształt namiętności. Patrzy na swego towarzysza. Jest blada jak poprzednio, a przecież coś w niej płonie.

Może — udaje...

Może ona jak te skrzypce. Wczoraj łkała rozpaczliwie w obliczu śmierci, w tej chwili błyska perłami zębów ludzkiej głupocie i oczom w nią wpatrzonym.

Kto wie — może jak te skrzypce.

Gra na nich ich władca. Biedne skrzypce muszą...

A kobieta?

Tak myśli Adam. Sam nie wie dlaczego chce znaleźć jakieś wytłómaczenie dla jej śmiechu.

To głupie... bo w gruncie rzeczy...

Stanął przed nim młody sekretarzyk. Jest zadowolony ze siebie, ze swych wąsów, ze swego fraka i z tego, że inni są zadowoleni. Ma nadzwyczaj gładkie obejście i dużo miejsca pustego w głowie. Ale on znajduje, że to „przewiewnie..." I bardzo mu z tem dobrze.

Stanął, słucha walca, oczy mu się śmieją — spotkał niemi postać Nieznajomej.

— Tiens!... zdarzenie dnia... przyszła.

Dostrzega, iż Adam patrzy także w tym kierunku.

— Wcale niczego — tylko blada.

Adam chce go spytać — znasz ją? Kto to? Ale mu słowa więzną w gardle. Żal mu stracić urok tajemniczy. Dowie się, że to jest pani lub panna X, — pozna jej stan cywilny — posłyszy jedną, drugą plotkę.

I to o kobiecie, za którą szły dwa czarne cienie — jeden jej siostra bliźnia, drugi jak anioł wielki, rozwiewny, przejrzysty...

Lecz sekretarzyk już gdzieindziej błądzi oczyma. Radby wybijał takt walca obcasami — tak coś z hiszpańska.

— Muszę kiedyś pojechać do Hiszpanii — oznajmia, śmiejąc się już do tego projektu.

Walc się kończy, oklaski — krzyki...

Kobieta w gazach powstaje, jakby pociągając za sobą towarzysza. — Inni jeszcze siedzą. Czekają od artysty jałmużny naddatków. Ona kieruje się ku wyjściu. Idąc śmieje się ciągle, szepcąc coś do mężczyzny i rzucając mu słowa przez ramię. Profil jej wtedy rysuje się czarująco. Czyste linie nosa i czoła mogą wprawić w zdumienie klasyka. Tylko usta rozwarte jakimś niedobrym, zmysłowym uśmiechem, brutalnie niszczą złudzenie świętości. Adam, aż oczy przymyka, aby tych ust nie widzieć.

— „Kobiety zabijają się jedynie z miłości...“

Tak, tak — takie usta mogą zapragnąć miłości i śmierci. Dyszą niemi, przepojone jak owoc spragniony wieczornego chłodu.

Takie właśnie usta!... Jedynie miłość, która do szału i śmierci prowadzi. Adamowi robi się bardzo smutno.

Dlaczego widział tę kobietę śmiejącą się i to t a k właśnie!

Była różnica pomiędzy jej śmiechem, a śmiechem przeciętnej kobiety ale raczej na jej, według niego niekorzyść.

Bo te kąciki ust, które opadały w uśmiechu, miały coś drapieżnego, odsłaniały kły...

Tamte śmiały się szczerzej, jakby pod drzewami rozpasał się nagle korowód spragnionych nimf — tańczących pląsy miłosne.

Ona — śmiała się... nie śmiejąc.

Coś było gorszego, bardziej strasznego...

Gdy Adam odsłonił powieki — już jej w sali nie było.

Wiele jednak osób patrzyło na nią.— Szeptano, mężczyźni się uśmiechali po swojemu.

— Afiszuje się... choć...

To był szept małego sekretarzyka.

I znów urwał, za co mu Adam był serdecznie wdzięczny.

Rozległ się jeszcze jeden „taniec hiszpański" w podzięce za oklaski. Załapotały kastaniety — rozgorzało południowe słońce.

— Olle! olli!...

— Muszę jechać do Hiszpanii — postanawiał ładny sekretarz.

Adam stał wciąż jak przykuty, pomimo, że chciał uciec z tej sali, — która miała pozory lodowej groty, a gorzała w tej chwili namiętnością południa.

Lecz lękał się spotkać jeszcze z Nieznajomą i widzieć jej śmiech, który odsłaniał drobne, białe kły.

Bo — kobiety zabijają się jedynie z miłości...

Kobiety, które się t a k śmieją...

IV

— „a ja ci mówię, mój kochany siostrzeńcze, że ten rok pański będzie wyjątkowo fatalny. Susza pozbawiła nas paszy i oto będę zmuszony wyzbyć się dwóch krów, a kto wie może i pary moich biednych, starych koni. Dopust to Boży, należy go przyjąć bez szemrania tembardziej, że...

Adam list złożył. Rozpachła się przed nim cała letnia krasa małej plebanii w Nowo-Sądeckiej ziemi. — Tak niedawno wchłaniał w siebie ten żar złoty pełen pyłów kwiatowych i brzęku pracujących pszczół.

— Dopust to Boży... należy go przyjąć bez szemrania...

Ten żar ciszą przepojony — świetlany, w którym kąpał swą żałobę z taką rozkoszą był raczej plagą, za którą pokutować miały inne istoty.

To ostatnie rygorozum miało jakieś fatum ciążące nad sobą. — Jakże wobec takiego listu przyjmować dalej te „z pod serca" — przysyłane pieniądze.

— Ojciec mój był lekkomyślny — przesuwa się mu przez umysł.

I on coś ma z natury ojca. Nie traci dobrowolnie tych drobiazgów, tej nędznej okruszyny, jaką mu los wydziela — ale — rozpływa mu się to w rękach. Nie potrafi liczyć. Czasem zarobi lekcyami, czasem jakimś przekładem i to natychmiast gdzieś zniknie. Dziecięcą ma naturę — nie może się wżyć w to, iż istnieje jutro głodne i zimne. — Ogarnęła go ogromna melancholia. Życie przewalało się potężnemi falami dokoła niego. Czuł to, choć zdawało mu się, iż nie brał w tem udziału. Utykał na drobnostkach i zacieśniał się w nich. — Wyrzucał sobie jakby popełnienie grzechu, iż nie biegnie z szarpiącą się gwałtownie masą naprzód i w tem nie ginie, tylko powoli dąży zamknięty w swych złudzeniach.

— Nic nie wiem, niczem nie jestem...

Dzisiejszego ranka list wuja spadł nań i zasępił go.

— Jakże przyjmować dalej? — myślał — należy odłożyć rygorozum — zarobić gdzieś... ale jak? — Może prywatne sanatoryum... może jaka tymczasowa posada...

Nie chciał zwracać się do profesorów. Razili jego naturę cichą i melancholijną. — Mówili zbyt głośno, chodzili zbyt pewno, mieli sposób chwytania narzędzi i zabierania się do operacyi, który bolał go po prostu. Nigdy nie mógł pogodzić się ze sposobem klinicznym

traktowania chorych. — Ten wzrok profesorski rzucony ostro z góry na rozciągniętego na stole pacyenta przebijał jego ludzkie uczucia fatalnem wrażeniem. Połyskał zimno, jak wybornie wygotowane narzędzia, rozłożone za szkłem biało lakierowanych szafek.

W strwożonych oczach chorego błysk ten nabierał wrogiego odczucia. I płynął prąd nienawiści chwilowej — strasznej bo w obliczu śmierci.

Adam te spojrzenia zbierał i odczuwał. Przez to nie mógł iść z chorą swą duszą do ludzi, którzy ból fizyczny drugich kopali chłodem i obojętnością. Lękał się, iż spotka się ze wzrokiem wyniosłym, „z góry“ podczas, gdy on rozciągnięty będzie na szafocie szczerości. I lękał się jeszcze więcej tych bezwiednych prądów nienawiści, które wtedy ich oczy ze sobą zamienią.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę!

— U progu stanęła Minzowa. Odziana była w jakiś spłowiały szlafrok. — Trzymała w ręku tackę z herbatą.

— Przynoszę śniadanie.

— Dziękuję.

Wziął od niej tackę — ona wszakże nie odchodziła. Blademi oczami wodziła po nagich ścianach pokoiku.

— Muszę panu dać do okna firanki...—

wyrzekła wreszcie, stojąc ciągle we drzwiach otwartych.

— To niepotrzebne.

— Zawsze, będzie ładniej.

Czekał, aby odeszła. Chciał pozostać sam. Wspomnienie Nieznajomej zdawało się razem z tą kobietą narzucać się jego mózgowi.— Odpychał je.

— Kobiety zabijają się jedynie...

Minzowa mętnemi źrenicami wciąż błądziła po ścianach.

— Wie pan... — zaczęła... — ja dziś znów nie spałam.

— Tak, słyszałem. Czy chce pani jakie proszki usypiające?

Wzruszyła ramionami.

— To się na nic nie zda... — wyrzekła posępnie.

— Dlaczego?... czy pani próbowała...

— Nie — nie.

Zawahała się.

— Ale... widzi pan, są czasem takie myśli, które są silniejsze niż wszystkie proszki... Takie myśli...

Zbliżył się ku niej, jakby pociągnięty tą głębią, która zaczynała mu się odkrywać.

— A czy one dręczą panią te myśli?...— zapytał.

Zakryła oczy ręką.

— Tak... bardzo.

Adam przypomniał sobie to, co o Minzach mówiono.

— Czy niepodobna naprawić? — zapytał z cicha.

Milczenie.

— Pani mnie rozumie?...

Minzowa oderwała rękę od twarzy. Widoczne było, iż walczyła ze sobą. Wreszcie rzuciła.

— Pan mi się pytał... dlaczego kobiety odbierają sobie życie — ja powiedziałam z miłości... ale — ha! ha!...

Zaczęła się śmiać.

Łkanie było w tym śmiechu.

— Ale?...

— Nic, nic. Ja już pójdę...

Otarła oczy, twarz.

— Nic pani nie trzeba?

— Nic. Ale niech pani zostanie — pomówi chwilę.

— Nic, nic... mąż się obudzi!

Odeszła, zamykając drzwi cicho.

Adam poczuł jakby chłód powiał po pokoju, pomimo, że z białego, jesiennego nieba płynął do pokoju prześliczny blask.

— Mówią, że ich pieniądze są skradzione — myślał — tak mówią — on wszakże jest spokojny, dlaczego ona cierpi? Czy kobiety bardziej i silniej czują duchowe rozterki jak mężczyźni?

Jednocześnie jednak zrodziła się w nim myśl inna.

— Dowodzić to tylko może—iż—tradycye własnościowe silniej owładnęły kobietą jako istotą słabszą i bardziej impulsywną... Minz już poszedł krok naprzód — uważa się za właściciela tego co posiadł, nie zważając w jaki sposób.

Rozumował tak, jakby chciał się zagłuszyć i myśli inne ze siebie wyplenić. — Blada twarz okolona czarnemi włosami, uśmiech niemal zwierzęcy i anielski zakrój górnej części twarzy wypełniły jego wspomnienia.

— Kto ona?—już zaczął myśleć—w jakim obraca się świecie? ubrana dostatnio, ruchy inteligentne, kulturne. Kto był ten mężczyzna—miał wygląd człowieka, który przechodzi obok troski życia...

Zasmucił się.

— Ten nie cierpi z pewnością nad tem, że musi przyjmować zasiłek trzydziestu guldenów oszczędzonych w plebanii, z której dachu cieknie a ganek łata się z roku na rok...

Ten wzrok stalowy kobiety odczuwać zaczął tak jak wczoraj w sali koncertowej.

— Ona inaczej patrzyła na mnie, inaczej na niego.

Tak patrzą na chorego profesorowie gdy leży zdany na ich łaskę i niełaskę. — Myją ręce i patrzą... patrzą... oglądają narzędzia i patrzą

podwójnym wzrokiem... Stal, chłód — nienawiść...

Odział się i wyrzekł:

— Muszę poszukać możności życia — paszy... skoro nas słońce jej pozbawiło... Mnie, bydło wuja... może poczciwe stare konie...

Nie znał nigdy goryczy takiego usposobienia. Bolała go, a przecież podniecał się coraz więcej.

— Ilu tu jeszcze dziś biegnie szukać tak paszy, jak ja w tej chwili! Każdy z nas ma jakąś tragedyę ukrytą... i niesie się z taką troską, aby jej kto nie potrącił, nie zniszczył...

Zastanowił się.

— Jaką ona miała tragedyę? — nie dowiem się nigdy!

Doszedł do szpitala.

Dźwigało się to wielkie, zimne, nieprzytulne. — Przez oddział oftalmiczny szedł właśnie jeden z tych, którzy mieli za co przygotować się do rygorozów, i dla których susza była obojętną.

— Jak się macie?

— Dobrze!

Adam patrzył na jego twarz rozjaśnioną, zdrową — na małe wąsy zakręcone do góry. Modlicki był dobrym kolegą. Lubiano go. Ojca miał bogatego. Kołtun był koronny ale serdecznością rozbrajał. Gotował się na lekarza specyalnego bogatych kołtunów. Karlsbad, Vichy— dla ustępstwa Truskawiec...

Kopnął jakieś nosze o zardzewiałych kółkach, które sterczały w kącie.

— Po co to na kurytarzu?...

Jakiś posługacz zmieniający spluwaczkę spojrzał na niego z podełba. — Modlicki był gościem, nie miał prawa wydawać rozkazów.

— Możebyście przejechali się na wieś?— zapytał nagle Adama.

— Jakto rozumiecie?

— A no, na jakie dwa, trzy miesiące... Jest coś do objęcia... mnie się nie chce. Wesling potrzebuje asystenta, a potem trzeba tam zostać. Zapłacą... no? jakże?...

Adam zmieszał się, tak go ten zbieg faktów przejął do głębi. Zdawało mu się, iż los go zaprowadził za rękę jakby małe dziecko i postawił przy stole nakrytym jadłem. Nigdy jeszcze nie złożyło się coś tak po jego myśli jak w tej chwili.

— Musiałem pragnąć bardzo gorąco...— pomyślał.

— No i cóż postanowicie? Wesling nie jest miły ale mieć go będziecie na karku dwa dni najwyżej. Potem zostaniecie sami.

— Chętnie. Tylko...

— Co? co? macie skropuły? Jeżeli Wesling was bierze to już bądźcie spokojni. Ja przecież byłem w sanatoryum u Drzewińskiego rok cały mając dwa rygoroza... Plujcie na resztę. Pięćdziesiąt fajgli i utrzymanie. Możecie

uciąć romansik... To u Renierowej. — Wiecie — w Góranówce. — Nie znacie? No — no. — Zresztą mniejsza. Chodźcie, Wesling jest gdzieś na górze. Stosuje sztuczne oddychanie... ktoś tam otruty fosforem... Jakaś sługa. — Zaraz pomówimy!

Przechodzac kopnął znów nosze.

— Po dyabła to na korytarzu!...

Szli po wschodach kamiennych startych tak, że z trudnością stopy się na nich trzymały. Cisza była zupełna. — Cisza i osamotnienie. — Raz tylko przemknęła się Siostra Miłosierdzia ukryta w skrzydłach swego stroju. — Otworzyła jakąś szafę i zginęła za jej drzwiami.

Na drugiem piętrze dwie kobiety, odziane w strój szpitalny siedziały na oknie rozmawiając. Postacie ich opromienione były blaskiem jesiennym. Jedna z nich miała śliczne rude rozwichrzone włosy.

— Napadła na mnie za to, że na noc zawinęłam sobie papiloty... no, moja Pani! słyszane to rzeczy... — mówiła ruda.

— Właśnie — co jej do tego...

— Przecie pacierz zmówiłam, a że o te papiloty...

Umilkły widząc nadchodzących mężczyzn. Odwróciły się do okna i zaczęły patrzeć na dziedziniec, na którym złociły się ogromne drzewa.

— Gdzie profesor Wesling? — zapytał Modlicki — nie mogą mi Panie powiedzieć?

Ruda odwróciła głowę i spojrzała przez ramię.

— Dmucha powietrze w tę co się struła— odparła i równocześnie uśmiech rozjaśnił jej usta.

Adam, aż drgnął.

Był to ten sam uśmiech jaki miała na twarzy jego Nieznajoma pod takt hiszpańskiego walca. Małe białe kły zabłysły.

Modlicki uśmiech ten obojętnie przyjął.

— Zaczekajcie tu na mnie! — wyrzekł do Adama — schwycę go w przelocie i objaśnię, przyjdziecie na gotowe...

Wyszedł szybko, rozwiewając poły palta. Ten bił nogami flisy kurytarza z impetem i siłą. Czuć było, iż się nie skrada ale idzie przez życie.

Adam pozostał obok siedzących na oknie kobiet. Oddalił się od nich natychmiast. Lękał się dojrzeć po raz drugi owe białe kły w ustach rudej dziewczyny.

Czekał niedługo. Zaszemrało przy drzwiach, prowadzących do sali chorób wewnętrznych, i wyszedł z nich profesor w asystencyi dwóch młodych ludzi i Modlickiego. — Był to słuszny, przystojny mężczyzna. Trzymał się prosto, zadzierał głowę do góry i patrzył ciągle przed siebie. Zdawało się, iż po bokach świat dla niego nie istnieje, tylko to co przed nim — i naturalnie on sam. — Włosy mu już siwiały. Był

to człowiek bez uśmiechu. Usta miał wykrojone na powagę. Odzienie miał dostatnie i dorobek życiowy również. To było widoczne, bo niósł go z pompą, jak monstrancyę — przed sobą.

Gdy wszedł na kurytarz, wypełnił go sobą i swoim blaskiem. Adam widział tylko jego wzrok, ten z góry na dół, który znał dobrze — wzrok z pod przysłoniętych rzęs.

Oczy profesora spotkały w ten sposób wejrzenie Adama. I zdawało mu się, że leży na stole w sali operacyjnej, w sali białej o podłodze gumowej, zlanej świeżo rozczynem sublimatu.

Po za profesorem szedł Modlicki. Miał minę drwiącą — lecz zdawał się być cieniem Weslinga. Już niósł przed sobą swój dorobek i siebie po równo wytyczonej ścieżce, która nawet dla niego była Prawdą. — Szli obaj jak klownowie po linie. Drżało to pod nimi, lecz obaj usiłowali przybrać gesta i miny ludzi, którzy idą po pewnej i odpowiedniej podstawie.— Lina była wzniesiona wyżej nad przeciętny teren i niosła korzyści.

Wesling na końcu kurytarza dostrzegł sylwetki siedzących na oknie kobiet. One powstały i teraz stały pod ścianą wyprostowane, jakby złowione na gorącym uczynku.

Przeszedł mimo nich nieprzyjaźnie.

Ruda dziewczyna zemściła się natychmiast, pokazując na całą grupę język. Druga aż

wpakowała kułak w usta, aby nie wybuchnąć śmiechem. Lecz spoważniały nagle i znów uczepiły się okna ruchem uwięzionych małpek.

— Więc to pan? — zapytał nagle Adama, stając na chwilę tuż przy nim — dobrze, dobrze — nie mam nic przeciw temu... operacyi zdaje się nie będzie... Proszę być o czwartej na dworcu — służący mój powiezie narzędzia — nie trzeba się o nic troszczyć. Może trochę dermatolu, nic więcej.

Poszedł dalej. Już jeden z asystentów otwierał drzwi następnej sali. Z po za szafy wyjrzała zakonnica jakby strwożona i nagle pobiegła za znikającą we drzwiach grupą. Rozwianie się jej kornetu wypełniło kurytarz jakby lotem gołębich skrzydeł i chłodną dobrocią.

Modlicki ujął Adama pod rękę.

— Chodź! sprawa załatwiona. Masz bieliznę? kuferek podróżny? Jeśli nie, to ci pożyczę.

— Mam!

Zeszli po wschodach. Natknęli się na jakiegoś chłopa, który niósł na rękach dużą dziewczynę. — Za nim szli posługacze. Nie pozwolił położyć córki na nosze. Woskowa twarz chorej, zwieszała się na piersiach, okrytych kożuchem. Po nad nią — stroskana, poczerniała bruzdami twarz chłopa.

Minęli grupę smutną, złączoną bogactwem uczucia i nędzą życiową.

Gdy wyszli na ulicę, Modlicki śmiać się zaczął.

— No... jednego ci nie zazdroszczę — to przebywania ciągle z Weslingiem. Wykrochmalona bestya...

I przez zęby:

— Stary piernik!

Adam wzruszył ramionami.

— Ach! on sobie, ja sobie.

— Tak — ale zawsze, trzeba mu basować, a to dyabli wziąć mogą — tak znudzi.

Wyjął z kieszeni fotografię w formacie wizytowym i zaczął się jej przyglądać.

— Patrz jaką ma tu inteligentną mordę!

Adam dostrzegł na fotografii twarz Weslinga.

— Po co ci to?

— Każę powiększyć.

?...

— A no — instaluję się przecież. Zawieszę w gabinecie jego portret — niby uważasz jako ulubiony uczeń... Co?... dobrze obmyślane. Hi! hi!... A to nadęty pęcherz!...

Patrzył chwilę na fotografię, śmiejąc się prawdziwie i szczerze.

Adama porwał także śmiech nerwowy.

— Dobry jesteś...

— Pewnie.

Szli dalej rozweseleni. Szpital dwoma skrzydłami ich zagarniał ku sobie. Chwilę zdawało się, że są zamknięci w jakimś kole.

Na lewo — pod zakratowanem otwartem oknem stały dwie kobiety. Rozmawiały z jakąś chorą przylepioną do krat.

Jedna ze stojących na ulicy biadała.

— Ona chce już wyjść... nie chcą jej puścić!...

A ta za krat podszlochiwała.

— A no... a no...

Modlicki natychmiast na nie napadł.

— Co to za rozmowa na ulicy? precz!...

Kobiety rozbiegły się jak stado kur. Okno zamknęło się z trzaskiem. Tylko kraty bielały.— Kobiety stanęły nieruchomo na tle krzaków skweru i z nienawiścią patrzyły na idących studentów. — Były nędzne i ledwo odziane. — Jesienne liście leciały na nie jak złote ptaki a słońce olśniewające blaskiem wydobywało na jaw zmęczone ich rysy.

Po za kratami migała plamą, blada twarz chorej i jej oczy wpadnięte, straszne, pełne tragicznej chęci swobody — oczy pantery zamkniętej w klatce menażeryi. Oczy te śledziły złoto liści, blask słońca, przestrzeń nieokratowaną i buntem miłości do życia, rwały się w świat— po nowe nędze i cierpienia.

Z ust Adama spłoszył się uśmiech.

Pomyślał — iż człowiek jest dziwną istotą a zwłaszcza kobieta. Nigdy jej cierpień za mało. Nawet za szczęściem tak nie goni jak za tem, co przynosi jej tragiczną kolizyę życiową.

Łzy oschły...

Gdzie źródło nowych łez?

Przez pustynne, samotne, wycieńczające obszary, przez ścieżki pełne cierni, przez kłęby drzemiących, jadowitych gadzin, — przez chmury orane wstęgami błyskawic... do źródła nowych łez!...

Biegnie, gna, śpieszy się — pada i znów się dźwiga. Blada twarz z po za krat błyska, oczy pożądliwie szukają czegoś w przestrzeni.

Czego?...

Tragedyi swego życia!...

I oto — cała kobieta.

V

Kłęby kurzu... kurzu... kurzu... Z pod kopyt czwórki zaprzężonej w lejc, z pod kół powozu, jakby morze spienione tak wali się ów kurz, piasek delikatny i sypki. Wszystko przybiera jego barwę. I płaszcz Weslinga i palto Adama, i plecy siedzącego na koźle starego stangreta. Zady końskie szare, ich ogony za każdem poruszeniem wzbijają słupy kurzu.

— Coś skandalicznego!...—mówi Wesling.

Jego dobry humor i łaskawość, któremi obdarzał przez drogę Adama — nikną. Siedzi zły i napuszony. Ten kurz wywołuje w nim uczucie, jak gdyby ktoś mu uchybiał.

— Coś skandalicznego!...

Ruchem ręki dotyka laską pleców stangreta.

— A stańże, kochanie!... człowiek oślepł—odetchnąć musi.

Stary, odziany w jakiś zniszczony chałat z galonem, zatrzymuje czwórkę. Stanęli na polu.—Na prawo i lewo przerażająca płaszczy-

zna. I nic, tylko zżęte ścierniska, po których skaczą wrony.

Wesling ociera oczy.

— Nie... coś podobnego!...

Adam patrzy na te równie i ogarnia go jakiś lęk. To południe senne, — jakby mdlało wszystko w naturze — zwiesza się nieokreśloną melancholią nad bezkresem ziemi. Szare dalsze plany zlewają się z bielą horyzontu. I tylko w oddali widać szereg czarnych sylwetek topól — jakby rzęd zapomnianych żołnierzy skamieniał w oczekiwaniu zaginionego bez śladu dowódzcy...

Adamowi zdaje się, że cała ta ziemia nie należy do nikogo, że jest ona bez pana, bez tych, którzy ssać z niej soki mają prawo — że rozpostarła się jak ptak znużony ogromem szarych skrzydeł. — Pióra opadły, i sterczy teraz trochę resztek jakiegoś dawnego pokrycia, które barwą ciepłą i żywą niebu się kiedyś śmiało.

— Kochanie...— mówi profesor, powstając w powozie i strzepując z płaszcza tumany kurzu—kochanie, czy my jeszcze daleko tak jechać będziemy?

„Kochanie“—odwraca twarz równie szarą i niewyraźną jak okrycie, które jego grzbiet zgarbiony pokrywa. Jest to stary schorowany człowiek o wyschłej twarzy mumii zakonserwowanej w piaszczystym gruncie.

— A proszę jaśnie pana... to tam!

Biczem pokazuje rzędy topól.

Wesling wydobywa nagle ze siebie zapas rezygnacyi.

— Ha... to jedźmy.

Jadą znów jakiś czas w milczeniu. Adama coraz więcej przygniata ta olbrzymia kopuła jakby ze szkła mlecznego, po za którą wyczuwa się dopiero jakieś wolne, czarowne przestrzenie. — Z górzystej okolicy rodzinnej rzucony nagle w roztęsknienie równin, na których sterczą tylko samotne krzyże z rozwianą płachtą ufnych wotów niespokojnych matek — czuje jakąś straszną tęsknicę, grozę i poczucie nieubłaganego osamotnienia.

— Kochanie...— zaczyna profesor — a czyje to pole?

— Pani baronowej!...

— Te na lewo?

— Także pani baronowej!

Jadą chwilę w milczeniu. Na horyzoncie nagle — jakby zaczarowany wyrasta czarny las sosen. Niektóre wysunęły się — wygięte rozpaczliwie w lirę, dwuramienne swe cielska w górę rzucają — ku mlecznemu niebu, stopą tonąc w piasku.

— A czyj to las? — pyta profesor.

— Pani baronowej!

Za lasem nagle rozsłaniają się pola, na których rzędem stoją złote sterty, olbrzymie katafalki jakby narzucone kapą ze złocistej lamy. Słońce w nich zapala migocące iskierki. Im dalszy rząd tem są bledsze aż wreszcie stają

się srebrną zjawą, mającą dokoła siebie rozpyloną jakby poświatę, w której drgają niepewne białe światełka.

— A to czyje?

— Pani baronowej!

Dźwiga się to bogactwo zebrane z ziemi jakby ulgę jej nieść chciano, dozwalając promieniom słońca dotrzeć do niej samej. I znów bezkresna równia, tylko wszędzie złoto stogów, jakby stół bogacza zastawiono nagle setkami pucharów złotych, pełnych i oczekujących na spragnionych gości.

— Więc to wszystko pani baronowej?

Głos Weslinga nabiera szacunku. Cóż znaczy jego kamienica w mieście obciążona długiem, wzniesiona z mozołem i targiem z przedsiębiorcą — a z której jest tak dumny.

Cóż to jest wszystko wobec tych pól, lasów, łąk, tych stert złotych — tego bezkresu zrównanego z linią nieba!

Jacenty z kozła biczem koło zakreśla.

— To wszystko naszej pani!

. . . .

I nastało milczenie ciężkie — rozmyślań i zawiści pełne.

Prawo posiadania — prawo tak stare jak dawną jest stopa ludzka zajmująca szmat ziemi — rozsnuło się dokoła w wielkim majestacie niezwalczonej nigdy potęgi.

Trup człowieka, kęs ziemi mieć musi. Nie zawiśnie nigdzie — do ziemi dąży — topielec ku brzegom ciągnie — wisielec obsuwa się z przegniłego sznura, spopielały trup jeszcze się z ziemią pomieszać żąda. Zmarłemu starczy niewiele tej ziemi, żywy mieć jej chce więcej, nasycić się nią nie może. I teraz — po nad płaszczyzną ugorów — po nad ciemnem cielskiem lasu, po nad zielenią delikatną łąk, z wrzosów szarych i szarych ściernisk — powstawała postać tej, która to wszystko posiadała — i była tu niewywłaszczoną panią dostatków prawdziwych.

Adama przejął lęk.

Jakieś ręce delikatne, przejrzyste — ręce kobiece z kopuły niebios opuszczały się zwolna i zagarniały ku sobie szmatami całemi równie nieprzejrzane, poznaczone krzyżami i złotem stert. Ręce te rozgarniały czarne kohorty ptastwa, które spadają z bieli podniebnej.

— A kysz!... a kysz!... jakby słychać głos.

Ptastwo zlęknione sznurkiem wznosi się w górę i tam zawisa, ważąc się na skrzydłach.

Czarne oczy utkwiło w glebę, w ścierniska, po których gdzieś może się coś ostało, w złote katafalki stert, które w oddali nabierają srebrnych tonów...

— A kysz!... a kysz!...

W oddali — z pod lasu, z pod sosen w lirę wygiętych wysuwają się szare postacie o pomarzniętych nogach. W fartuchach na plecach — gałęzie... Taszczą do legowisk.

— A kysz!... a kysz!...

Białe, delikatne, przejrzyste ręce odpędzają szare postacie.

One odbiegają daleko i stają rzędem. Patrzą na las, na potężne konary sosen. Nad niemi waży się ptastwo...

— To wszystko naszej pani! — mówi Jacenty, zakreślając koło biczem.

. . . .

Dojeżdżają do dworu.

Profesor pali cygaro -- milczy, coś sumuje. Żałuje może, iż umówił się o cenę honoraryum.

Z pod boków powozu wyrywa się nagle mały wózek zaprzęgnięty w dwie kucki. Jedna siwa o drżących nogach, druga młodziuchna, czupurna ciągnie ją z temperamentem. Na koźle wózeczka chłop w brązowej świtce o twarzy ascety, o profilu wychudłym i cerze oliwkowej macha biczem.

— Nu babcia... nu!...

Sadzą polem. Na siedzeniu z trudem trzyma się poręczy lokaj Weslinga.

— Uważajcie... narzędzia... — woła profesor.

Ale asceta wali siwą kuckę biczem.

— Nu... babcia!...

Pomknęli.

Z kozła odzywa się głos woźnicy.

— To kucki panny baronównej.

Skręcają koło stajen. I już zaraz za niemi rozkłada się olbrzymi bukiet drzew jeszcze

zielonych, lekko tylko podżółconych — jakby jakaś oaza wyrosła wśród piasku.

Powalone słupy, sztachety obłamane — furtka ledwo trzymająca się związana powrósłem — migają w oczach Adama. Zbłocona droga prowadzi do pałacu pomimo, że deszcz zda się dawno nie padał.

Od kieratu, który olbrzymim placem po za stajniami się ściele, biegnie jakiś chudy mężczyzna w szarym surducie. Sadzi przez płoty i dopada ganka w chwili, gdy powóz zajeżdża przed front pałacu.

— Jestem Tarajewicz, rządca... do usług pana profesora — mówi zadyszany — pan profesor pozwoli.

Podaje rękę Weslingowi, wysadza go z powozu. — Profesor zaczyna nieść siebie jak monstrancyę, jakkolwiek „galeryę“ stanowi tylko pan Tarajewicz.

— Pani baronowa poleciła mi, ażebym spełniał wszystkie rozkazy pana profesora...

— Tak! tak!...

Wesling otrzepuje się z kurzu.

Tarajewicz z powozu wyjmuje miotełkę.

— Ależ to skandal ten wasz kurz!...

— Pan profesor nam daruje — to już taki dopust Boży... taka ziemia...

Adam stoi na ganku i okiem obejmuje gąszcz drzew, który wznosi się dokoła domu. — Najpiękniejsza kępa białych, olbrzymich brzóz,

odcina się na tle rozrosłych lip. — Jakaś spruchniała ławeczka wali się u śnieżnych pni.— Purpura zachodzącego słońca prześwieca przez nieruchome liście.

Ten park zdala ma w sobie urok zaczarowanych, opuszczonych miejsc.

— Pani baronowa kiedy powraca?—słyszy pytanie. Tarajewicz rozkłada kościste ręce.

— Niewiadomo... daleko jest... Ale wróci, wróci z pewnością — leczy się.

W oddali zgarbiona do ziemi przypadła oficynka. — Małe to i nawet do parku nie dotyka. Jedna część oficynki zaparta — okna zamknięte okiennicami, zbitemi z nierównych desek. Coś dyszy pokorą i zapomnieniem z tej rudery. Naprzeciw, po drugiej stronie dziedzińca kuchnia w formie greckiej świątyni — kolumnadą odartą z tynku. Widocznie przerobiona z altany. Jakaś dziewka w czerwonej spódnicy stoi z wiadrem na tle białych słupów nieruchoma, znacząc się zczerniałemi plamami nóg.

— Ani się doczyścić... — mowi Wesling.

— Pan profesor raczy pozwolić do pokoju — tam już się to zrobi... — klekoce Tarajewicz.

Zgiął się — i pod cienką tkaniną surduta odznaczyła mu się kolumna pacierzowa z przerażającą dokładnością. I on ma twarz jakby wysuszoną w piasku — i cały jego szkielet obciąga ciemna skóra, podobna do skór trupów zeschłych pod działaniem piaszczystych gruntów pustynnych.

— Ot... i pański pacyent!...

Ręką wskazuje nową, szkieletowatą postać, która ukazała się na mgnienie oka we drzwiach kuchennych i zaraz znikła.

— Panie Rydzik!...

Lecz drzwi kuchenne zawarły się jakby same. Nikt się w nich nie pokazywał.

Rządca machnął ręką.

— Boi się. Żartowali z niego w kuchni, że mu pan profesor, z przeproszeniem żołądek wypruje.

— No... no...

Weszli do wnętrza domu. Adam ociągał się jeszcze. Nieśpieszno mu było. Ten dom przedstawiał się nieprzytulnie. Oleandry ustawione na ganku skarżyły się szarością i nędzą liści na opuszczenie. Kilka bladych chorowitych kwiatów zwisło ku ziemi.

Mimowoli Adam we drzwi kuchni patrzył. Ta chuda postać, dla której obaj z profesorem pędzili w głąb Rusi — miała się poddać ich pomocy. — W ruchu trwożnym, z jakim zniknął, było coś z drobnego zwierzęcia, które czuje, że lada chwila, będzie musiało oddać swe ciało pod nóż dobrze wyostrzony.

I żal go jakiś ogarnął — żal i jakby wstyd.

Spadli tu w tę ciszę — w tę purpurę słoneczną, w te brzozy rozwiane rozkosznie ze swymi skalpami lśniącymi niemiłosiernie — z tą całą „wiedzą“ — która nurzała się we krwi i całun rozpaczny za sobą wlokła.

Nie wiedział nic o tym p a c y e n c i e, który na wyrok swój czeka. Wesling przez drogę nie poinformował go. Mówił specyalnie o kwestyach artystycznych, rozkoszował się nową sztuką graną w teatrze i wystawą szkiców o podkładzie japońskim. Zdawać się mogło, iż chce unikać na pewien czas grzebania się w swojem rzemiośle. Natrącił tylko — iż wypadek jest jeszcze niezdecydowany...

Dopiero on — orzecze...

„Wypadek" — tymczasem delikatnie drzwi od kuchni uchylił i trwożne oczy ku dworowi pomknęły jakby na zwiady.

Adam za oleander się cofnął i patrzył litością zdjęty.

Powoli — wysunęła się postać mężczyzny, który musiał mieć imponującej budowy szkielet. Tak jeszcze teraz choć złożony, skurczony, zmięty, wspaniale się przedstawiał.

Lecz szkielet ten to było wszystko.

Wyschły, chudy — przewyższał swą budową Jacentego i Tarajewicza a nawet i ascetycznego chłopa, katującego siwą kuckę wleczoną przez zadzierzystą towarzyszkę.

Twarz tego człowieka była — szara.

Tak szara i bezbarwna, że rysów w niej dojrzeć nie było można mimo dziwnej przejrzystości dnia.

Odziany szaro, niestarannie — z powykrzywianemi i obłoconemi butami miał w sobie

przecież jakąś tragiczność opuszczonej, wspaniałej budowli, którą kopnięto niepamięcią i na wichry i szarugi pozostawiono.

Pod pachą trzymał starannie jakiś garnek i teraz szedł a raczej wlókł się ku oficynie. Jakiś żółty stargany kawał jedwabiu wisiał mu dokoła szyi. Adamowi zamajaczyło, że ten człowiek ma zarost siwy, nierówny — dokoła brody jakby sam go strzygł nożycami — i oczy zbolałego zwierzęcia...

A poza tem nic — tylko ogromny smutek i melancholia, co się za nim wlokły.

. . . .

Tarajewicz, który skończył lokować profesora na ganek, wyszedł.

— Pan doktor może także wypocznie? — pytał uśmiechając się boleśnie.

Lecz Adam głową potrząsnął.

— Nie jestem zmęczony. Chętnie się jednak przebiorę.

Proszę... proszę...

Dostrzegł teraz idącą szarą postać w stronę oficyn.

— Rydzik! panie Rydzik!...

Wołany ani drgnął.

Szedł ciągle a nawet zdawało się, że kroku przyśpieszał.

— Skaranie Boże! znów garnczek kapusty niesie...

Tarajewicz ku dziewce stojącej ciągle nieruchomo na tle białych słupów krzyknął:

— Szczo win robił w kuchni?

Roześmiała się.

— Wził horneć kapusty! — odrzuciła.

— A... psia krew... — zaklął — będzie znów umierał!...

Odwrócił się ku Adamowi.

— No... widzi pan doktor! Chory — ledwie żyje — nic nie trawi, a jak zobaczy kapustę, tak porwie garnek i wlecze do siebie... A tu odpowiedzialność! Pani baronowa wróci — i będzie na mnie. A czemu nie pilnowaliście... a czemu pozwoliliście... Jakbym teraz do niego doszedł, to by mnie uderzył. Jak Boga kocham!...

Szara postać z garnkiem pod pachą dowlokła się do oficynki i drżącą ręką starała się otworzyć drzwi. — Purpurowe promienie słońca przeżarły się przez gąszcz liści parkowych i pozapalały czarujące brylanty w okienkach oficyny.

Postać Rydzika, rozpływała się marą nieuchwytną w obramowaniu tych olśniewających blasków.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał Adam.

Tarajewicz spojrzał na niego zdziwiony.

— Pan doktor nie wie?

— Nie.

— To przecie — Rydzik! Mąż pani baronowej!

V

Adam drzwi od pokoju zamknął — tak go raził ten szereg komnat otwartych, z których ziało pustką i niezamieszkaniem zupełnem.

Mógł się przechadzać swobodnie po tych pokojach, które łączyły się w krąg i stały wszystkie otworem. — Profesora umieszczono gdzieś dalej — w jakiejś przybudówce o okrągłej werandzie mieszczącej kilka jakby odrębnych pokoi.

Dla Adama oddano do użytku duży, narożny pokój obciągnięty kretonem w niezliczone grupy dzieci bawiących się nad pokreskowanym stawkiem łabędziami o spuchniętych głowach.— Dzieci miały jednak wdzięczne i naiwne ruchy, a tło kretonu było jakby spłukane lawandową barwą.

Pod ścianami stały duże kanapy z czasów drugiego cesarstwa i wielkie ciężkie fotele obite tym samym kretonem. Kantorki, komody bombiaste, zalegały kąty. — Był to ciężki styl przypominający przedświt krynolin i feliksów bramujących twarze kobiet. Była w tem jakaś nieszczerość, jakieś skrępowanie i przygłuszenie

namiętności brutalną, trywialną siłą brzydoty — mszczącej się za delikatną pastelową koronką swobody uczuć osiemnastego stulecia, lub za półgrecką nagość napoleońskich czasów.

To co Adam dojrzał z szeregu pustych pokoi było tem samem przepojone duchem.

Ciężar jakiś rozsadzał ściany. Coś z burżuazyjnej anemii zastygło po tych kątach.

Były jednak szczegóły, które uderzyły Adama.

Oto — na ścianie, wisiał jeden jedyny obraz. Przedstawiał on nagą kobietę w secesyjnej pozie z palcem na ustach uśmiechniętych — z drugą ręką podniesioną w górę odsłaniającą swawolnie draperyę z czarnej gazy.

Było to coś taniego, coś nie bardzo wytwornego na rynku artyzmu nowego, ale była to jakaś swawola, jakby śmiech pusty z po za szczelnie zamkniętego grobowca.

W sąsiednim pokoju zawieszone portyery pluszowe blado zielone nie licowały najzupełniej z ciemnem obiciem naśladującem doskonale skórę. Pod ścianami stały rzeczywiście bardzo stare stołki obite skórą prześliczną, wytłaczaną w złocisto purpurowe papugi. Pod jedną ścianą rodzaj sepeciku spowiadał się milcząco ze swych skrytek, w których damy z XVII wieku chowały swe ciężkie klejnoty.

I oto — nagle jak motyl różowy, roztrzepotany wznosił się na lampie z kutego żelaza

abażur jedwabny, strojny we wstążki — z paryskim szykiem ulepiony jak sukienka baletnicy...

Adam patrzył i ogarniało go jakieś zdziwienie. Ten poważny, spokojny dom chwilami zdawał się wstrząsać od jakiegoś nerwowego dreszczu.— Coś się tu snuło — co spadało nagle, rozrzucało powiewne cacka i uciekało w odległe przestrzenie.

— To nie jest harmonia życia, które wie już, jak się ułożyć powinno — myślał Adam.

Cisza była zupełna.

Zdawało się, że tu wymarli wszyscy. Od stajen nawet nikt się nie poruszał. Okna pokoju Adama wychodziły na park. — Usiadł na fotelu i patrzył na drzewa niknące w powolnej ciemności wieczornej.

Dziewczyna, której nie widać było twarzy przez naciągnięcie na czoło żółtej chusteczki przyniosła mu na tacy herbatę. Nie pił jej. Stała na stole nietknięta. Jakiś niepokój go ogarniał. — Zamiast ukojenia, ten dach wydawał mu się wrogim...

— A przecież właśnie w tej ciszy powinnaby się rozmodlić dusza... — pomyślał, patrząc ciągle na drzewa parku.

Wreszcie wstał, narzucił palto i wyszedł.

Obszedł kląb i znalazł się na kładce prowadzącej w głąb ogrodu. — Olbrzymie drzewa czarnym baldachinem rozsnuły się dokoła.— Gałęzie ich wyciągały się jak ramiona olbrzymów. Zarosłe trawą aleje ledwo znaczyły się wśród

grup młodych jaworów i kiści drzew owocowych. W cieniu powstającym jakby z ziemi barwy znikały. — Co chwila olbrzymi pień zagradzał drogę. Korona liści dźwigała się wysoko. Konary plątały się z drzewem sąsiedniem i zdawały się wrastać w niebie z jakąś nienawistną siłą. — Ten cały park zbliska nie miał w sobie melancholii opuszczonych ogrodów, on protestował, on rozpaczał nad czemś, co go uczyniło złym i niosącym raczej rozterkę w duszę tych, którzy się po nim snuli niż przytulnem schroniskiem cienia pełnym.

To był ogród nieprzejrzany — purpurą drzew owocowych, jakby krwią zardzewiałą poznaczony. Rdzawe pnie amerykańskich sosen, miały jakąś zbrodniczą ponurość, a dęby umykały nieprzystępnie ku górze, ku niebu, którego nawet i widać nie było...

I tu znów snuł się duch opuszczonych gniazd...

Adam szedł powoli wsłuchując się w szelest liści szumiących mu lekko pod nogami. Nie było ich wiele. Jesień była łagodna i zaczynała się zaledwie. — Wicher ustał — i w powietrzu panowała ogromna przedwieczorna cisza.

— Dlaczego jesteście nieprzyjazne?...— pytała dusza Adama — drzew. — Co jest w was? Coście przeżyły? Jakie smutki tuliły się do was tak, żeście nimi przesiąkły i wyziewacie je gniewem na te nieśmiałe dusze, którym tak jak mojej — później nadejść było przeznaczone?

Czy nie znacie miłosiernej ciszy i dobroczynnych cieniów? Czy zawsze milczyć będziecie groźne, jakbyście zamknęły w sobie tajemnicę, zebraną z mgieł porannych i gwiaździstych nocy? — Otom ja — marny twór ułomny wobec was i brzydki — odziany w wór nędzy i cierpień, przychodzę do was uczyć się rezygnacyi, której nabyć nie mogłem. I zdaje mi się, że nikt prócz was niema w sobie buntów życiowych i tak słodko przyjmuje miejsce, jakie mu wyznaczyło przeznaczenie...

A przecież wieje od was goryczą i żalem...

Czuję to.

Czuję wyniosłość waszego buntu, który na wzór niepojetych usiłowań szlachetnych — duchów — odwraca się i dąży tam, gdzie cisza przedburzowa gromadzi wreszcie piorun ściągnięty pragnieniem spłonięcia samobójczą śmiercią.

I Adam nie śmie wejść w głąb parku.

Zatrzymał się na ścieżce i stał tak nieruchomy, a dookoła niego bez szelestu od czasu do czasu leci złoty liść — dotyka jego młodych lic — i osuwa mu się do stóp.

— To nie łzy za gasnącem słońcem — nie łzy polnych grusz, przydomnych lip... te łzy, które zbiera się na dłoń i czuje się w nich naszą własną tęsknicę... myśli — to jakby wyniosła z wyżyn jałmużna dla natręta.

Drzewa tego parku skamieniały w bólu... nie rozpaczają za ciepłem i światłem...

O n e j u ż p o z n a ł y l u d z k i b ó l.

I teraz nim cierpią, przetrawiwszy go na rozpaczliwą nienawiść wyniosłą i gniewną.

. . . .

Jedynie tam gdzie brzozy, trochę jaśniej i cieplej.

Adam kieruje się ku białej kolumnadzie pni, które widać w oddali.

Pomiędzy gałęziami przebija dziwny szafir nieba i gdzie niegdzie świetlany punkt gwiazdy migoce wśród liści.

Ktoś ciemnieje wśród białych pni.

Adam zatrzymuje się o kilka kroków i oto co widzi — niepostrzeżony.

. . . .

Na przewróconej ławeczce siedzi m ą ż p a n i b a r o n o w e j. — Siedzi w swym szarym zniszczonym kubraku — zgięty w pół, jakby przełamany. Wygiął dziwnie linię grzbietu, jak człowiek trawiony bólem wewnętrznym.

Rękę wyciągnął i głaszcze nią łeb konia, który stoi przed nim, nieruchomy, z oczyma utkwionymi w pieszczącego go człowieka.

Koń jest stary, prawie siwy.

Grzbiet ma wygięty tak samo jak człowiek. — Boki zapadłe, nogi zgięte.

Jest to stary, zmęczony koń — tragiczny tą starością, która żebrze o litość, jeszcze o jeden dzień... jeszcze o trochę słońca w imię dawnych zasług.

— Biedna... stara... biedna... — szepce cicho Rydzik — tyś jeździła dziś do kolei... po doktora dla mnie? ha? co?... przywiozła?... rzeźniki... będą krajać!...

Westchnął i ten dech z jękiem jakby drżącym w piersi mu zdawał się opadać.

— Widzisz stara... widzisz... co to ze mną!... — widzisz!...

Klacz oczy ciągle trzyma wlepione w szarą, ziemistą twarz tego człowieka. Zdawała się czynić usiłowanie, aby go przeniknąć, aby zrozumieć jego smutek i cierpienie. Rozumne oczy zwierzęcia, które już swoje przeżyło i nie dziwi się niczemu, nawet największemu ludzkiemu bankructwu, zbierały z twarzy człowieka jego słowa i trwogę.

— Moja... moja... stara kucka... moja...

Rydzik przytulił swą wyschłą twarz do łba konia.

I pozostali tak oboje nieruchomi, złączeni ze sobą, przytuleni w tej ogromnej ciszy parku — który czarem nieprzychylnym w okół nich dyszał.

Jedynie brzozy kłoniły się ku nim cmentarnie, długimi włosami jak płaczki ku ich znędzniałym ciałom...

Jedynie tylko brzozy.

VI

— Więc...

— Rak. Stanowczo rak w przełyku.

Po konsultacyi Wesling na kolej się śpieszy, szybko sam układa sondy — któremi delikatnie zanurzał swą wiedzę w biedne, podrzucane spazmatycznemi drgawkami ciało Rydzika.

— Rak!...

. . . .

Krótkie, urwane słowo.

Jeden krzyk, spazm, jęk. Śmierć głodowa — coś żrącego, coś żywego w nas samych — to straszne, grobowe za życia się dostało.

I oto wiedza stoi bezsilna — bo zawarte są przed nią wrota prawdy.

. . . .

Drogą od dworu do oficynki idzie Rydzik. Wraca do swego legowiska. — Nie wie o rezultacie. Słyszał tylko, iż kazano zaprzęgać, aby odwieźć profesora na dworzec. A zatem nie będzie operowany...

Oddycha.

Wie, iż poddać musiałby się tej operacyi. Jeżeli tak doktorzy zadecydują... musi. A przecież jakże się lęka. Jakież dziecko trwożne dławił w sobie przez tę długą noc bezsenną!...

Teraz — wpadł do oficynki i drzwi za sobą zatrzasnął.

Ma dosyć sondy, zanurzanej mu do żołądka. Gdy pomyśli, że mógłby to być nóż.

Prostym, biednym umysłem swoim nie wie nic, jakby to było...

Ale wie, żeby go „krajali".

I drży, i lęka się o ten szmat ciała, które jest mu niczem...

Teraz — dobrze się zamknął w swej oficynce i rzucił się na tapczan.

— Czorci... czorci... — powtarza drżąc ze wzruszenia.

We dworze — Wesling wydaje Adamowi wskazówki. Mówi długo, szeroko — to, co Adam wie doskonale. Kładzie wagę na dyetę.

— Polecam to panu...—powtarza, patrząc wyniośle.

Adam słucha, lecz wie, iż wszystko to na nic się nie zdało. Przedłuży tylko życie nędzne.

Nic więcej.

Chyba, iż komuś bardzo na tem zależy, aby Rydzik żył...

— Baronowa — mówi dalej Wesling — bardzo poleca w liście zajęcie się chorym. Odpowiadam poniekąd za niego. — Chciałbym, ażeby

gdy przyjedzie z Wiednia, gdzie leczy się na schudnięcie — znalazła Rydzika w możliwie jakim takim stanie...

Adam ramionami wzrusza.

— Jakże wstrzymać postępy choroby?...

— Ach, nie... to niemożliwe — ale pan rozumie, dotrzymać go, dotrzymać do powrotu...

— Będę się starał.

— Trzeba, trzeba. Widzi pan — choć to niby się nie liczy, ale zawsze ona wzięła z nim ślub... Tak, tak — prawdziwy ślub! Ach to był skandal nad skandale! Cała Galicya trzęsła się od tego...

Profesor do lustra się zbliżył i zaczął delikatnie włosy sobie układać.

— Zrobiła to na złość rodzinie... — ciągnął — na złość! Tak mówiła — ale mnie się zdaje, że to w napadzie namiętności, przyrzekła mu, no i dotrzymała.

Śmiać się zaczął.

— No i do-trzy-ma-ła! — dokończył śpiewająco.

Chwilę milczeli.

Adam nie chciał pytać o bliższe szczegóły tej sprawy. Było to grzebanie w tajemnicach domowych. Lecz profesor rad, że wraca do miasta, był w usposobieniu rozmownem.

— Bo... nasza pani była namiętna... ho! ho!... wiemy coś o tem!... — zaczął z lubieżnym uśmieszkiem — brunetka była, smukła. Rydzik

chłop wcale, wcale... A że ekonom — e!... no i tak... tego... Więc krzyki, wrzaski. Z ekonomem wdowa po baronie — afront jeden, drugi. Ona temperament ma... Rozgniewała się. — Czekajcie, ja wam pokażę!... I — nagle ślub!... Rydzik zostaje mężem... tak.

Skończył czesanie — śmiał się wesoło.

— Komedye!...

Adama ogarnął smutek.

To słowo komedye — to były tak bardzo od rzeczywistości dalekie.

Tu z kątów wyzierał tragiczny smutek rzeczy przeszłych z tryumfem rozuzdanych namiętności, i zapadających w cmentarny rozkład powolnej agonii.

Rydzik — i ta nieznana kobieta pełna temperamentu...

— Szkoda, że nie zastałem panny — podjął znów profesor — śliczna i musi mieć coś z matki. — Zapewne nie dzika. Tak przynajmniej twierdzą...

Przejrzał się w lustrze z zadowoleniem, i obciągnął kamizelkę na cokolwiek zaokrąglonym brzuchu.

— Widziałem ją kiedyś zdaleka. Przypomina matkę... Tylko... no...

Urwał, zaczął się odziewać do drogi.

— Ja tu zajrzę, gdy przyjedzie baronowa. Pamiętaj więc pan. Dyeta, okłady — w razie pogorszenia odżywianie sondą... no i proszę się ze mną znosić...

Adam skłonił się. Profesor rękę mu podał.

— Do widzenia. Zostawiłem panu mój termometr na wypadek. Do miasteczka daleko...

— Dziękuję.

— Więc... dotrzymać, dotrzymać... do przyjazdu samej pani...

Czwórka zajechała. — Wózek z kuckami naprzód pojechał. Profesor otulił się szarym prochowcem, który Tarajewicz mu podał.

— Ach! te kurze wasze to skandal!...

— Pan profesor daruje...

Rządca się kłaniał — profesor do kapelusza ręką dotknął.

— Żegnam.

Powóz ruszył z miejsca. Za chwilę tumany kurzu płynęły kłębami po drodze — wiły się i rozpływały w powietrzu.

Wreszcie — wszystko znikło.

Na ganku Tarajewicz do Adama się zwrócił.

— Proszę pana doktora — jakże mam do pani baronowej napisać?

Adam się zastanowił. Nie wiedział, co wiąże tę kobietę z chorym. Wiedział, że namiętność i ślub.

Lecz...

— Napiszcie, że stan jest ciężki, że jest niedobrze i że przyjazd jest konieczny.

Po twarzy Tarajewicza przesunął się jakby uśmiech.

— To na darmo. Pani nie przyjedzie tak prędko.

— On chory.

— Pani już nie była w domu półtora roku...

— To trudno. Proszę napisać, żeby wróciła.

— Ha... dobrze!...

— Jeszcze jedno. Zabrońcie, proszę, w kuchni dawać mu jeść, tylko to, co ja każę. Wczoraj widziałem, jak niósł garnek kapusty— niech Bóg broni.

Tarajewicz ręce rozłożył.

— Panie doktorze, to na nic. Zacznie się awanturować, będzie się bił z czeladką kucharską... To skaranie Boże z tym człowiekiem.

— Wydaje się bardzo łagodny.

— Bo pan doktor go nie zna... My to go dosyć znamy. Żeby nie pani baronowa, to już służba nieraz by go dobrze utrąciła.

Ogromna nienawiść przemknęła się po twarzy Tarajewicza.

— Ja go znam od młodości. My razem po majątkach służyli.—To zawsze był taki. On tylko się ułoży, jak się kogo boi.

— Ja już z nim pomówię.

Rozeszli sie. Adam odrazu zrozumiał tę złość, jaką pałał Tarajewicz do Rydzika.

— Dlaczego on, dlaczego nie ja — aż drgało w intonacyi jego głosu.

Obaj byli rośli, przystojni, młodzi. Rydzik jeden był wybrany. Czy śmiałość miał większą, czy biły od niego silniejsze prądy magnetyczne, którym oprzeć się ta kobieta nie mogła?...

. . . .

W południe Adam udał się do oficynki.

Zastukał raz i drugi.

Przez okienko wyjrzała nieufna twarz Rydzika. Zobaczywszy Adama, Rydzik zmienił się, tak go widok lekarza przeraził.

— Otwórzcie — wyrzekł Adam i zaraz dodał jakby poprawiając się — chcę z panem pomówić.

— A... o czem?

— O pańskiej chorobie — o tem, jak się pan ma zachować.

— To — panowie jeszcze nie pojechali?

— Pan profesor pojechał. Ja zostałem, żeby się panem opiekować.

Rydzik milczał i coraz nieufniej na Adama spozierał.

Adama ogarnął lęk. Czuł, iż będzie mu ciężko zdobyć zaufanie tego człowieka.

— Trudno, żebym dawał panu rady przez okno... proszę mnie wpuścić...

Oczy Rydzika oblatywały ręce i kieszenie Adama. Widocznie — naiwnie szukał owych „noży“ — którymi go miano krajać.

Nagle — z po za węgła oficyny wysunął się Tarajewicz.

— Nie marudzić! — wyrzekł szorstko — otworzyć panu doktorowi. A nie — to zaraz do jaśnie pani napiszę.

Rydzik spojrzał na niego z podełba. Niepodobna opisać, co się mieściło w tym wzroku. I nienawiść i pewna trwoga powalonego zwierza.

— No... no... — wyrzekł — otworzę, jak będę chciał.

Poszedł jednak do drzwi i otworzył je.

— Niech pan wejdzie!

A widząc, iż Tarajewicz gotuje się także do wejścia, drzwi zatrzasnął.

— Kogo nie proszą... to kijem wynoszą! — mruknął.

Adam próg sionki przestąpił.

. . . .

Trudno opisać co zawierała ta ciasna przestrzeń, w której człowiek o szarej twarzy żył.

A przecież tam była historya jego życia.

Więc łoże wspaniałe, z napoleońskich czasów, obite bronzami w wieńce i węzły na tle machoniu.

A na łożu tem pościel nie zmieniana, brudna — z rozdartą atłasową kołdrą, przetartą od butów, z poduszką bez poszewki w łaty

z płótna pokratkowanego na tle karmazynowego jedwabiu.

Łoże to zajmowało pół izdebki dawno nie bielonej. — Koło łóżka stał prosty zydel, a na nim świeca w butelkę zatknięta.

Tuż obok jakiś śliczny gracik, którym się odznaczało dziesięciolecie ubiegłe — lekkie to — pół szafka, pół kredensik — obsypany wypalanemi w drzewie pękami kasztanów z liśćmi.

I było to zniszczone, połupane — a zastawione flaszkami i słoikami, w których wyschły płyny i maści.

Na półkach leżały brzytwy, kawałek stłuczonego lustra i prześliczna srebrna papierośnica z szafirem w rogu.

Na ścianie, z której wapno opadło — zwieszały się pęki trawy, trochę zboża — jakiś bat — sierp...

Ogromny obraz Matki Boskiej, tani — jaskrawy przyczepiony, czterema gwoździkami.

A pod nim duża, trochę spełzła fotografia kobiecej głowy.

. . . .

To była głowa istoty widocznie bladej, tą bladością Idalii Słowackiego.

Twarz była trójkątna i po obu jej bokach ciekły czarne strugi włosów.

A były to włosy, które czarnością swoją, aż ból sprawiają tym, którzy na nie patrzą.

Dusza tej głowy była cała w oczach.

Patrzyły dziwne — jakby pociągnięte mgłą i miały w sobie głębię źródeł czarnych nagle otwartych źrenicą dziwną wśród mchów i wykrotów, pod baldachinem lasów dziwu pełnych.

Usta znaczyły się leciuchną linią. Uchylone były jakby uśmiechem.

W kącikach jakby dwie perły — małe kły...

I ta twarz trójkątna.

Jakby z czarnych mgieł.

Kobieca twarz.

A pod nią jeszcze z mgieł gazy czy złorzeczeń lub kadzideł ubóstwienia — dwie ręce wynurzające się.

Dwie białe przejrzyste ręce... gestem posiadania rozpostarte.

Tak — jak tam nad ziemią szarą i bezkresną, nad stogami do złotych pełnych czar, podobnymi, nad tłumem sosen w lirę wygiętych nad łąką wielką, szmaragdową wyspą wśród bezbarwności oceanowej płaszczyzny...

Nad tem wszystkiem — co mocą faktów istnieje i nad tem, co się wbrew faktom wyłania i w życie ludzkie wchodzi.

Nad tem i jeszcze nad tem, co się czai gdzieś w niebycie, skrada się — i ma stać się dopiero przeczuciem najskromniejszego i najsmutniejszego...

Nad tem rozciągnęły się ręce kobiety.

Która — posiadła.

Kobiety o twarzy trójkątnej, obramowanej czernią włosów tak czarnych, że patrzący na nie czują ból...

. . . .

Adam oczu od fotografii oderwać nie mógł.

To była Nieznajoma. To była kobieta o dwóch cieniach, samobójczyni banalnych kół tramwajowych, ta która się śmiała w takt hiszpańskich kastanietów.

Tu — nad tym barłogiem...

Musiał się ocknąć. W róg izby wbity stał Rydzik. Nieufny, chmurny.

— A co pan doktor będzie ze mną robił?

Adam do obowiązku się przywołał.

— Termometr chcę założyć.

— A!...

Rydzik rękę wyciągnął — i rozpiąwszy odzież, sam mierzyć temperaturę zaczął.

Straszna woń złego tytoniu przepajała powietrze.

Ten człowiek zatruwał się powoli.

— Muszę panu powiedzieć, że palić tak dużo nie wolno...

Jakieś niewyraźne mruknięcie było odpowiedzią.

— To w obecnym stanie zdrowia dla pana jest bardzo szkodliwe... Palić nie wolno, a jeść pan będzie, to co ja panu pozwolę.

Drugie mruknięcie jeszcze bardziej groźne jak pierwsze.

— Żadnej kapusty, żadnej czeladzkiej strawy, przeważnie płyny. Wódki — piwa — wina także pan używać nie będzie. Czy pan mnie rozumie?

Milczenie.

Wreszcie głos ochrypły jakby złamany.

— Cóż? mam z głodu zdechnąć?

— Nie. Będziesz pan pił mleko...

— I zaraz...

A potem znów milczenie.

Adam czuje dziwną nędzę ludzką w tym skazańcu na śmierć straszną, który się jeszcze jadła czepia nie mając widać nic więcej w istnieniu.

Bierze termometr — notuje — i spogląda twardo w oczy skazańca...

— Musi pan mnie słuchać! ja tu odpowiadam za pana zdrowie...

Zuchwalstwo przemyka po szarej twarzy.

— O! musi... nic nie muszę!... także!... musi. Niema musi... o! musi!...

Nienawiść, aż tryska z wybladłych od choroby oczów.

Adam czuje, iż będzie mu ciężej z tym rozgoryczonym i drażliwym na punkcie swej zależności człowiekiem niż przypuszczał.

— Więc pan nie chcę wyzdrowieć?

Lecz rozdrażnienie Rydzika rośnie.

— Ja jestem zdrów!...—krzyczy z nagłym wybuchem — zdrów... ino mnie dusi a to nie

żadna choroba... To oni, te ścierwa wymyślają jako, że ja chory — żeby mnie...

Urwał — pięścią w stronę kuchni groził.

— Żeby...

Lęk śmiertelny mu po źrenicach przewiał i razem z nim wzrósł jego gniew.

— Ścierwa, draby, chaładrygi, złodzieje— krzyczał — ja wam pokażę! ja was nauczę... wy...

— Proszę się uspokoić!...

— Pan doktor nie wie... ale ja wiem, że to te ścierwa na mnie nastają... Teraz głodem chcą mnie zamorzyć... tytoń jeszcze był i to chcą wziąć... Ażeby was pomsta! ażeby was cholera... ażeby was dziesiąta śmierć... ażeby...

Zaniósł się dławieniem. Żyły mu na twarz wystąpiły. Zaczął pluć na podłogę, która cała była pokryta plwocinami.

— Proszę przestać krzyczeć... — zawołał Adam.

— A pomór na ciebie — wrzasnął Rydzik — won mi z chałupy! to moje!... ja tu pan!...

Czepił się filigranowego mebelka wiedeńskiej roboty lecz zaraz butem w niego huknął.

— To moje!... jak pani przyjedzie, to was wszystkich rozegna. Ja powiem — a pani mi krzywdy zrobić nie da, cholery jedne...

Adam z oficynki się wysunął.

Przejął go mróz.

Zdawało mu się, że wstąpił w coś nieczystego, w jakiś kał — że brodzić w nim musi.

— Zażądam koni — odjadę! — pomyślał idąc ku pałacowi, — ten człowiek przeczuł we mnie istotę zależną, jeszcze o niepewnym życiowym gruncie i buntuje się. — A potem ta sytuacya jest straszna. Ten chłop — kaprysem kobiety nie liczącej się z niczem, rzucony do jej alkowy — potem pozostawiony na łaskę losu — szaleje...

— Wstrętne... och jakie wstrętne!...

Z daleka widniały drzewa parku. Adam stanął i z trwogą jakąś na nie patrzał.

— Tu wszystko jest dziwne, straszne — pełne jakichś niedomówień, jakiegoś zła przepojonego zmysłową — rozuzdaną namiętnością — która mijała, która nawet nie miała bohaterstwa pozostać na posterunku.

— Odjadę!...

Wicher lekko nagle zakołysał brzozy. Pod niemi ławeczka czerniała bryłą.

— To ohydne gniazdo... ja muszę stąd iść!

— Zawrócił jakby do stajen, lecz przeszedł mimo.

Wydostał się na pole.

I mimowoli w bezkres równi się zanurzył.

. . . .

Drogą wiodącą daleko wśród ugorów szedł i zdało mu się, że pogrąża się w jakieś zupełnie oderwane i niemające nic wspólnego z tem wszystkiem istnienie.

Tylko od czasu do czasu mijał krzyż— zwalony, spróchniały — podparty.

U stóp krzyża jakieś burzany, jakiś krzak...

Czasem leciuchno kołysze się czerwony kwiat spóźnionego ostu.

I potem znów równia — samotna. Ani na niej drzewa, co to wyrasta sierotą i dzikim bukietem liści o sobie znać daje.

Ni to krasnego maku dziewczęcej spódnicy lub czarnej barankowej czapy parobczaka... Ni to wozu sprzęgniętego końmi o łaciatych bokach.

Nic — nic.

Równia, cisza — i w oddali jakby mleczny pas jakiś dalsze plany — podnoszące się ku niebu, które znów łaskawie równą linią ściska...

Wielka, spokojna bezmyślność...

Brak wszelkich uśmiechów nieba i ziemi, brak wszelkiej goryczy i smutków życia.

To, co się nazywa złem i dobrem; to, co się wydaje olbrzymie i straszne; to, co odpycha lub przeraża; to, co boli lub kocha — wszystko to rozpływa się jak ta linia kresu w barwie białej miłosiernie pochylonego ku niej nieba.

Adam czuje ogromne uspokojenie.

Nie chce myśleć o tem co przeszedł, co go jeszcze czeka jeżeli tu pozostanie. Odpędza

od siebie myśl o trójkątnej twarzy kobiecej, po której płyną pasma włosów, wypływającej z czarnych oparów nad magnackiem łożem, na którem leży barłóg rozkopany butami zbuntowanego chłopa. Zapomina o wszystkiem, tylko nie o tem, że idzie a raczej jest niesiony jakąś siłą w przestrzenie bezkresne i że w tych przestrzeniach wykwita tylko od czasu do czasu znak krzyża— jako symbol odganiający zło wszelakie z czterech stron się czające — i że te krzyże mają podobieństwo do smukłych, czarnych aniołów, które rozpostarły swe długie, wąskie nieruchome skrzydła.

VII

I pomimo postanowienia wyjazdu Adam pozostaje.

A sprawiły to równie ciche i spokojne, a sprawiły to brzozy, które wiatr poruszał lekko.

Wszystko to złe, przed którem się tak wzdrygał wydało mu się małe, żadne, biedne. To mu powiedziały równie i wyrastające z nich irysy - krzyże.

A brzozy przywiały mu obraz ujrzany niedawno.

Zgarbiony, chory człowiek i zgarbiony stary koń — to wszystko w wieczornej ciszy — przytulone bezbrzeżnym smutkiem do siebie...

I te słowa:

— Będą mnie krajali...

Adam uczuł, że w tym krzyku Rydzika, gdy gnał go ze swej izby była głównie trwoga szalona przed tym nożem, który wyczuwał swymi przeczulonymi nerwami.

Adam zaczął wnikać w jego straszny stan tropionego przez śmierć zwierzęcia.

— On biedny jest — mknęło mu przez myśl.

Spotkał się z nim w jednym z pokoi pałacowych. Rydzik cicho, na palcach stąpał po pełnych kurzu dywanach. Ręce przy sobie trzymał, jak dzieci wpuszczone do muzeów. Adam, zdjęty nostalgią, także po otwartych pokojach błądził.

Rydzik wszedł do przedsionka, do którego prowadziły wielkie wspaniałe wschody zamknięte i pełne spóźnionych much.

Na ścianie, rzędem wisiały strzelby, torby—ładownice—pasy i troki.—Niektóre strzelby były rzadkiej piękności.

Rydzik długo obmacywał je, wybierał— wreszcie wziął trzecią z brzegu. — Schylił się pod stół, wyciągać zaczął paczki ze śrutem i z patronami. — Pluł przytem ciągle. Z furyą szukał miareczki do nasypywania śrutu.

— Czorci nadali!...

Adam przez chwilę na niego patrzał.

— Idzie pan na polowanie, panie Rydzik?— zapytał, starając się mówić jak najłagodniej.

Rydzik drgnął — ale natychmiast zaczął zgarniać wszystko co wybrał ku sobie i kierować się do wyjścia.

— A idę... idę... — odburknął — cóż to? nie wolno?

— Wolno, tylko niech się pan nie męczy.

Rydzik był już przy drzwiach.

— Strzelbę wziąłem bo mi ją pani dała... tak, i śrut mój... bo dla mnie go sprowadzili... żeby pan wiedział...

Oczy mu gorączką płonęły.

— A jakby Tarajewicz powiedział inaczej — chrypiał — to łże ścierwo... Dubeltówka moja, bo mi ją dała... Przysięgnę...

I z ponurą fantazyą dodał.

— A potem tak mi się chciało!

Wyszedł, nie skradając się lecz idąc już głośno, jakby chciał zaznaczyć, że on ma pełne prawo przebywać tu w pałacu, tylko nie chce.

Adam patrzył na niego, jak się oddalał w amfiladzie pokoi na tle okna świecącego jasno w ostatnim pokoju. — Siadł zgarbiony, ściągnięty bólem, zeżarty rakiem, tragiczny i smutny.

Wreszcie — zakręcił — i znikł.

Adam błąkał się dalej po tym osamotnionym domu. Wszystko tu stało otworem jakby czekało ciągle na całą grupę ludzi mogącą wypełnić tę pustkę.— W sypialni samej pani ujrzał Adam takie same wspaniałe łoże mahoniowe przyozdobione bronzami jak to, które stało u Rydzika. — Pełno tu było cacek, fraszek zwłóczonych ze wszystkich stron świata i urągających powadze starych mebli rozstawionych z fantazyą niszczącą piękność ich linii.

Nawet delfin zasuszony — pełen prochu walał się na tualecie — a tamburyno odziane

siatką pomponów zwieszało się na ścianie czerniąc napisem:

— Corrida de Torros.

Marmurowa grupa kobiety nagiej, podrzucającej na nodze kota, miała po bokach przepyszne kandelabry w kształcie burbońskich lilii. — Nad łożem zwieszała się wykoronkowana, przepyszna kotara z jedwabiu ljońskiego w cudowne bukiety piór pawich.

Adam cofnął się.

Czuł, iż zaczyna go ogarniać znów to uczucie, jakie doznał widząc zastygłe plwociny na podłodze izby Rydzika. Czuł, że mu pluje w czystość jego duszy — chrapliwem wspomnieniem zwierzęcych uniesień. Nie chciał tego uczucia. Łączyło się z niem teraz wyobrażenie kobiety nieznanej, która mu sobą w duszę niezrozumianym dla niego węzłem wrosła.

— Czyżby to była ona?... ta...

Aż porwał się na tę myśl.

Drzwi od sypialni zatrzasnął.

— Nie... nie...

A przecież ta twarz, tam nad barłogiem Rydzika?

Tak, twarz, ale ręce... ręce wyciągnięte gestem posiadania — podczas gdy ręce nieznajomej spływały ku ziemi gestem zależności...

I jeszcze jedno.

Słowa Miuzowej.

— Kobiety zabijają się z miłości...

Prawda — odwołane później. Ale kto wie, kiedy ona mówiła prawdę...

Więc — z miłości.

Lecz tu — żona Rydzika (bo przecież bądź co bądź baronowa była jego żoną) czuła miłość taką jaka tu z każdego kąta wyzierała.

Namiętność ślepa...

Czy to pchnąć może do samobójczej śmierci? czy raczej nie wskaże możności jeszcze silniejszego użycia, coraz nowego brnięcia w rozkoszy?

A więc — niepodobieństwo.

A przecież — to jest ta sama kobieta.

Ta sama.

Żona Rydzika...

Straszne!...

. . . .

Adam zasłonił oczy i stał tak długą chwilę, aż go porwało coś i biedz zaczął na oślep— niewiedząc dokąd biegnie.

Zatrzymał się przed jakiemiś drzwiami.

Były zamknięte.

Pierwsze drzwi, które w tym domu znalazł zamknięte.

To go oprzytomniło.

Zawrócił się. Znajdował się w wąskiej, długiej galeryi — całej białej — oświetlonej rzędem biegnących wzdłuż jednej ściany okien.

Z galeryi tej był widok na równie — po nad któremi zapadała straszna, groźna — purpurowa tarcza słoneczna.

Horyzont cały był ciemny, jakąś nieznaną, dziwną barwą. — Jakby ametyst pomieszany z szafirem i roztopiony w kotle czarownic. Równie gorzały tym blaskiem.

I było to morze barw, które zalewały wzrok i duszę, — i chłonęły, ciągnęły ku sobie jak tajemniczy wspaniały klejnot, który otworzył swe wnętrze i mistycznie chłonąć chce życie, jego smutki i jego wybuchy.

Jakże inne były w tej chwili te bezkresy! ileż w nich gorzało ciepła i blasku. Jakże się mieniły i grały fioletem i szafirem roziskrzonym milionami drgających świateł. Jakaż to promienna namiętność przelewała się falą z nieba ku ziemi!...

Adam wzrokiem szukał krzyży.

Niedostrzegał ich. Znikły, zatonęły w gorącej powodzi.

Łagodność czarnych aniołów o prostych, wąskich, nieruchomych skrzydłach pochłonął żar szafirów i ametystów, wśród których drżało namiętne słońce.

Adam oczy zakrył. — Tak — tu, w takich bezkresach mogła rozwinąć się istota kobieca, która śmiała się dziwnie wąskiemi ustami.

Taka istota.

O trójkątnej, bladej twarzy i włosach, ból sprawiających tym, którzy na nie patrzą...

. . . .

Jakież one były inne dziś te równie. Jakie inne i jakie straszne...

. . . .

Jakieś szybkie na końcu galeryi kroki.

Tarajewicz idzie z pękiem kluczy. Idzie szybko — i zdziwiony dostrzega wtulonego we framugę okna Adama.

— Pan doktor tutaj?

Adam jakby ocknął się ze snu.

— Chodziłem po pokojach... zbłądziłem...

— Pan doktor się nudzi. — Ja mógłbym dać książki — ale to... takie sobie. Pani baronowa dawniej dla Rydzika kupowała. I kilka pism jest. Kazała prenumerować także dla niego!

Ramionami wzruszył.

— On nigdy nie czytał. Tak się to tam u niego wala. — Już się nie prenumeruje. To szkoda pieniędzy... Było tak — że niby pani baronowa chciała go na uczonego przerobić.

Zmrużył oko i zaczął się śmiać.

— A to z przeproszeniem pana doktora...— dokończył ze śmiechem — to pewna rzecz chłopu a nie zegarek!...

Zadzwonił kluczami i do zamkniętych drzwi podszedł.

— To mieszkanie panny baronównej. Trzeba tam porządek zrobić... może przyjedzie.

— Padł gdzieś daleko — strzał.

Tarajewicz uszami zastrzygł.

— Co to?

— Pewnie Rydzik poluje — odparł Adam.

— On?

— Tak.

— Zkąd wziął naboje?

Adam milczał. — Zaczynał pojmować sytuacyę, i walkę głuchą tych dwóch ludzi, z których jeden miał władzę a drugi, mając wszelkie pozory nawet jej cienia nie miał w dłoni.

— Pewnie znów był w pałacu!... — mruczał Tarajewicz — muszę naboje i śrut pozamykać...

— Słuchajcie — wyrzekł nagle Adam — dlaczego mu bronicie polować? — On musi się czasami rozerwać. — Tak z nim postępować nie można. Każdy gniew mu szkodzi a ja zaczynam zauważać, że mu tutaj dużo na przekór robią. — Jeżeli ja mu pozwalam polować, dlaczego wy mu zabraniacie?

— On niema prawa do tych strzelb co w pałacu wiszą — odparł Tarajewicz. — To są strzelby po panu baronie. — On miał swoje.— Pani baronowa w pierwszych latach to straszne zbytki wyprawiała. Sprowadzała mu z zagranicy — Bóg wie jakie strzelby.... On ma nawet Manlichera. Jak Boga kocham. Jak zaczął w parku strzelać, to kule niosło kilometrami! A pani baronowa się śmiała. Ale... co... Wszystko z przeproszeniem zaflejtuszył, rdza zjadła — spaskudziła i teraz się dobiera do baronowskich strzelb. — Tego ja nie mogę pozwolić!...

Adam próbował perswazyi.

— Skoro baron umarł... co wam do tego. A potem nikt tu nie strzela... nikogo to nie obchodzi...

— Proszę pana doktora... panna baronówna poluje — a potem jakby widziała, że on po tutejszych strzelbach buszuje, to niech Bóg zachowa...

Padł drugi strzał.

— Gdzie on poluje?

— A w kartoflach, pewnie kuropatwy straszy, bo gdzie jemu tam do polowania. Psa niema...

Zaturkotało coś po za stajniami.

— Ktoś jedzie.

Tarajewicz wyszedł zły i gniewny.

— Bronić go muszę — słodzić mu te ostatki dni — postanowił Adam.

— Bezsilny jestem fizycznie... niechże odrobię pieniądze, które mi płacą, moralnie.

Nie chciał przyznać przed sobą, że coś go ku temu „brzydkiemu" ciągnęło. Że to co poprzednio odtrącało go, miało teraz dla niego jakąś tajemnicę rozpadłego grobu.

Gdy odziany wyszedł na ganek, aby udać się na kartoflane pole, gdzie Rydzik kuropatwy płoszy — ujrzał Tarajewicza jak z uniżoną miną stał koło małego wózka, węgierskiego zaprzęgniętego w dwa ładne kare konie. Na wózku siedział jakiś mężczyzna w kurtce bronzowej grubej — tyłem do Adama zwrócony. Kapelusz zdjął i chustką kark z kurzu ocierał.

Tarajewicz przez szacunek także swój kapelusz w ręku trzymał.

Adamowi zdało się, że ten kształt głowy — specyalny, wypukły u dołu, widział już gdzieś i wyróżniał go wśród tłumu.

— Czemś mi się w myśl wbił—pomyślał.

— Kazała powiedzieć, że będzie jutro... niechże Tarajewicz konie wyśle...

— Dobrze, będą.

— Ja nie mogę po nią jechać, bo mam w Kliszowcach polowanie.

— Słucham, jaśnie pana.

— Niechże więc Tarajewicz...

Adam szybko przeszedł mimo.

Ktoś miał przyjechać, po kogoś wysyłano konie.

— Pewnie baronowa — myślał Adam — musieli po nią telegrafować. Powinna przyjechać. Ostatecznie to jej obowiązek...

Na polu, gdzie wlokły się liście spalonych kartofli, błądził Rydzik. — Szukał teraz w krzakach czegoś. Zginał się z ciężkością, pluł i klął. Gdy zobaczył idącego ku niemu Adama zaszył się w krzaki i zginął w jakiejś kępie samotnie rosnącego jałowca.

Lecz Adam rozgarnął krzaki.

— Cóż pan tam szuka?

Rydzik bokiem spojrzał. Jego rysy orle wyostrzyły się nieprzyjaźnie.

Adam się nie zrażał.

— Trafił pan? Słyszałem strzał. Pomogę panu szukać.

Rydzik natychmiast z krzaków wylazł i ścisnąwszy silnie w garści dubeltówkę zuchwale na Adama spojrzał.

— A ja strzelby nie dam... — mruknął.

— Po cóż pan ma strzelbę oddawać?

— No...

— Co — no? — Nieś ją pan, strzelaj — rób z nią co chcesz. Tylko trzeba czyścić i nie zaniedbywać, jak pan zrobił ze swojemi.

— A to ścierwo! a to ścierwo!...

— Kto?

— To ścierwo Tarajewicz! Już powiedział. Cholera! pomsta na niego!... Jakże miałem czyścić, jak mi czystkę ktoś ukradł...

Urwał i dodał złamanym głosem:

— A potem byłem chory... chciałem, żeby mi Jędruch pomógł ale i ten hycel nie chciał... I tak — nawet Manlichera dyabli wzięli.

— No... to i lepiej.

Rydzik, aż poczerniał z furyi.

— Jakto lepiej?... Pan wie ile on kosztował? Pani baronowa zapłaciła paręsta papierków...

Adam oponował.

— Nie powinna była żona sprowadzać panu Manlichera.

— Na dziki...

— Pan dzików nie strzelał, tylko kule kilometrami roznosił.

Blady uśmiech przewinął się po ustach Rydzika.

— A jakże... jak Boga kocham... Czasem strzelę w parku niby do żórawi, albo tak do drzewa, a tu gdzieś czorci kulę pognają... Potem gwałt — pan wie... takie miałem dum... dum... Heca!...

Rozjaśnił się.

Twarz jego zabłysła śladami ogromnej piękności, jaką czasem chłopi na Rusi się odznaczają. — Piękność ta polegała na uroku uśmiechu, który usta w prawdziwą „krasę"— barwił.

— Niech pan tam idzie do parku... — zaczął znowu — tam het, dęby, lipy — sosny — to wszystko poharatane... To ja... tak...

Głowę zwiesił, uśmiech zbladł.

— Teraz, nic...

Adam zaczynał odczuwać dlaczego drzewa parku, tak bardzo nieprzyjazne były.

Zranione posyłką kuli, którą słał rozbawiony i podniecony chłop — zranione w majestacie swej wielkiej piękności i siły!...

Przykute do ziemi... bezbronne — poddawały swe ciało na żer swawoli człowieka. A opodal śmiała się kobieta — o pasmach czarnych włosów, które ból sprawiają, śmiała się ukazując kły...

Nagle Rydzik się pochylił i pochwycił łapczywie ciepły trup kuropatwy.

— A jesteś gałganico!...

Krew mu ciekła po chudej ręce — ciepła krew, świeża...

Jemu, który śmierć w sobie niósł — ta świeża śmierć, rozkosz sprawiała.

— Zabiłem — co?... Zatryumfował. — Psa nie mam. Moje wyzdychały a ostatnią Haśkę to mi ta szelma kucharka otruła. Żeby mi choć kiedy Milnę pożyczyli. Ale co?... boją się Wiśki. Nie da!

— Kto jest Wiśka? — zapytał machinalnie Adam.

— Córka pani baronowej.

Jakiś strach, jakiś szacunek brzmiał w jego głosie.

— No... to pańska pasierbica!

— Jako to?

— Przecież pan jesteś jej ojczym, skoro się ożeniłeś z baronową?

Z pod nieokreślonego koloru brwi, padło na Adama spojrzenie tępe i jakby cieniem bólu przepojone.

Rydzik otwierał usta jakby chciał coś powiedzieć, nagle splunął i odwrócił się. Bez jednego słowa — zaczął iść szybko o ile tylko mógł, polem — dążąc ku dworowi. Po ubraniu, ciekła mu powoli brunatna krew kuropatwy uwieszonej u troków. Wlókł tak swego trupa — ten zwycięzca półtrup. — Drobne ciało ptaszęcia zawisło bezwładnie u jego boku.

Po nad nim — niebo z ametystów i szafiru gasiło swój blask i rozpływało się w jakiemś

czarnem rozpyleniu. Tylko na zachodzie, tam gdzie zapadło słońce, roztoczyło się czerwone zjawisko.

Rozłożył się po rżysku snop promieni o tęczowych blaskach, i drżał półkolem i migotał jakby tam paliły się wszystkie brylanty z całej zgromadzone ziemi.

I znów krzyże miłosiernie wykwitły ciemnią aniołów czarnych, o rozpostartych skrzydłach. Na tem tle, wśród tych anielskich krzyżów szedł Rydzik i nagle zwolnił kroku.

Pochylił się, zaczerpnął garścią ziemi i zaczął się jej miłośnie przyglądać. Ciekła mu powoli przez palce, ciekła razem z krwią ptaka, spadając na zczerniałe i poskręcane liście kartofli.

I Adam patrząc na niego zrozumiał, że był to człowiek prymitywny — człowiek ziemi i krwi — który instynktów swych pozbyć się nie mógł.

Ziemia i krew!...

. . . .

Na horyzoncie gasł snop promiennej poświaty.

. . . .

Piła go ziemia tak jak piła krew zabitego ptaka.

Oddawała pochłonięte skarby żarem i życiem,

Ze śmierci tworzyła życie.
Ziemia i krew!
A straż trzymały anielskie krzyże nieruchomo kwitnąc w przestrzeni.
Krzyże!...
Nad ziemią i krwią.

VIII

Adam postanowił pracować wiele i intensywnie. Cisza, spokój. — Do wiedzy lekarskiej brakowało mu wykształcenia duchowego. Zużyć chciał ten czas aby urobić w sobie— charakter.

— To przecież można... — myślał — zaczerpnę z innych to, co sam przejść byłbym zmuszony. Inni gdy stanęli u kresu życia zostawili nam doświadczenie swoje. — Korzystać zeń będę...

Lecz — nie robił wiele. — Z podzielonego umiejętnie dnia nie odniósł wielkiej korzyści.

— Obserwuję innych... ale nic nie przyswajam sobie. — Wiecznie s ą d z ę — dlaczego? Kto mi daje prawo? Dlaczego nie mogę jeszcze wyplenić ze siebie tych w s t r ę t ó w, którymi zatruwam sobie życie? Wszak w głębi mnie już zrodziło się przekonanie—że—n i e m a l u d z i z ł y c h, s ą t y l k o n i e s z c z ę ś l i w i!...

Aż drgnął gdy sformułował te słowa, które pulsowały w nim zawsze od chwili, gdy przyszedł do możności klasyfikowania swych wrażeń.

Przypomniał mu się letni wieczór na plebanii u wuja. — Szli pomiędzy ulami, które nieforemnie dźwigały się ciche i tajemniczo. Powietrze pachło lekko rozpieczoną gorącą wonią żyta dojrzałego, którego łany ciągną się zaraz za płotem.

Wuj szedł w swej wytartej sutannie zmęczony pisaniem kazania na jutrzejsze nabożeństwo niedzielne. — Tematem, jak zawsze miały być grzechy i nieprawości ludzkie. Srogie, pełne gromów słowa potępienia miały spaść na głowę gromady zebranej wśród ścian kościołka.

Ci zjedzeni wódką i tyfusem ludzie, pół zbydlęceni przez fatalne opary małomiasteczkowej cywilizacyi — dzicy od dziecka, źle uczeni i kierowani — nurzający się w nędzy i rozpuście — potępiani byli co niedziela bez wniknięcia w przyczyny ich zła — anatemą rzuconą z ust starca, którego twarz pełna i dobrotliwa stanowiła nieokreślony kontrast ze słowami, które mu z ust gradem piorunów leciały.

— Będziesz znów potępiał? — pyta jakby te myśli dławiły go zanadto.

Stary ksiądz milczy chwilę, wreszcie rozkłada ręce bezsilnym gestem.

— Muszę!

— Nie.

Stanęli u płota, po za którym złocą się fale zbóż i cicho ćwierkocą chrząszcze zapadnięte w las kłosów.

— Jakto — nie?... Jakże z nimi inaczej... przecież wiesz co to za obwiesie...

Łagodne zadumanie powleka twarz Adama.

— Zastanowić się — mówi — zastanowić się dlaczego są tacy.

— Boga w sercu nie mają.

— Wypełń im serca miłością dobrego dla dobra... Zobaczysz rezultaty.

Mówi — a dziwi się sam, że śmie. Od wuja zależy. Jednak czuje — inaczej nie może.

Starzec ciężko o płot wsparty — patrzy na niego z pod brwi ściągniętych.

— Uczę według tradycyi... Sprawiedliwość...

— Właśnie. O nią chodzi.

— Sprawiedliwy rozdział kar.

— Ach ciągłe te... kary!

— Za występek musi być kara.

— Na to już ludzie ustanowili kodeksy, prokuratorów i sądy... Cóż więcej?... Błękit wszechświata nie zna krat. Boga w tym wszechświecie szukasz? Tam wolność! Wuju...

Urwał na chwilę — i dodał.

— I dobroć!... bezmierna!... bezgraniczna... dobroć!

Lecz starzec głową potrząsał.

— Nie, nie... kara... to jedyny hamulec.

— Dobroć, to jedyny możliwy motor życia!

— Szaleniec!...

I zaraz ze wzruszeniem ramion dodał.

— Twój ojciec był lekkomyślny.

Milczeli długą chwilę.

W zbożu ćwierkanie wzrastało. W oddali z wikliny, która smugą się znaczyła po nad linią błękitną rzeki słychać było nawoływania rąbiących chłopów.

Od wody — przez łan zboża płynęły jakieś opary.

Świat cały tonął w łagodnem rozmarzeniu. Zdawało się, iż niema tu miejsca na występki i zbrodnie — że wszyscy posiedli dumną miłość dla dobra, które w sobie samem znajduje przyczynę i podnietę.

Tymczasem siwe oczy księdza wbiły się w twarz chłopca.

— Więc dla ciebie niema występku?

— Jest tylko... nieszczęście.

— Niema ludzi złych? podłych? zbrodniarzy?

— To są nieszczęśliwi.

. . . .

To wszystko przypomina sobie Adam teraz w osamotnieniu i ciszy gdy myśli o Rydziku, który krwią bezbronną ocieka, o jego żonie rozszalałej krwią i nerwami, o Miuzach, którzy okradli mienie trupa, o Tarajewiczu, którego złodziejstwo przeczuwa, o tej Nieznajomej, która śmieje się wampirem i samobójczo ku ziemi się skłania, o samym sobie, który jeszcze mimo wszystko porywa się czasem do sądu czynów innych, i wstrętem oddycha...

— Krwiożerczość, mord... oto — człowiek jaskinny. — Dano nam pazury, kły — kobiecie dano nerwy, żądzę i możliwość wzbudzania żądzy dla stworzenia cudu — i chęć nagła powstała przeistoczyć ten pęd naturalny i ponalepiać etykiety — występek. Pazury obcięto i oszlifowano... kły same się starły — samoobrona zbyteczna. Na to są kodeksy i paragrafy... Kobietę przetworzono...

Zatrzymał się myślą.—Wionęły przed nim dziewczęta Fra Filippo i kasztelanka zaklętego parku.

— Tych, nawet występki są pięknem. Kto śmiałby je potępić? kto śmiałby je karać?...

Wicher jakiś szumiał po drzewach parku i rozwiewał gałęzie brzóz.

— I wszystko człowiekowi stało się wrogie... wszystko... bo chciał posiąść siłą i trwogą. Posiadł częściowo — lecz jest znienawidzony. — I dziś mści się na nim jad wściekłych zwierząt i żmij, mszczą się fale wód tłocząc się w usta topielców, mści się skała waląc dynamitem szarpane cielsko na mrowisko ludzi, które ją obsiadło, mści się drzewo ściągając piorun na drwala, który się pod nie schronił, mści się wreszcie ziemia wstrząsając się z obrzydzeniem i ziejąc ogniem i żarem na cuda i wytwory piękna, które człowiek na jej powierzchni utworzył.

Nienawidzi nas wszystko!...

Głucha, straszna walka wre dokoła. I czoło człowieka ociekło potem, pełen wysiłków sprytu aby tę nienawiść oszukać — wymyka się ciągle z nienawistnych zasadzek jakie to wszystko na niego zastawia.

Zemstą dyszy dokoła niego.

Zemstą — za co?

Myśli te opadają Adama dziś więcej, niż kiedykolwiek. Gdy dziś rano — przyszedł odwiedzić Rydzika — wziął ze sobą trochę jakichś illustracyi zwalonych w kąt izby. — Przerzucając je, spotkał artykulik, traktujący statystycznie chorobę raka.

Autor — dowodził, iż na raka chorują najczęściej i najwięcej ogrodnicy, rolnicy — słowem ludzie mający do czynienia z ziemią. Udowodnił to statystycznie.

A więc — ziemia mściła się na Rydziku za to, że ją wyzyskiwał — ciągnąc z niej soki i podniecając ją do twórczości na jego korzyść tem, co ludzie zwą — uprawą.

Gdy w młodości swej szedł za pługiem i pruł ziemię, i rany w niej bezmyślnie czynił — ona z zemsty pyłem swoim posłała mu jad, który go teraz zgniecie, rozrani i powali.

Nietylko ziemia — bo i... krew.

Krew zwierząt mordowanych — bo Adam, w księgach swoich czytał, że rak pojawia się u tych, którzy żywią się mięsem zwierzęcem.

A więc — ziemia i krew.

I przed oczyma stanął mu Rydzik, jak idąc w blaskach słonecznego widma, rękę wyciąga a z ręki tej cieknie ziemia i krew.

. . . .

Myśli te tak zdręczyły Adama, iż nad wieczorem uciekł znowu w pole. Lecz już nie szukał Rydzika, który znów błądził po kartofliskach i strzelał kuropatwy, pomimo protestu Tarajewicza.

— Zemsta wszędzie, nienawiść, kara, potępienie...—myślał Adam—dlaczego? dlaczego?...

Idąc wśród stogów słomy, widział szeregi mozolących się ludzi w szarych płótniankach, co najwyżej, poznaczonych bronzową barwą jakichś kaftanów lub mchową barwą spódnic kobiecych.

Trudno sobie przedstawić doskonalsze sharmonizowanie barw do ogólnego tonu krajobrazu ruskiej ziemi. Był to zespół kolorów idealny— ani na chwilę nie wywodzący z nastroju. Ludzie szarzy, jak ziemia, jak pył — zaledwie mchów sięgając nieśmiało, chęcią rozweselenia odzieży, mchów i pniaków sosen.

— Jak oni mnie muszą nienawidzić — myślał uchylając przed nimi kapelusza.

Patrzyli na niego z podełba i bokiem. Nikt mu prosto w oczy nie patrzył.

Nie mieli bowiem w sobie ani jawności swych myśli, ani uśmiechów.

— Chciałbym, żeby mi który z tych ludzi wyrządził ciężką krzywdę — myślał — i żeby mi

dał sposobność poświęcić się dla niego. — Złamałbym w ten sposób resztę tego zła, które jest jeszcze we mnie!

Było to dziecinne prawie, jakieś niejasne — może śmieszne — ale miało w sobie zarys ideału moralnego w najczystszem tego słowa znaczeniu.

Dobro dla dobra. Nic więcej.

O zachodzie zawrócił Adam i szedł przez ugory ku grupie drzew, która wrogo na horyzoncie ciemniała.

I drzewa nieprzyjazne...

Zranione i nadżarte kulami — o niezagojonych bliznach.

Z tej strony pól — park miał wysokie żelazne kraty w formie dzid. — Zardzewiałe od deszczu — resztki dawnego opasania własności. Adam dostrzegł je po raz pierwszy.

— Nie byłem jeszcze w tej stronie pól.

Po za kratami, jak uwięzione grono rycerzy w plen wziętych ciemniały drzewa. Łamały rozpaczliwemi liniami swe konary i wyciągały je ku niebu. Nad niemi niebo przybierało dziś złote tony — jakby roztopiły się nagle przeogromne masy złota i zalały przestworza. Złoto wchłaniało nawet w siebie słońce i zalewało je blaskiem. I niewiadomo już było co jest tą światłością — co było źródłem rozlewającem złoto dziwne i jakby nadzieją nad beznadziejnością tych równin płonące.

Adam poczuł dziś po raz pierwszy jakąś łagodność, jakieś sfolgowanie grozy i rozpaczy, która go martwotą rzeczy opuszczonych a mściwych tu ogarniała.

Kładzie się po ugorach cichy smętek i rezygnacya?

Kto wie.

Adam wpatrzył się bezwiednie w aleję która po za dzidami krat przez park na jakąś polankę prowadziła. Łączyły się nad tą ścieżką gałęzie lip i tworzyły sklepienie liści zżółkłych i delikatnych. Tylko plamy złote od słonecznego blasku padały na ziemię zarosłą zszarzałą trawą, i złociły się jak topazy, osadzone w ścianach pokrytych patyną kosztownej trumny. — Na tę zieleń, na te blaski leciały wolno liście o ognistych lub bladych tonach, i padały bez szelestu jak wielkie krople złotego deszczu.

— W marzeniach moich widziałem to wszystko — myślał Adam — i tylko...

Lecz dech mu zamarł w piersiach.

Stanął i zmienił się cały we wzrok.

. . . .

Po ścieżce tkanej topazami i patyną o weronozowskiej zieleni — pod baldachinem gałęzi — na tle jasnym, ku kratom złoconym i zjedzonym rdzą — idzie kobieta.

Ma na sobie długą wełnianą suknię ciemnozielonej barwy i dwa pasma czarnych włosów okalają jej twarz białości alabastru. Oczy

ciemne mają nieprzejrzane głębie — ciemne rzęsy cień na nie rzucają. W liniach jej postaci, w spojrzeniu, w zagarnianiu szatą liści tulących się jak ptaki konające u jej stóp — jest bezbrzeżna melancholja dusz cierpiących, jakby ludzkość w niej zamykała księgę swoich smutków.

Chód jej był tej, która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego obszaru ziemi.

I ręce jej opuszczone...

Te ręce w poczuciu zależności opadłe ku dołowi...

Ręce, które mogą się wznosić tylko w górę rozpaczną linią — lecz nie walczą...

Te ręce kobiety o dwóch cieniach. I o samobójczej myśli.

. . . .

Adam stoi, patrzy i widzi przed sobą złączenie swych myśli, wrażeń, — pragnień i lęku. Idzie ku niemu wyśniona kasztelanka z jesiennego parku za koronką złoconych dzid.

Idzie ku niemu kobieta, której namiętność musi mieć omdlenie skupionych w sobie dusz.

Idzie ta, która pragnęła śmierci...

I, która ma twarz trójkątną.

Twarz dziwną, okoloną pasmami czarnych włosów, które zda się z niej całą barwę wypiły. Kobieta doszła do kraty i zatrzymała się. [illegible] wolnym ruchem podniosła ręce w górę. Spłynęły ku ziemi długie ciemne draperye jej sukni.

I pozostała tak nieruchoma — z rękami wysoko uczepionemi krat — z twarzą przylgniętą do rdzy — zapatrzona w bezkres równi — i w roztapiające się w bladej już powodzi słońce.

. . . .

Adam z całą siłą woli oderwał się od miejsca i powoli, okrążając park, zaczął iść ku dworowi.

W głowie jego zapanował chaos. — Nie wiedział czy była to rzeczywistość, czy tylko zjawa.

Koło stajen spotkał Tarajewicza.

— Panna baronówna przyjechała! — rzucił przebiegając.

Adam dochodził powoli do ganku.

Cofać się nie mógł.

Spotkali się u stopni ganku.

Spojrzała na niego — pierwej nim uchylił kapelusza. Ogarnęła go taką głębią spojrzenia, iż Adam uczuł prawie ból fizyczny. — Lecz już wzrok jej stawał się obojętny, kąciki ust układały się szablonowo.

Czuł, iż musi przedstawić się.

— Jestem Walkiewicz.

Skinęła mu głową i wstąpiła milcząc na wschody!

Tam koło oleandrów zatrzymała się i raz jeszcze spojrzała na niego.

Był to wzrok jakim operator patrzy na chorego.

Nienawiść błysła.

Nienawiść kobiety dla mężczyzny?

Wieczysta walka dwóch płci?

Czy tylko człowiek nienawidzący człowieka? Lub istota silna nienawidząca drugiej istoty, która posiadła tajemnicę jej chwilowej słabości ducha?

Z po za węgła pałacu wysunął się Rydzik. Szedł z dubeltówką — pustemi trokami z drugiej strony pól i przechodzić musiał koło pałacu.

Dojrzawszy baronównę przyśpieszył kroku. Bardzo pokornie zdjął kapelusz i pozdrowił ją niezgrabnie. Ona niezdawała się go widzieć.— Wzrok jej stał się szklannym. Tylko coś pod skórą przebiegło jakby nerwy zadrgały.

Rydzik przeszedł — mając pozór psa obitego. Stulił głowę w ramiona, dubeltówkę ukrywał na piersiach. Adam w ruchu tego człowieka uczuł, iż cierpi. Odwrócił się i szybko za nim iść zaczął.

— Panie Rydzik — zawołał.

Lecz ten gniewny — spojrzał na niego tak nieprzyjaźnie, iż Adam pozostał na miejscu.

Równocześnie posłyszał suchy trzask drzwi wchodowych.

Baronówna weszła do pałacu, weszła nieprzyjaźnie.

Rydzik się od niego odwracał.

Park cały był mu wrogim — drzewa go nawet przytulić nie chciały.

. . . .

I ogarnęła Adama tak bezbrzeżna melancholia — jak bezbrzeżne zdały się równie tej Rusi, która dokoła niego pierś swą szarą, bezbarwną — równią smutną rozciągała.

CZĘŚĆ DRUGA.

I

— Tak, to jej córka — myślał Adam pochylony nad łóżkiem Rydzika i mierzący — mu temperaturę.

Oczy jego mimowoli codziennie biegły ku tej twarzy kobiecej, jakby zawieszonej nad łóżkiem chorego.

Twarzy dziwnej — fatalnej.

Ni to upiorzyca, ni to lampa co czuwa niby u wezgłowia a płomień jej oświetla źle i nieprzyjaźnie.

A przecież w tych oczach tkwi smutek przeznaczeń tak ostro zaznaczonych, że woli aby wyłamać się z pod nich niema...

Przynajmniej Adam chce ten smutek dopatrzeć.

Kto wie...

Rydzik chory od dni kilku — pokłada się. Wbrew zakazowi porwał z kuchni pampuchy z serem i kartoflami i zjadł ich kilka. Pogorszyło mu się. Podłoga cała zapluta.

Adam nie jest w stanie wytłómaczyć i uprosić aby plół w spluwaczkę. — Z trudem znalazł dziewkę, która wyszorowała podłogę i zmyła ją sublimatem. Rydzik skurczony na łóżku z ironią śledził tę pośpieszną dezinfekcyę. Gdy dziewka skończyła swą pracę — zebrał siły i plunął z całej siły na podłogę.

Czarniawy osad — podobny do kawy — nieomylny znak raka rozpostarł się na deskach.

Dziewka stanęła, popatrzyła — i z ust jej rozległ się potok przekleństw wyzioniętych piskliwym głosem.

Na te przekleństwa odpowiedział Rydzik chrapliwie jeszcze straszniejszą seryą życzeń i zakończył je ponownem tryumfalnem plunięciem.

Dziewka zabrała swe ścierki i kubły, groźnie błyskając małemi szaremi oczkami.

Lecz — we drzwiach ukazał się Adam i nakazał jej milczenie.

— Cicho bądź... on chory.

Dziewka pociągnęła na nos chustkę.

— Chory... bo się nażarł.

I wyszła z łoskotem waląc kubłami o drzwi i otwierając je nogą.

Adam prawie zniechęcony zbliżył się do łóżka, na którym w brudnej, kratkowanej koszuli leżał Rydzik.

— Proszę zmierzyć temperaturę! — wyrzekł podając termometr.

O! jakże chętnie byłby usiadł przy tym człowieku — przemówił do niego z głębin najlepszej swej istoty — wprowadził go powoli w świat pięknej, przedśmiertnej rezygnacyi.

Lecz — dość było spojrzeć na tę twarz wrogą, w której cała potęga chorego i zmożonego siłacza-chłopa — biła jadem z pomiętych i pooranych pazurami bolu — rysów, aby zrozumieć, że chwila ta nie nadeszła i kto wie czy nadejść może.

Na poduszki opadł — leżał nieruchomy siny — szary — w oświetleniu poranka.

Adam, który tułał się od chwili przybycia do tego domu między rzeczami o wrogich i smutnych podstawach — zaczynał czuć fizyczne jakby cierpienie na myśl, że tyle jakiegoś bolu, nieporozumienia nagromadzonego jest w tej ciasnej przestrzeni i tłoczy tak życie ludzkie.

Najbliższy mu był Rydzik, gdyż obowiązek kazał mu się nim zajmować.

— Nie wiem jak wielką była doza jego szczęścia w życiu — myśli, patrząc na twarz prawie martwą i od bolu ściągniętą — to widzę przecież, iż ten człowiek jest najzupełniej nieprzygotowany na to, co go jeszcze czeka...

I zaraz przychodzi pragnienie.

— Ach! gdyby pozwolił się przygotować!

Adam jest wyjątkowo duchowo zorganizowany.

Adam nie szydzi z samego siebie w autokrytycznych chwilach. I to mu dopomaga do

szczerych i trwałych postanowień. Sonduje się, sądzi — lecz i dla siebie ma miarę dobroci, która cechuje jego charakter.

I swoją duszę chciałby uczynić mniej smutną, gdy przyjdzie nań zwątpienie czy dobrze uczynił. — Przez to różni się od przeciętnych ludzi, którzy z taką furyą i nienawiścią sami na siebie się rzucają.

Bo — stało się modne teraz ostrzyć ironiczny jad nienawiści, przedewszystkiem na samym sobie.

Modne.

Nienawiść, którą zioną jedni ludzie ku drugim — kształcą na własnych ja.

— Nienawidzę wszystkich — zacząwszy od — siebie.

I nigdy pobłażliwości, nigdy współczucia, nigdy sprawiedliwej miary.

Czyny wszystkie przez sitko nienawiści, linie ciała i postępków, każda myśl jeszcze nie sformułowana wysmagana bez litości.

I nasze ja, nieśmiałe, skrzywdzone — powoli staje się niezdolne do pięknych objawów lotnych i śmiałych.

Lęka się codziennej chłosty, ciągłej szpicruty przecinającej dech, świszczącej nieprzychylnością.

Bez buntu nawet ulega.

I wstydzi się potem nawet sięgnąć w region dobra, choćby lekkomyślnego i odruchów nie zważonych na wadze rozsądku. Wlecze się,

nie wzlata. Ma pozór ptaka, któremu złośliwy a brzydki chłopak podciął skrzydła.

Szczególniej tak gnębią siebie... młodzi.

I zgnębiwszy — nienawidzą milczącą ofiarę, którą za sobą wloką.

Znienawidziwszy — pozbyć się jej pragną.

Przychodzi księżycowa noc.

Grają nerwy.

Chwyta się pistolet.

Na ziemię osuwa się trup.

Częściej całe życie wlecze się tak znienawidzone „ja“ — czyjeś i zajmuje miejsce ku ziemi ciążąc. Takie biedne, sponiewierane „ja“.

. . . .

Adam tego nie miał od dziecka.

Wyrósł wśród ziół, traw, pól.

A były mu tem wdzięczne, i przyjazne rosnąc koło małej plebanijki wieńcem w obramowaniu wzgórz.

Śmiały się doń lipy pachnące i strząsały swe białe kwiecie, mówiąc dziecku:

— Patrz! jesteśmy piękne i dobre. Piękne i wspaniałe... dajemy woń, dajemy miód.

A macierzanka pod drobne nóżki dziecka się słała i szeptała z cicha:

— Jestem miła i wonna — ametyst nie jest w barwie piękniejszy a woń moja orzeźwia i sił dodaje.

Pomiędzy zielenią łąk rwał się Dunajec, nad którym skakały po kamieniach małe śliczne ptaszki.

I fale szemrały:

— Srebrne jesteśmy — srebrne jak połysk ciała rusałki — a w nas cały świat żyje i niesiemy go z gór w morską dal. — Otulamy go sobą — życie mu dajemy... Nad nami słońce, a w nas tęcza...

Chłopiec błądził wśród tych śmiejących się i radych ze siebie szeptów. I powtarzał bezwiednie:

Nade mną słońce — we mnie tęcza...

. . . .

Wyrósł z tym szmerem w duszy. — Z przyrody, która mu była jakby matką, wziął jej melancholię srebrną i roztęsknienia mgieł rannych. — Smutny był — lecz nie miał w sobie nienawiści ani jadu. — Nie był sobie wrogiem — przeciwnie, uważał siebie za swego nierozłącznego przyjaciela, którego chciał upiększyć i ulepszyć w jego brakach. Nie zniechęcał się chłostą ironii lecz szukał przyczyn, dlaczego tak — a nie inaczej.

Nie był więc modnym.

Lecz był za to nawskróś dobrym — dla wszystkich, zacząwszy od siebie samego.

. . . .

Pochylił się nad Rydzikiem.

— Niech pan pozwoli...

Poprawił mu pościel. Czynił to nie jak człowiek, któremu za to płacą, ale jak człowiek, który ma ten gest w sobie. Ręką wyczuł pod prześcieradłem jakieś drewno.

— Na czem pan leży?

Rydzik się żachnął.

— To moja rzecz.

— Na czem pan leży? Proszę powiedzieć, ja pana nie wydam.

Milczenie.

— Dlaczego mi pan nie wierzy. Ja przecież wiem i bez pańskiego powiedzenia; pan zabrał ze sobą dubeltówkę do łóżka, bo się pan boi, żeby jej panu nie odebrali.

Rydzika, aż podniosło.

— A gdyby to i co? — warknął.

— Przedewszystkiem proszę o spokój— o!... widzi pan — już pana porywa.

Z ust Rydzika pociekła ciemno brunatna ciecz.

— A gdyby... dławił się — to przecie moje — ona mi darowała!...

Wskazał oczami na fotografię kobiety o trójkątnej twarzy.

— Da - ro - wa - ła!...

— I nie dam... zabiję a nie dam!

Padł na poduszki — Adam otarł mu brodę i pierś. Podał mu parę kropel morfiny.

— Niech pan to weźmie.

Rydzik rękę jego odtrącił.

— Won! — krzyknął — nie chcę!... Strujecie mnie. Ja was znam. — Ja zawadzam, Rydzik próchno... Rydzika usunąć... co? co?...

Nie miał sił się podnieść. Straszny był— oczyma zakrwawionemi Adama przebijał.

— Dużo ci za to zapłacą? co?...

Adam morfinę mu wciąż podawał.

— Niechno pan to weźmie.

— Won!...

Adam usunął się w kąt izby, lecz nie odchodził tak, jak to uczynił po raz pierwszy, gdy go Rydzik z izby wyganiał.

— Jak on cierpi...— myślał — jak on cierpi podwójnie... a ja nic dla niego nie mogę.

Rydzik tymczasem bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

— Wiśka... smerda... szelma jak inni— o... uczyłem jeździć... powozić — szelma. Nie zna... wszyscy — kopnąć... po co?... ścierwa...

W sieniach zachrobotało.

Rydzik porwał się z pościeli — rękami drżącemi dubeltówkę pod prześcieradło zwleczoną zasłaniał.

— Nie dam...

Na progu stanął Tarajewicz.

Po izbie się obejrzał.

Rydzik z wysuniętą naprzód szczęką czekał, dysząc ciężko.

Adam się wysunął na środek izby.

— Pan tu po co? — zapytał Tarajewicza.

Rządca brwi zmarszczył.

— Jednej dubeltówki brak... muszę mieć pod rachunek. Może jutro pan Toczycki zechce polować...

— Nie dam! — ryknął nagle Rydzik.

— Proszę pana stąd wyjść — rzekł stanowczo Adam — pan drażni chorego...

— To jest dobro pani baronowej, ja muszę pilnować.

I znów ryk.

— Nie dam!...

Adam zmusza Tarajewicza do wyjścia i sam z nim wychodzi.

— Na Boga, jak wy z tym człowiekiem postępujecie. Dlaczego mu nie dacie spokojnie żyć?

— Nikt mu nic złego nie robi. On sam jest nieusłuchany i dokazuje... Panna baronówna jak zobaczy brak w strzelbach, to się będzie gniewać.

— Ale pani baronowa jak się dowie, że jej mąż niema należytego spokoju, będzie się jeszcze więcej gniewać.

Nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy Tarajewicza.

— Ech!...— machnął ręką.

— Ja będę zmuszony zawiadomić.

— Ja zaś muszę pańskiego dobra strzedz.

Adam się szalenie zniecierpliwił.

— Proszę mnie tę sprawę zostawić, ja się zobaczę z baronówną.

— Ha... skoro tak.

— Tak!

Tarajewicz ku budynkom folwarcznym odszedł. Adam powrócił na chwilę do Rydzika.

— Proszę się uspokoić — wyrzekł — ja zrobię to, aby panu strzelbę zostawiono.

— No... to dobrze. Bo ja nie oddam, żebym miał ich wszystkich powystrzelać. Ja z koromysłem na polowanie chodzić nie będę. Niech pan to tej ścierwowskiej Wiśce powie...

Adam ku fotografii oczami pobłądził.

— To... matka — tamtej, która się zabić chciała, — przemknęło mu przez myśl.

Cała scena na ulicy, to usunięcie się w ciemny zaułek, jej spojrzenie, łzy i potem ucieczka stanęły przed nim z taką jak nigdy dokładnością.

— Zabić się chciała! — myślał idąc ku dworowi.

Przeszło tydzień mieszkał z tą dziewczyną pod jednym dachem a czuł się tak sam jak poprzednio.

Nic nie zaznaczyło, że oprócz niego w tym domu jest jeszcze jedna młodość świeża, bujna, żywa. Czasem przemknęła się pokojowa w ciemnym fartuchu, czasem przeszedł Tarajewicz lub poniesiono z kuchni tacę nakrytą serwetą.— Raz dziewka zbierała bratki, które rosły na zapomnianej grządce wokoło werandy — i poniosła je w głąb domu.

To było wszystko.

Tylko wieczorem, z dwóch okien lewego skrzydła padała smuga światła i drżała na grządkach bratków, na piasku ścieżki. — Smuga

tego światła była dyskretna i delikatnie stonowana przez zapuszczoną roletę z białego płótna.

Adam widział tę smugę i przyzwyczaił się łatwo do niej. W pierwszych dniach niepokoiła go. — Teraz była martwa — i zdawało się, że w tem świetle nie żyje chyba nikt, nie porusza się nikt... nie myśli nikt...

Adamowi ta kobieta stawała się równie niewidzialną i niedostępną, jak tamta na fotografii, nad łóżkiem swego męża - parobka.

Tak długo w niepewności — mieszał razem one obie — tak długo mu były jedną, że teraz choć wiedział, że jest ich dwie — że jedna z nich jest blisko — to przecież tak mu znikła, tak stała się dlań daleką, iż bliższa mu była ta „matka“, którą widywał codziennie w czarnych mgłach i czyny jej otaczały go nieubłaganym szeregiem faktów fatalnych i strasznych.

— Wiśka... Wiśka... — brzmiało mu teraz w uszach — ścierwowska Wiśka...

Sponiewierane, oplute widmo z poza złoconych krat parku. Doszedł do domu i zatrzymał się. — Jakże mu się z nią zobaczyć. — Teraz odbiegła go odwaga. Zdawało mu się, że popełnił względem baronównej, jakiś czyn zły i teraz nie śmie spojrzeć jej w oczy.

— Nie pójdę do niej... czekać będę — może wyjdzie do parku.

Usiadł na białej ławce, która stała niedaleko ganku. Patrzył na brzozy — nadsłuchiwał. Napróżno — nie wyszła.

Doznawał zdenerwowania. Tłómaczył sobie, że to jedynie dlatego, iż głupia sprawa ze strzelbą przedłuża się niepotrzebnie — i że Rydzik niepokoi się i szkodzi w ten sposób swemu zdrowiu.

Nadeszło południe.

Minęło — słońce ciągle złotem zalewało park. Z kuchni zaniesiono do pokoju Adama obiad na tacy. — Dziewka w chustce na głowie przemknęła, mówiąc:

— Proszę na obiad!

Adam wszedł do domu i jedząc patrzył ciągle w okno.

— Niepotrzebnie wmieszałem się w tę sprawą — pomyślał — wnosi to mi jakiś niepokój duchowy. Należało Tarajewicza zgromić, ale ją zostawić na boku.

Po obiedzie wziął książkę i znów wyszedł przed dom. Nie mógł jednak czytać.

Myślał o... Wiśce i o jej dwóch cieniach.

— Czy ona mnie poznała?... Musiała poznać. Tam w Filharmonii przeszyła mnie takiem samem spojrzeniem jak w owem zaułku. To samo tu na ganku... Zresztą w takiej chwili wszystkie wrażenia odczuwają się podwójnie silnie — więc i to...

— Poznała mnie, nienawidzi — czy ma wdzięczność za to co uczyniłem.

Nie wiem już — nie wiem nic.

I nagle — zupełnie niespodziewanie otwarły się drzwi ganku i coś białego wionęło na ścieżkę bramującą dokoła klomb środkowy.

Adam zerwał się i patrzył zdumiony.

— Ależ... — pomyślał natychmiast — to nie była ona... tamta... która umrzeć chciała...

Złoto - blond ścieżką szła lekko i zwinnie smukła dziewczyna, w białej sukni z lekkiego fularu.

Wolna, plisowana bluzka, spadała na pasek ze złotego galonu. Z pod paska rozpływały się ku ziemi drobne fałdeczki spódnicy, która rozwiewała się delikatnie i powiewnie jak szaty Boticellowskich dziewic na freskach w paryskim Luwrze.

Włosy odrzucone z czoła, zebrane u góry w modną fryzurę, odsłaniały szyję równie piękną i śliczne, zgrabne, prawie dziecięce uszy ozdobione perłą.

Ogromny urok, czar młodości, aż wiał z tej postaci i z oczów ciemnych, tryskających jakby światłem a patrzących z nadzwyczajną śmiałością prosto w słońce.

Była to „ścierwoska Wiśka..."

Na łańcuszku przetykanym perłami zwisał cały pęk breloków. Dzwoniło to, brzęczało miluchno. Baronówna miała na ramiona zarzucony prześliczny, jasnozielony szal w złote hafty. Zieleń ta odbijała przepysznie od bieli fularu.— Wszystko to razem było eleganckie, kunsztowne, miłe dla oka — powabne i wesołe.

A tak „wesołe“, że ów tramwaj huczący daleko — na ulicy miasta — i te dwa cienie biegnące za samobójczynią zdawały się śmieszne, dziwne... nieprawdopodobne.

— Nie ona... nie ona... aż zawrzało w piersi Adama.

Dziewczyna dokoła kląbu krąży po nad rezedami zapóźnionemi, na które jesienne liście padają.

Krąży — w słońce patrzy. Raz przelotnie spojrzała na Adama. — Nie zdążył ukłonić się. Wiśka gdzieś już oczami pobiegła.

Ku słońcu.

Adam stara się powrócić do równowagi i zaczyna iść ku niej pośpiesznym krokiem. Jakby chciał dogonić swą stanowczość, która przed nim pierzcha.

— Pani pozwoli...

Zatrzymała się z podniesioną ręką, z której spływa zieleń szala.

Patrzy na niego, oczy mruży banalnie.

To go otrzeźwia.

— Pan sobie życzy?...

— Przedewszystkiem przepraszam, iż panią zajmuję. Jest to jednak mój obowiązek.— Dotyczy to mego pacyenta...

Nic nie zdoła opisać zmiany jaka zaszła w twarzy baronównej. — Postarzała się w jednej chwili. Jakiś skurcz zacisnął jej szczęki.

— To do mnie nie należy — wyrzekła sucho.

Lecz Adam drogę jej zastąpił.

— Przeciwnie — odparł — rzecz cała od pani zawisła. — Będę zwięzły. Chodzi o strzelbę... mój pacyent chce polować — nie ma dubeltówki — wziął jedną z wiszących bezużytecznie na ścianie pałacu... Obecnie każą mu ją oddać.

Wiśka spojrzała z pod brwi ściągniętych.

— Spodziewam się! — wyrzekła.

— To drażni mego pacyenta.

— !!!

— Tak... Jest on bardzo chory. Nie należy go rozdrażniać. Proszę mu strzelbę zostawić.

Wiśka przez chwilę milczała — wreszcie, z nieokreśloną ironią patrząc ostro na Adama, rzuciła:

— Zdawało mi się, że pan jest doktorem.

— Jeszcze nim nie jestem. Ale wypełniam tu jego funkcyę.

— Mniejsza o subtelności. — Dubeltówki do środków leczniczych nie należą. — Przeto — muszą być w porządku i służba niema do nich prawa.

— Powtarzam, że to mój pacyent wziął strzelbę...

— A ja powtarzam — służba.

Padło to słowo i w jednej chwili rozjaśniło sytuacyę.

Dla baronównej — mąż jej matki, pozostał zawsze sługą — niczem więcej.

. . . .

Adama owikłał w tej chwili dramat stworzony wolą, zda się, i chęcią ludzką. — Nie chcieli uznać się wzajemnie, nie chcieli przyznać sobie praw lecz wysuwali pazury i radzi wyszarpywali ze swego istnienia po kawałku ociekniętego krwią barłogu.

Wiśka szarpała białemi rękami ten barłóg nędzny, na który wdrapał się Rydzik. Z tego zajęcia utworzyła sobie w tej chwili punkt środkowy czynów i myśli. Gdy tak stała w słońcu, śliczna, młoda, wonna — zapomniała o przepychu jesiennego czaru, o krysztale przestrzeni, o barwach i jaśni — o swej własnej cudnej linii tanagryjskiej figurki o liliach rąk, o płaszczu włosów — zapomniała o tem, że wykwitła na świat aby dusza jej rozjaśniała horyzonty moralne a ciało niosło pięknem swojem uroki i czary — rozpachnionych łąk — zapomniała o wszystkiem. I ogarnęło ją drobne, zaciśnięte koło czynienia p r z y k r o ś c i drugiej, zależnej istocie.

Fala ludzkich punktów widzenia.

Ludzkich...

Lecz z jakim podkładem?

Ach, zwarte koło drobnych strzał maczanych w jadzie naszych dusz.

Gdyby nie było zapotrzebowania tego jadu — przestałby zatruwać ściekiem swym nas samych.

Ten jad...

Na drugich — trucizna mijających bezpowrotnie chwil.

Trucizna rzucanych strzał.

Przez nas... w drugich nas!...

. . . .

— O nic panią nie proszę tylko o wstrzymanie egzekucyi — mówi Adam — za parę dni strzelba wisieć będzie na tem samem miejscu.

Wiśkę jakby podrażnił ten ton łagodnego spokoju, jakim do niej Adam mówi.

— Proszę pana mnie tem nie niepokoić. Postąpię tak — jak uznam za właściwe.— Panu radzę się także tem nie zajmować. To są sprawy... oficyn!

Skinęła mu głową i chce odejść.

Lecz on nagle czuje, iż dla jej dobra powinien od razu wyjaśnić całą sytuacyę.

— To są sprawy pani ojczyma!...

Cofnęła się. Jakiś niepokój przemknął po jej twarzy. Ostro — zuchwale spojrzała mu w oczy.

Odnalazł ją w tej chwili taką — jak w sali Filharmonii — gdy z nienawiścią rzuciła mu w twarz spojrzenie istoty wściekłej za to, iż ktoś ośmielił się wedrzeć w tajnię jej duszy.

I ręką uczyniła ten sam gest, którym w zaułku po zamachu samobójczym odsunęła go od siebie.

Bez słowa odeszła w głąb parku.

Adam patrzył na nią — cały zajęty jedną myślą.

— To ona!... ona!... poznałem ją znowu. Jej gest, jej spojrzenie...

Zwrócił się do oficyny. — Idąc starał się uporządkować doznane wrażenia.

— Obraziłem ją...

— Trudno, niech wie, że ja Rydzika bądź co bądź uznaje za jej ojczyma. — Może to zbudzi w niej jakąś niepokojącą myśl... może...

Postanowił przecież zakończyć głupią sprawę ze strzelbą.—Chciał aby p r z y c z y n a znikła i tylko sam c z y n pozostał. — W dziedzinie abstrakcyi ten czyn nabiera większej wagi i piękniejszej formy niż marna walka o dubeltówkę.

Rydzik leżał z oczyma otwartemi. — Dokoła niego pełno było plwocin. — Zdawał się ciągle coś żuć w zębach. — Gdy Adam wszedł nie poruszył się nawet.

— Ja do pana z propozycyą — zaczął Adam łagodnie — napiszę do wuja aby mi zaraz przysłał dubeltówkę, którą od niego dostałem i dam ją panu. — Pan tymczasem niech odda tę dubeltówkę z pałacu — co?...

Rydzik milczał chwilę, wreszcie wyrzucił:

— Nie chyci.

— Skoro panu mówię, że moja dubeltówka lepsza...

— Nie chyci!

— I że ją panu dam — pod słowem honoru.

— Nie chyci...

Nagle Rydzik dźwignął się na łóżku.

— Gdzie pan idzie? proszę leżyć.

— Idę po-lo-wać!

Drżącemi rękami wdziewał na siebie odzienie.

— O!... ścierwa—już mnie chowają. O!... widzicie — a ja będę strzelać co zechcę... a kto mi w drogę wejdzie, to i jego w łeb!... jak Boga kocham — w łeb...

Machnął kołdrą — uderzył rogiem fotografię baronowej.

— Psia krew morowa! — zaklął spojrzawszy w tę stronę.

Adam spojrzał przez okno.

Koło kuchni stał Tarajewicz i rozmawiał z żydem, który pocztę przywiózł.

Już Rydzik za próg — trzymając dubeltówkę w garści wychodził.

Widoczne było, iż całą siłą woli powściągał ból i prostował się aby „cholerom" nie dać się zjeść!...

Było to coś tragicznego w tem usiłowaniu i Adam idąc za nim czuł nerwami ten cały wysiłek jaki Rydzik musiał sobie zadawać.

Tarajewicz dojrzał go; puścił się pędem.

— A o!...—zawołał—proszę oddać... panna baronówna kazała.

Rydzik stanął. Rysy twarzy zaostrzyły się. Silnie nogi wbił w ziemię.

— Pomsta na was wszystkich!...— ryknął.

— O!... jaka to choroba...— śmiał się Tarajewicz — widzi sam pan doktor!...

Adam chciał pomiędzy nimi stanąć, gdy nagle strzał padł.

Kula poszła światami — ale strzał padł.

— Zabijać teraz będzie! — krzyknął Tarajewicz.

Lecz widział dobrze, iż Rydzik w powietrze dla ostrzeżenia widocznie strzelił.

— Więc zejdźcie mu z drogi — zawołał Adam.

Rydzik już w pole szedł. Koścista jego sylwetka rysowała się silnie na złotym zachodzie.

Tarajewicz ręce łamał.

— A to... a to... — zaczął. — Do czego to doszło! Jak się to rozzuchwalił. Ja dziś piszę do pani baronowej, że służbę rzucam. Nie będę życia ryzykował. A toć on nam wszystkim w łby postrzela...

— Sami jesteście temu winni.

— My?...

— Tak.

— No, no... A cóż mu za krzywda? Daje mu się jeść, pić. Ma doktorów przy sobie tak jak miał pan baron nieboszczyk. Tfu!... obraza Boska.

— On jest bardzo chory.

— E! proszę pana doktora, każdy będzie taki chory jak się obeźre. — A to, z przeproszeniem, nie jadł, ale żarł — na dwa stoły. Pani baronowa go karmiła delikatesami a on potem szedł i czeladzkie jedzenie dopychał... On zre-

sztą tak samo i z czem innem robił. W pałacu pani sama... a w kuchni byle pomyjak... et!...

Zazdrość wykrzywiła mu us'a.

— I to zawsze szczęście padnie na takie coś...

Adam smutno na Tarajewicza patrzył.

— I dlatego się na nim mścicie...

— Że?...

— Że to nie wy.

Tarajewicz się zmieszał.

— O! także coś... ani mi to w głowie. A jej!... zresztą... g d y b y m b y ł c h c i a ł...

Spostrzegł się, że powiedział za wiele.

— Zresztą... ja do pani baronowej napiszę i za służbę podziękuję — dodał pośpiesznie.

Odszedł.

Adam powoli śladem Rydzika podążył.

Mimowoli — ten „mąż pani baronowej"— zaczynał mu być prawie sympatycznym. — Czuł w nim duży ból i wiązać go z nim zaczynała nie sama a n e g d o t a jego dziwnych losów.

Pod lasem pastuch jakiś zapalił perz. Czarne bryły delikatne a płomienne żarzyły się na piasku. Dym rozwiewał się w fantastyczne figury i okręcał w liry powyginane sosny.

Rydzika nigdzie widać nie było.

Adam błądził wśród badyli. Natrafił na zdechłego chomiczka, który leżał z łapkami w krzyż złożonemi z pyszczkiem zwróconym ku niebu.

Podniósł go i patrzył długo na tę malutką martwą istotkę.

— Byłżeś i ty pełen nienawiści dla tych, którzy jak ty żyć pragną? — pomyślał ze smutkiem.

Ściemniało się na ziemi — podczas gdy horyzont dziwnym kontrastem rozpływać się zdawał w złotawej jasności.

— Gdzie poszedł ten wyróżniony i na dno zepchnięty...

Adam wydostał się wreszcie na równą zieloną łąkę, obramowaną z trzech stron lasem. Zdaleka zdawało mu się, iż dostrzega wyszłego z lasu rogacza i dwie sarny, które nieruchomo stały na tle zieleni jakby nadsłuchując.

— Może Rydzik jest tu na zasadce! — pomyślał. Nie pójdę dalej — gotów strzelić.

Nie dokończył tej myśli a wzrok jego padł na jakąś szarą masę, leżącą wśród traw na skraju lasu.

Był to Rydzik. Leżał bezprzytomny — z ręką wyciągniętą. Trzymał w niej dubeltówkę. Widocznie idąc — padł i nie miał siły się podnieść, Adam ku niemu poskoczył. Szybko zbadał jego stan. Było omdlenie. Plwociny ciekły mu po brodzie z ust wykrzywionych.— Adam ułożył go wygodniej i do dworu szybko pobiegł. Zarządził nosze na prędce z prześcieradeł i drągów. Z trudem zebrał ludzi do przeniesienia chorego. — Gdy wreszcie na miejsce przyszli Rydzik leżał ciągle nieruchomo, ale

lżej oddychał. — Próbował bronić się gdy mu Adam strzelbę z rąk odbierał lecz sił mu nie stało. — Adam strzelbę za noszami sam poniósł.

Gdy przechodzili powoli ku oficynom — z parku wracała Wiśka.

Szła wolno — otulona zielonym szalem, jakby zziębnięta. Widząc niosących nosze ludzi, zatrzymała się nierozumiejąc. — Widok Adama wytłómaczył jej wszystko. Wyprostowała się — brzydko wydęła wargi. — Szybko weszła na stopnie i zniknęła w głębi domu.

Adam po ułożeniu chorego — Haśkę przechodzącą przez dziedziniec zawołał:

— Odnieś to pannie! — wyrzekł, podając dziewce dubeltówkę.

Zrobił to umyślnie chcąc zakończyć tę sprawę lecz uwidocznić i wypuklić czyn.

Dziewka poszła i za chwilę wróciła bez strzelby.

Miał ochotę zapytać — co panna powiedziała! — Powstrzymał się jednak.

I ogarnął go jakiś niepokój. Dlaczego chciał wiedzieć jakie to na niej wrażenie zrobiło?

Co mu było do tego?

To już był łańcuch wiążący jego samego z tą kobietą. A tu przecież szło jedynie o... oczyn.

I czyn ten, sam powinien działać za siebie, wycofując jego z linii działania.

. . . .

Gdy Adam wszedł do pałacu aby zabrać to co mu było potrzebne do spędzenia nocy przy Rydziku, rzucił wzrokiem na szereg strzelb wiszących w przedsionku. Były już wszystkie na miejscu. — Żadna szczerba nie świeciła na tle makaty. Baronówna kazała dziewce zawiesić zdobytą dubeltówkę na dawnym haku.

A może zawiesiła sama.

I Adam z jakąś nieokreśloną przykrością wyobraził sobie te delikatne ręce migające wzdłuż ściany tryumfalnie...

Takie to było małe, żadne — w porównaniu z ich wielką pięknością i z dobrocią jaką siać mogły.

Te dwie białe, kobiece ręce...

II

Nie podpatrywał, nie chciał nic widzieć a przecież raz, wieczorem — jakby coś mu się zamajaczyło. Wyszedł przed oficynę aby zaczerpnąć trochę powietrza. Piątą już noc spędzał przy Rydziku. Choroba nagle się posunęła. — Rak zdeklarował się zupełnie. Adam patrząc na Rydzika, coraz częściej doznawał wrażenia.

— Ziemia i krew...

Mściły się obie potęgi — żrąc tych, którzy ich żarli — tocząc tych, którzy im łono pruli.

Takie myśli opadły Adama gdy stoi w noc księżycową przed oficynką. Oparł się plecami o ścianę i patrzy. Roztęskniło się w nim serce pod tragicznością przeznaczeń codziennych.

— Z ziemi zrodzony ten chłop, ten Rydzik — do ziemi lgnął... i dziś ziemia mu katem. Jeżeli...

Bo kto z nas coś stale twierdzić może?

Przypomniał mu się bardzo stary profesor, który mówił do nich z nieopisaną melancholią.

— Panowie! całe życie starałem się dowiedzieć... i dziś, pamiętajcie co wam mówię— j a n i c n i e w i e m !

Uczciwy głos — z głębi duszy, która przyznaje się przed sobą do próżnych wysiłków.

Uczciwy głos.

Więc i tu nic, nic. Jedynie tylko to co z serca nabrać możemy i sercem w drugich cierpiących wlać...

Aby spokojniej odeszli.

Nic więcej?

Dla drugich, a... dla siebie?

Wzrok Adama ku białej smudze światła padającego z okien Wiśki — biegnie.

Dlaczego właśnie — tam?

Nie wie, dość — że biegnie.

W oknach światło — ta smuga wpływa w błękit księżycowego blasku.

— Pomyśleć... że i tamta cierpi, bo pod stopy mi niemal padła owej strasznej nocy, śmierci pragnąc...

— I zrozumieć nie chce innego bolu...

— A przecież sama musi przechodzić jakąś przeogromną mękę...

Nagle — od lasu leciuchny turkot.

Jakiś lekki powozik sunie jak widmo w tumanach mgiełki polnej.

Zatrzymuje się daleko od dworu i jakby czeka.

Cały ten powozik ma pozór widma.

Jakaś postać męska snuje się otulona długim jasnym płaszczem.

— Dlaczego dalej nie jadą?—myśli Adam.

W oknach baronównej przemknął się cień. Chwilka ciszy. — Skrzypnęły lekko drzwi wejściowe. — Potem po stopniach, wśród koronki oleandrowych gałęzi zbiegła Wiśka...

Adam poznaje ją dokładnie, choć i ona ma pozór widma. Odziana w jasny płaszcz— kapturek podniesiony na włosy. — Zanurza się lekko w srebro księżycowego światła, jak w topiel lazurową.

I wypływa na srebro drogi.

Adam widzi ją jak biegnie szybko w stronę oczekującego widma - powozu. — Łączy się z jasną postacią męską, wskakuje do powozu i za chwilę znów leciuchny turkot...

Widmo - powozik znika w mgle polnej.

. . . .

Adama przejęło dziwne, nieokreślone zimno. Nagle wychłódł ciałem i duszą.

Dlaczego nie miałaby poruszać się jak człowiek żywy skoro żyje...

I jakaś gorycz wypełnia serce Adama.

Dlaczego teraz pełna siły i życia wionęła od niego zdaleka — nie wie nawet, że on istnieje. Czy tylko jedynie wtedy — łzami zalana mogła się zabłąkać razem ze swymi cieniami na jego drogę?

Cisza panuje dokoła.

Tylko gdzieś daleko ujada jakiś pies — porywa się i ustaje.

Adamowi jednak zdaje się, że ciągle słyszy turkot leciuchny na drodze.

— Pojechała w mleczną białość równi...

Z kim?

Mniejsza, co mu do tego. Dość, że pojechała. I nagle pałac wydał mu się dziwnie samotnym.

Czyż wypełniała go tak swoją obecnością, ona, której dostrzedz nie można było dniami całemi?

I teraz snuje się po równinach dokoła, zakreśla koła — rozwiewa się we mgle.

. . . .

Adam wyrwał się z tej zadumy, w którą jakby w jar zapadał — i do chaty powrócił.

Usiadł opodal łóżka Rydzika.

Lecz z nim powróciła razem myśl o zbiegłej w mgłę dziewczynie. Ogarnęła go jakby niewidzialnym welonem i wtuliła się w każdy jego nerw. — Oprócz niej — jeszcze było coś więcej, coś bardziej silnego — była to m a t k a, która zdawała się błądzić zawsze po tej izbie, snuć w długich szatach rozwianych i luźnych.

— One obie... obie...

Rydzik nie spał. Adam uczuł jego szklany wzrok utkwiony w przestrzeń. Po nad nim trójkątna twarz bielała z pasem czarnych włosów. Adam chciał się otrząsnąć z jakiegoś

czaru, który go jakby chwytał, jakby nalatywał nieproszony.

— Pan nie śpi? — zapytał półgłosem.

Rydzik zdawał się dopiero teraz budzić zupełnie.

— Nie! — odparł chrapliwie.

To — n i e — było przecież jakieś różne od zwykłych powiedzeń chorego. — Coś tam nurtowało w tę noc księżycową, coś z tęsknoty chłopskiej, co spać po chałupach nie daje, na siano wypędza — albo przed próg...

Adama opanowało zuchwałe pragnienie.

— O czem pan myśli, panie Rydzik! — pyta.

Milczenie.

— Może tęskni pan...

Urywa.

Chce się go spytać po prostu, bez omówień. Może ty, mężu, tęsknisz — za swoją ż o n ą — pragniesz ją zobaczyć w przeczuciu śmierci. To przecież naturalne.

A w naturalności swej — monstrualne.

Zapytać tego parobka wciśniętego w barłóg na książęcem łożu — czy tęskni za tą z mgieł wypływającą kobietą — która może teraz o księżycowej nocy wonna, smukła opływa jakąś przestrzeń duchową i materyalną swoją istotą, opływa...

Jak tamta, jak Wiśka.

Nie — nie można się o to pytać.

I dlatego zapada znów milczenie.

Nagle — Rydzik zciszonym głosem pyta.

— Proszę pana doktora...

— ?...

— Czy ja... prędko... będę zdrowy?

. . . .

Ile razy on już słyszał to pytanie — ile razy na nie odpowiadał wieczystem kłamstwem — jałmużną w trumnę rzuconą!

I zawsze serce mu się ściska.

Jakby ktoś kazał mu być Pierrotem i schwyciwszy gitarę skakać po grobach, śpiewając:

— Nie dla was grób!...

Dziś przecież nie umie czegoś, nie może. Milczy. Szuka słów aby skorzystać z tego otwarcia się, jakby wiecznie zamkniętych podwoi duszy Rydzika.

— Czy koniecznie pragniecie tak długo żyć? — pyta wreszcie — czy spodziewacie się jeszcze wiele radości, że tak drżycie do wyzdrowienia?...

Rydzik unosi się na poduszkach.

— Jakże to?—Jakże to? — bełkoce zmienionym głosem.

Adam uspakaja go skinieniem ręki.

— Nie lękajcie się — polepszy się wam. Ja tak tylko pytam. — Ot — niby, że wszyscy musimy umierać. I wy, i ja...

Ręka Rydzika konwulsyjnie szarpie koszulę na piersiach.

— Ale ja nie chcę! nie chcę!...

— Ach Rydzik — nic wam to nie pomoże.

— Pan jest od tego doktor.

— Czy sądzicie, że doktorzy nie umierają?

— Bo są durnie... ja... żebym się tak w chorobach gmerał, to bym przecież coś na śmierć wynalazł... No — to bym zrobił majątek... Wszyscy by mi płacili bogactwami za to, żeby nie umierali... A jakże!

Adam wzruszył ramionami.

— Nie Rydzik — nie. Byliby tacy, którzy płaciliby wam właśnie za... śmierć.

— !!!

— Tak. Ci, którym źle na świecie, którzy mają życia dość.

— E!... takich niema.

Adama ogarnął przestrach na myśl, jak szalenie silne przywiązanie do życia wiążę tego człowieka ze światem zewnętrznym.

— Przed tym trzeba śmierć zasłaniać! — pomyślał — zbyt ciężka byłaby walka. Niech napadnie go nagle i powali...

Jak jałmużnik więzienny, który sobą zasłania gilotynę skazanemu, tak on musiał twarz swoją układać odpowiednio.

I twarz i słowa.

Więc powstał szybko i prawie wesoło zbliżył się do łóżka.

— No... a teraz weźmiecie krople i spać aby jutro mieć siły.

Rydzik go za rękaw przytrzymał.

— Panie doktorze!... — zaczął cichutko— o n a strzelbę wzięła? co?...

— Tak. Strzelba wisi na dawnem miejscu, dostaniecie nową.

— Od kogo?...

— To mniejsza.

— Bo... t a m t a mi nie przyśle...

Oczami ku fotografii rzucił.

— Skąd wiecie? Gdybyście napisali.

Jakiś wyraz, jakby upokorzenia przemknął po twarzy Rydzika.

— Dzież pisać?... nie wiem dzie jest. A potem — ona nie chce, żebym do niej pisał. Gniewa się.

— To ja za was napiszę.

— Nie, nie panie doktorze. Już niech będzie tak.

Ręką wykonał gest rezygnacyi i na poduszki opadł.

— Może przyjedzie... wyszeptał.

— Chcielibyście?

Chwilę trwało milczenie.

Wreszcie, Rydzik wyrzekł:

— Tak!

. . . .

Z mgieł czarnych spływa k o b i e t a.

Ku niej ręce wyciąga m ę ż c z y z n a.

Nic więcej tylko kobieta i mężczyzna, którzy dążą ku sobie gnani przedwiecznym prawem, przeciw któremu iść im nie wolno.

Cała serya pokoleń wyrobiła w niej smukłość połączeń — ściosała szkielet — wydobyła na wierzch i rozegrała przez to nerwy w jej ciele. I to się nazwało rasą.

Szkielet jego pozostał silny i zgrubiał prawie na wichrze, śnieżycy i słońcu. Prymitywna odporność nerwów a siła muskułów rozwinęła go w tego, co ciężko po ziemi stąpa i odwala skiby, szukając ziarn.

Na pozór byli oboje tak bardzo od siebie różni, że nic — żaden najlżejszy łańcuch nie drgał pomiędzy nimi. — Szli odrębną drogą. Ona — wśród estetycznie wyrobionych marmurowych kolumn — on po miedzach, wśród szelestu zbóż, które do rąk mu się garnęły.

A przecież zeszli się na rozgorzałej ścieżce wspólnych pragnień.

Stanęli naprzeciw siebie i oboje utonęli we własnej sile i uroku.

W ramiona padli.

Przy ustach zawiśli.

I stali się jedną błyskawicą wśród pasm wspólnych rozkoszy.

— Ci dwoje!...

Tacy dwoje.

A przecież tak było.

. . . .

Nigdy tak jasno, jak w tej chwili, oczom Adama nie przedstawił się ten ubiegły moment z życia Rydzika, jak w tej chwili.

Stoczony śmiercią — ten człowiek mówi „tak".

Otulały go dwoje gładkich, wonnych ramion.

Jego upartą, chamską głowę!

Jakie on słowa musiał słyszeć w takie noce księżycowe, słowa, które mu pocałunkami na ustach konały.

Wchłonął je w siebie i ma je w głębi — pomimo, że zieje obelgami z lat młodych.

Dlatego mówi — tak!...

Adam leciuchny turkot słyszy.

Wiśka nadjeżdża.

Kto wie...

Co? co?...

Adam potarł czoło. — Co to za myśli!... Skąd? A zresztą.

Gdyby nawet!

. . . .

Nie — och! nie!

III

Noc po nocy — jasna. I co noc Adam wysuwa się przed oficynkę, o ścianę opiera — i słucha.

Widmo-powozik turkoce lekko. Zatrzymuje się we mgle pól.

Z ganku — po przez koronkę gałęzi oleandrów zbiega Wiśka.

Szary płaszczyk rozwiewa się jak skrzydła.

Biegnie dziewczyna — och! jak biegnie.

Po co?...

W Adamie rośnie pragnienie złączenia się z nią w tym biegu. I on tak samo leciałby swą młodością, swą siłą w tę mleczną białość niezmierzonych mgieł.

Pochwyciłby widmo dziewczęce za rękę i biegł.

Dziewczynę Fra Filippo Lippi.

O rozwianych włosach.

O rozwianych szatach.

O rozwianych pragnieniach.

I myślach brylantami tkanych.

I lotnych uśmiechach.

I duszy co biegie w przesłanki.

Taką dziewczynę za rękę by ujął i biegł— z nią biegł.

Tymczasem — Wiśka dopada powoziku, jakiś cień mężczyzny łączy się z nią na chwilę i giną — oboje we mgle polnej.

Adam czuje, iż te dni kilka odebrały mu możność zajęcia się tem, co dawniej jego świat stanowiło. — Chce, pragnie — powrócić. Nie jest w stanie. Ciągle teraz żyje tem, co się dokoła niego dzieje. Te dwie kobiety, ich czyny, ich miłości, ich nienawiści — cała konsekwencya ich pragnień ziszczonych lub nieziszczonych oplata go coraz silniej.

Jest ich dwie — a właściwie jedna.

Bo Wiśka jest jakby ciągiem dalszym namiętnego szeptu, który się po baronowej tu jeszcze pozostał.

Jedna chwila dała to poznać Adamowi.

Był to drobiazg. Nic. — A przecież wryło się weń jak rysa paląca i głęboka.

Trzeciej nocy Adam stał przed oficyną i czekał na powrót Wiśki.

Tak — po prostu czekał na jej powrót.— Chciał raz jeszcze dojrzeć jak się przesunie mglisto wśród koronek gałęzi i zniknie we drzwiach pałacu.

Nagle — z po za stajen wysunęła się wysoka postać Tarajewicza. — Obchodził budynki— przystawał. Patrzył dokoła.

Adam obserwował go, i ta czarna sylwetka odcinająca się ostro na jasnem tle zaczęła zajmować go po malarsku.

Wtem od pól doleciał turkot. Adam poznał natychmiast, że to Wiśka wraca widmowym powozikiem. Tarajewicz jednak stanął i słuchał uważnie.

Stał na ścieżce, prowadzącej do ganku.— Wiśka będzie musiała przejść mimo niego.— I rzeczywiście za chwilę ujrzał Adam jak szybko zbliżała się dziewczęca postać w rozwianych szatach. — Ani na chwilę jednak nie przyszło mu na myśl, że Wiśka cofnie się przed spotkaniem z rządcą. — Tymczasem, tak się stało. Baronówna zwolniła kroku, i nagle skręciła w cień drzew, rosnących przy drodze.

Tarajewicz nie poruszył się i ciągle drogę do dworu barykadował.

Adama ogarnęło nagle jakieś uczucie przykrości na myśl, że ta dumna dziewczyna kryje się w tej chwili ze swym postępkiem przed własnym sługą.

Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, szybko wyszedł ze swego cienia i podszedł do Tarajewicza.

— Dobry wieczór panu! — wyrzekł, dotykając jego ramienia.

Rządca drgnął i odwrócił się na chwilę.

— Dobry wieczór. Nie mogę spać. Obchodzę budynki.

— Księżyc świeci. Niema strachu o złodziei.

— Tak... Jeno, widzi pan, są rozmaite rodzaje szkodników.

— Jak to pan rozumie?

— E!... nic, nic!

Adam usiłował Tarajewicza skierować w głąb zabudowań, aby dozwolić Wiśce wrócić do domu.

— Chodźmy się przejść.

— Ni, ni. — Ni mogę.

— Czemu?

— Pan czuwa nad chorym, ja też mam nad czem czuwać — no... i czemu się czasem przypatrzeć.

Aż zgrzytało coś ironią w głosie rządcy

— To też pójdziemy się przypatrywać.

— Ni, ni...

Nagle stała się rzecz niespodziewana.

Z cieniu drzew — wyszła baronówna i powoli, nie śpiesząc się, szła ścieżką ku domowi.

Adam patrzał wprost jej w twarz, która coraz wyraźniej wynurzała się z księżycowej topieli. Była czarująco piękna, i zdumienie ogarniało go nad tą niezwykłą urodą. Aż coś ciągnęło ku głębi jej oczów i wyrazowi ust rozchylonych wzgardliwie. Zdawało się Adamowi, że sekundę, mgnienie — bez tchu — zawisła mu cała u źrenic. Lecz gdy nadeszła tuż przed nich — lodowaty, wyniosły wzrok oszpecił ją

całą. Nic nie zdoła opisać z jakim to gestem usunęła rozmawiających ze swej drogi.

Adam ten gest znał.

I zrobiło mu się strasznie przykro na myśl że został w jej umyśle pogrążony w jedną linię z Tarajewiczem.

Nie ze względu, że była to „oficyna!“

Ale, że u Tarajewicza była złośliwość czynu, podczas gdy przeciwnie — on miał najlepszą intencyę.

I dla obu był jeden i ten sam gest.

. . . .

Gdy Wiśka weszła do domu i ciężko za sobą drzwi zamknęła — Tarajewicz po chwili rzucił.

— No... tak...

— Co tak? — zapytał rozdrażniony Adam.

— Panna baronówna także lubi chodzić po księżycu.

— Jakto... także?... Pan, ja — czuwamy z konieczności.

— Ach! ja nie mówię o nas. Ta pani baronowa spaceruje jak tylko księżyc świeci...

Adam uczuł, iż pełza ku niemu gadzina plotki.

— Dobranoc panu!

Zwrócił się do oficynki.

— Pan już nie chce się przejść?

— Nie. Boję się, że Rydzik mnie potrzebuje.

— Że też panu doktorowi chce się tak z nim męczyć!

Adam nic nie odpowiedział i szybko do oficynki odszedł.

— Także... — myślał — więc dawniej, po mgłach, po polach, w księżycową topiel, widmem-powozikiem snuła się matka.

Teraz — córka.

Matka? — Lecz nie sama.

Może — z Rydzikiem.

Czyżby i ta...

Już myśl się formułuje, kształtuje. — Trzy dni temu przesuwała się ledwo, ledwo. Teraz jest prawie cała przed nim.

Adam zatrzymuje się w sionce prowadzącej do izby Rydzika.

Wąski pasek światła po ziemi wstążką się ściele.

— Więc... z Rydzikiem — matka.

A córka?...

Wstręt nim szarpnął. Natychmiast jednak przyzwał do pomocy swe zwykłe siły moralne.

— Gdyby nawet... atawizm, idzie utartą drogą prymitywnych instynktów. W ślad za tamtą.

A przecież jakby go za serce ściskała straszna ręka o stalowych szponach.

Tak wyniosła, tak piękna w liniach...

Taka Fra Filippi Lippi...

I z po za krat złoconych ogarniająca miłośnie zziębłe liście jesienne i ludzkie smutne zwątpienia.

Czemu — ona!

. . . .

Zagasło słońce złocone jesienią.

Rozsnuła się nad równią szara dziwna opona — jakby płaska kopuła lekko poorana żółtemi pasmami.

Zadrżało wszystko zimnym dreszczem, który wypłynął z lasów i wrzosami, co na skraju rosły, jakby przez wstęgę morową się przewinął. Dreszcz ten niewidzialny duszą przyrody całej w melancholię wtrąca. Zdaje się, że nagle powstaje z ziemi cała jej szarość nie przyjazna, mściwa i rozpościera się jakby zrozpaczona kobieta swe siwe włosy nad grobem tego, który wyzyskał jej młodość.

Deszcz nie pada — wicher się przyczaił i nie zawodzi nawet nocą po kominach. Tylko ołowiany smutek wisi w przestworzu. I nawet liście padać przestały. — Przybierają teraz barwę miedzi. Pod szarem niebem — płonąć zaczynają.

Adam dogląda Rydzika. Zastosowuje przepłukiwania kwasem borowym. Stara się oszukać siebie i chorego. Rydzik nagle złagodniał. Widocznie zaczyna nabierać zaufania do Adama. Patrzy mu w oczy i stara się wykonać jego polecenia. Widać, iż czepia się życia rozpaczliwie

i że zaczynają nachodzić nań zwątpienia. — Raz, zastał go Adam popadłego w głęboki smutek. Leżał patrząc w okno. — Dawno nie myte szyby nie przepuszczały zewnętrznych obrazów. Adam sam szyby przecierać zaczął. Odraza chwytała go do utarczek ze służbą. Wołał tę drobnostkę wykonać sam.

Rydzik intencyę jego zrozumiał.

— Widzicie już dziedziniec? — pytał Adam.

Chory odparł.

— Pan doktor jest bardzo dobry człowiek.

Adama ogarnęło wzruszenie. Odwrócił głowę. Od chwili przybycia tutaj, było to pierwsze dobre słowo, które go spotkało. „Dziecko" w nim żyło, to wieczyste „dziecko", które jest w pewnych ludziach. Muszą być czasem głaskani, tuleni...

Choć zdaleka — słowem.

I zwłaszcza, że to poszło z ust, które mu tak wrogie były.

— Sprawiano wam przecież dużo przykrości — odezwał się, pokrywając wzruszenie — nie lubicie, gdy idę do was z sondą.

Rydzik machnął wychudłą ręką.

— Aby tylko to... — wyrzekł.

Nie dopominał się już o strzelby, o polowanie. Siedział na łóżku straszny, pożółkły w swej rozmamranej koszuli. Szklannemi oczyma w szybę patrzył.

— O!... jak to zesypują te kartofle... jak przyjdą mrozy — do cna wymarzną.

Na dziedzińcu, koło stodół, kręcili się ludzie ubijający słomę i ziemię na podłużnych kopcach kartofli.

— Ścierwa!...

Słowa jeszcze ostre padały, ale ton był melancholijny. Siła życiowa wartko odbiegała.

Nagle głowę podniósł.

— A cóż ta tam we dworze?

Adam już wiedział o kim mowa.

I nagle się przeraził.

Serce zabiło w nim żywiej. Jakiś kurcz go jakby schwycił za gardło.

— Cóż? ona?...

— Nic — odparł z trudnością.

— Kręci zawsze na mnie nosem?

— Nie wiem.

Rydzik pokręcił głową.

— To i z panem nie gada?

Jakaś duma szarpnęła Adamem. Nie chciał stanąć w jednym rzędzie z Rydzikiem, do którego „Wiśka ścierwoska“ także nie gadała.

— My nawzajem ze sobą nie rozmawiamy! — Lecz Rydzik głową ciągle kręcił.

— Jaka to cholera... jaka to... Ona panu fumy stroi, bo pan mnie leczy... O!...

Pociemniał na twarzy.

— Ona by chciała, żeby mnie tak bez ratunku, jak parszywego psa, na zdechnięcie zostawić...

— Jakże tak możecie myśleć...

Cała nieprzebrana gorycz przez oczy Rydzika potokiem smutku przebłysła.

— O ha!... pan i c h nie zna... One obie... no...

Urwał nagle, jakby przerażony.

Po raz pierwszy odezwał się z goryczą o tej n i e j... o tej żonie.

I zaraz do Wiśki się zwrócił.

— Ona źle skończy... Pan doktor się przekona — źle skończy... gorzej niż jej matka... sto razy... Pan zobaczy... na psy zejdzie... Ja coś wiem. Ona już lata... Ten Toczyski... to... on koło jej matki latał a teraz z nią... Ale on ją wykieruje.

Pięść zacisnął i z trudem podniósł.

— Pan Bóg mnie pomści!...

Adama przeszedł dreszcz.

— Dajcie spokój... po co się denerwujecie. Wreszcie za co ma Pan Bóg się mścić? — Panna baronówna krzywdy wam żadnej nie robi.

— Aha! co pan wie. Ona póty nosem kręciła, póty wyrabiała aż i matkę na mnie podszczuła i matka wzięła ode mnie uciekać. A to wszystko bez to, że się ludzie od niej odwracają.

Wypieki mu wystąpiły na twarz. Zdaleka słychać było jakby oddalony łoskot gromu, huk zsypywanych po dołach z wozów kartofli.

— A no... odwracają się. Nikt z niemi nie chce żyć! — chrypiał dalej — n i k t. Niby

to bezemnie nosem na nich kręcą. A choćby. To i co? i co?... Ja to za nią latał? ja?... Wszędzie gdzie nie posiej tam była... A Rydzik tu, a Rydzik tam... a przy żniwie, a w stodole, a w stajni... Niby przez gospodarstwo... A ja? co?... z kamienia?... I potem na mnie, że się ich parszywe państwo od nich odwracają!...

Aż drżał cały w rozżaleniu. — Widoczne było, iż przez chorobę nerwy mu odmawiają posłuszeństwa i rozprzęgły się zupełnie.

— A niech ich!... a niech ich obie za moją krzywdę!...

Na poduszki padł — i już cicho, jakby gałęzie schnącego drzewa z wiatrem się niezdarnie borykały, wyszeptał:

— Ja im się ustąpię... ja im się już niedługo ustąpię. — Pójdę ziemię gryźć... będą mogły bale wydawać i z hrabiami hulać.

I umilkł.

. . . .

Coraz większa melancholia wynurzała się z kątów i szła na Adama.—Siedział cicho w kącie kufra i patrzał jak maska twarzy Rydzika zastygała w pół śnie. To wszystko co w tej chwili z duszy swej wypluł ten chłop o starganem życiu — zdawało się rość dokoła jakąś nieprzeniknioną gęstwiną złośliwych i pełnych jadu chwastów.

Z gęstwiny tej wysuwały się kolejno szeregi obrazów dawnych, przykrych i rozwiewały

się dokoła. Dominowała tu potęga tej strasznej żywiołowej namiętności, która gnała kobietę rasową, kobietę o kulturze pewnej choć powierzchownej w pościg za rosłym mężczyzną i rzucała ją w objęcia bezprzytomną, nieprzewidującą co z tego szału wyniknie. Jak burza waliło się to wszystko w odmęt życiowy, druzgotało słabe baryery układów społecznych i urągało tryumfalnym okrzykiem przerażonym a żyjącym w zgodzie z tymi układami duszom...

Cichł jednak ten krzyk powoli. Na noce pełne błyskawic i żaru zapadał stopniowo całun przesytu... Szmer pocałunków milkł i nagle powstawał protest jakiegoś dziecięcego głosu.

To... Wiśka.

Tak — rosło to w atmosferze żywiołowych namiętności i prostą, prymitywną duszą dziecka nie ogarniała dna całej sprawy. Garnęła się do parobka, który chwytał dziecko silną ręką, oklep na konia rzucał lub na stertę słomy za sobą dźwigał. Dziecko rosło, i w miarę gdy przedłużały się suknie i warkocze, w miarę gdy Wiśka rozumieć zaczynała, czem Rydzik był dla jej matki — głos protestu się wznosił, i oto — nienawiść, żal, groza, rosły i olbrzymiały na tej równi, po której szarymi kwiatami widm wznosiły się samotne krzyże. — Jęczały drzewa parku wyniosłe i ranione kulami rozwydrzonego parobka, jęczała dusza dziecka raniona w godności dziewczęcej i dostojności swego wiekowego

wyszlachetnienia przez żywiołowy popęd hulającej po ogrodzie ekstaz miłosnych — matki.

I w oddali — nieprzychylny, drwiący, wzgardliwy śmiech... świata.

Tego co dla nich stanowił właściwy... świat.

Jak rózgi, jak uderzenie bicza po twarzy.

A dziecko rozwinęło się w kobietę i protest był tak silny, że aż rozerwał to co się żdawało silne i nierozerwalne...

Rydzik pozostał sam.

A dokoła niego powstała i rozsnuła się nędza ludzkich istnień najtragiczniejszych, bo nie probujących nawet już walczyć z potęgą swych przeznaczeń.

Adam powstał i cicho wysunął się na dziedziniec. Było mu duszno. Zdawało mu się, jakby to on sam zapadał w taką ciemnicę straszną, w której dusza łka i wyje i ma ulgę smutną w drobnych złościach, którymi plwa na przeogromną jamę swą mogilną.

— Tak!... — myślał, idąc w stronę dworu — to jest wielka tragedya — ta ekspiacya dziecka za rozpętanie namiętności matki. — Wiśka pozostaje sama, jak zadżumiona, w tym dworze, który niegdyś służył za przytułek zwierzęcym popędom, kojarzącym dwie istoty rozdzielone od siebie wszystkiem, co wytworzyć może kultura wieków, złączone jednak na jednym punkcie — niezwalczonej i wiecznie tryumfalnej cielesnej miłości.

Dziecko dojrzało... I przejrzało...

Adam widzi tę drobną dziewczynkę o czarnych włosach — powoli wkraczającą w tajniki życia. Widzi ją jak poznaje wszystko, jak przestaje być tą Wiśką, uganiającą po stertach i polach — a stojącą drżącą, niepewną na progu świątyni miłosnej. I zarazem z wnętrza tej świątyni, która winna powiać ku jej dziewiczej duszy czarem łagodnego uroku — dobywa się krzyk zwierzęcy. Wiśka — odczuwa w tym krzyku to, co miłość ma w sobie najboleśniejszej szpetoty i w szpetocie tej widzi własną matkę...

Ona to wtajemnicza dziewczę — wtajemnicza bezwiednie w męty smutne i straszne.

I bunt się rodzi.

Bunt przestraszny. Wiśka oszalała, zrozpaczona za to, że odebrano jej wszystkie złudzenia, że rzucono ją z taką bezwzględnością w brutalną rzeczywistość — mści się...

Krzykiem swym rozrywa ohydę, buntem swym wypędza niejako tego człowieka, który pomimo błogosławieństwa kościelnego, według niej, był zawsze tylko kochankiem jej matki... mści się dalej — dalej — lecz drobną, małą złością...

Nic więcej uczynić nie może.

Jest bezsilna. Ogrom przeznaczenia zwalił się na nią. Matka uciekła w świat — do ludzi— którzy nie wiedzą, a ona pozostała tu sama,

zadżumiona... na pastwę samotności i kto wie, jakich instynktów...

Straszne...

. . . .

Nad cichy, samotny dwór naleciały szare chmury.

I nagle wypłynął na ich tło klucz żurawi.

Czarnym ostrym kątem pruł powietrze.

Krzyk żałobny rozległ się nad równią.

Ptaki przepłynęły nad wierzchołkami drzew parkowych — przepłynęły wolno, prawie bez poruszeń skrzydłami.

Opadały ku ziemi, zwiększały się — zmieniały linię.

Wreszcie zapadły za drzewa parku, na łączkę, tuż obok dróżki, wiodącej w pola.

Adam z dziwnem uczuciem na dwór patrzał. Wiedział, że samotna siedzi tam dziewczyna, nosząca na sobie piętno wyodrębnionych istot.

— Dlatego jest tak dumna... dlatego ten wzrok, dlatego...

— Jak błyskawica przebiegło mu przez umysł.

— I... dlatego się chciała zabić!

Z dumy?

Tak, tak. Ona do tego zdolna. Zresztą to nie prawda, aby kobiety zawsze zabijały się tylko z miłości. Sama Miukowa powiedziała

to gdy wyjeżdżał. A więc — on bezwiednie posiadłby całą tajemnicę duszy tej dziewczyny.

. . . .

I zdjął go lęk.

Jej duma nie ścierpiałaby tej pewności, iż istnieje ktoś wiedzący coś więcej o niej, niż ona pozwolić chciała.

— Nigdy jej nie dam uczuć — postanowił — nie będzie wiedziała, że ją na wskroś zrozumiałem, że wkraczam w nędzę jej życia. Nigdy!

Lecz równocześnie z tem postanowieniem bić mu w sercu zaczęła inna żałosna myśl.

— Nie będę miał do tego sposobności... znać mię nie chce — nie cierpi mnie...

Zaturkotało lekko na drodze.

Adam przyśpieszył kroku. Nieledwie biedz zaczął w stronę parku. Wolał iść między nieprzyjazne drzewa. Było mu bowiem tak dziwnie, jakby go kto zranił i drwił z niego. I potem, jakby coś nagle w rękach swych niósł — coś bardzo kruchego i doskonale pięknego, o delikatnych liniach, jakby wazon sadzony przepychem drogocennych kamieni, a w nim rozkwita nieśmiało bladej barwy roślina.

I jakby z tej rany właśnie czerpały się soki do rozwoju rośliny konieczne...

Takie dziwne uczucie!

Ledwo, ledwo, że z niego Adam sobie sprawę zdać może.

Turkot staje się bliższy. Powozik lekki a raczej wózeczek węgierski pomyka i z pomiędzy zabudowań do dworu sunie. W jasnym płaszczu siedzi na wózku mężczyzna. Zajechał przed ganek. — Lejce rzucił siedzącemu za nim chłopcu — poskoczył pomiędzy kolumny i znikł we drzwiach wchodowych.

Adam nie zdążył przejść drogi. — Wózek mignął mu przed oczami. Poznał go. — W mgłach wieczornych, w księżycowem świetle rysował się zaledwie—delikatnie — a przecież Adam go w siebie wchłonął.

To był ten sam wózek, ten sam mężczyzna.

I więcej jeszcze.

Poznał Adam w nim towarzysza baronównej w sali Filharmonii, na koncercie skrzypka. Zapamiętał uśmiechy ludzi, które w ślad pobiegły za nimi obojgiem, gdy wychodzili z sali.

A więc...

Mignęły przed nim słowa Rydzika.

— Ten pan Toczyski — no... ja wiem, latał za matką, teraz za córką...

To trywialne słowo „latał“ — a przecież w nim jest świat cały.

. . . .

Bo — jeśli za kimś „latać trzeba“ toć znak, że tamten ktoś ucieka.

Więc pościg myśliwca za tropionem zwierzęciem. Rozpaczliwy wysiłek umykającej istoty

przed zgubą, przed śmiercią, przed zanikiem bezpowrotnym spokojnych dni i nocy przespanych; źrenic, które łzami nie witają zorzy; ust, które przesmutnym łukiem ku ziemi nie dążą.

Pościg taki smutny, gorączkowy — śmiechem sztucznej radości pokryty; pościg mężczyzny za kobietą, za jej młodością, wonią, siecią złotą włosów i błękitną delikatnością żył...

I pościg za jej duszą, którą się wtapia w swe istnienie, z której się bierze czar zdziwienia, czar bezpamiętnego zapomnienia, czar jej całej niepewnej a na wszystko zdecydowanej.

Na oczy, na serce zarzucone pęta...

Jęk — prośba...

I potem milczenie, poddanie się pokorne.

Sił brak.

Pościg skończony.

Pęta zaciskają się coraz silniej — i nagle budzi się jedna więcej nędza i hymnem żalu w niebiosa bije.

Lecz echa niema.

Gdzie niegdzie słychać śmiech, słychać zgrzyt...

. . . .

Więc i za nią ten Toczyski „lata".

Tak się śpieszył skacząc z wózka! Jak wpadł szybko do wnętrza dworu. A tam, ona — choć nie ukrywa się materyalnie — to

przecież musi obijać się trwożna o ściany swej moralnej klatki, w której ją życie zamknęło.

Tak jak jej matka...

Zresztą sama do niego już biegnie. Najlepszy dowód te księżycowe noce i jej wycieczki w dal widmową wśród mgły.

Lecz Adam natychmiast znajduje inny punkt widzenia.

Ten p o ś c i g — nie ogranicza się jedynie na ciągłem narzucaniu się swą osobą. Przeciwnie, najstaranniejsze, najniebezpieczniejsze jest to wabienie na odległość — gdy zmysły zdają się całe roztapiać w jakiemś duchowem rozmarzeniu i tęsknocie i gdy ze srebrnej dali ciągnie coś, prosi, błaga nieledwie.

Tak — ten pościg najstraszniejszy.

A więc — o srebrnych nocach może biegła na białą w mgłę rozwianą steczkę... t a m t a.

A teraz — tą drogą znów t a.

Bezmierny smutek ogarnia Adama. Dlaczegóż taka wydeptana już droga dla tej ślicznej dziewczyny? Dlaczegoż w mgłę księżycową jakby cień biegnie za matczynym śladem?

A przecież taka dumna!

I taka zrozpaczona.

W ramiona mu upadła czarną nocą tam w mieście. W zaułku cuchnącym wybuchnęła płaczem...

Na dwór mimowoli obejrzał się Adam.

Cichy był — zamknięty — jakby nikt z żyjących tam nie oddycha. A przecież tam właśnie był ten pościg straszny, to tragiczne umykanie ciała i duszy przed przeznaczeniem swojem.

Po Adamie dreszcz przebiegł.

Więc to byłoby i jej przeznaczone? Czy rzeczywiście ten chłop skrzywdzony, wydarty w chwili fantazyi swemu środowisku miał prorocze objawienie? Czy widział jej dolę, tej „ścierwoskiej Wiśki“ — która się na nim mściła za rozwiane dziewczęce swe złudzenia?

A więc...

I Adam poczuł, że ta rana, którą mu zadał ktoś niewiadomy, zaczyna się rozszerzać i sprawiać mu ból coraz wyraźniejszy. I ten delikatny kwiat wyrastający z gwiazdy drogich kamieni, który mu w sercu jakby widmem promienieć zaczynał — pięknieje z przerażającą szybkością i rwie go w jakieś dalekie pełne tęsknoty przestworza.

— Co ze mną? co ze mną?...

Pod drzewa parku wszedł. — Lekko nimi kołysał wicher jesienny. — Nie spadały przecież liście pomimo, że ich pełno jeszcze było na gałęziach i wisiały jak grona dojrzałych jagód. Zdawało się, że te drzewa wypłakały już ze siebie dosyć łez i teraz zachowywały je te liście — łzy na jakieś większe katastrofy czające się dokoła.

Adam ku brzozom się skierował, które widmom jakby krąg taneczny osobny i wytworny

tworzyły. — Rozwiały nad nim przedelikatną kopułę swych gałęzi, które zdawały się drżeć od chłodu i przeczuć tragicznych.

Adam na ławce zwalonej usiadł i starał się wmyśleć w swój dawny świat, w świat pracy i tego co ona mu przynieść miała.

— Przejdę cicho, spokojnie... czeka mnie życie długie — mozolne, bezbarwne...

W szarości jesiennej, od dworu — od parku, coś się jakby nań czaiło.

— Tamto i c h przeznaczenie...

I zaraz przemknęło mu przez myśl.

— Dlaczego o n a z niem nie walczy? Dlaczego pada pod śmiertelne koła? W oczach jej przecież tu — gdy okrążała trawnik lekka i młoda była siła, była chęć, było wszystko życiowe?

Czemu ona nie walczy?

Zamyślił się i znów wyrwał się z koła swego świata, aby krążyć dokoła tego dworu, który tragicznie cichy, tajemniczy, przez kratę brzóz rysował się w oddali.

— Niema ciągłości tej siły, tej chęci. Nalatują na nią demony zwątpienia... Biedna!

Dziw się z nim stał.

On uczuł się także w tej chwili tak biedny, jak ona, której żałował serdecznie. Przytulił się do pnia brzozy i gorycz przepełniała mu serce. I on był jakiś odtrącony, wyodrębniony.

I ku niemu skradała się cicho tragedya tego dworu, tego parku, tej równi bezkresnej szarej, tonącej we mgłe jesiennej.

Adam oczy przymknął i tak bez ruchu pod kopułą drżących od zimna i przeczuć gałęzi białych brzóz pozostał.

IV

Późnym wieczorem Adam siedział nad książką i starał się pilnie studyować w niej zawarte hipotezy. Rozszeptały się jednak dokoła niego milczenia owego dziwnego domu. O kilkanaście ścian czuł, iż dzieje się przedwstęp rzeczy złej, zgubnej — której Kalwaryę widział tyle razy dokoła siebie, rozełkaną w krzyku lub milczeniu kobiet mdlejących mu w ręku w bolesnych godzinach męki niewysłowionej.

. . . .

I wszystko przynosi ze sobą taki pościg rączy, szybki — jak ten, który tu, w tych ścianach dworu, na ścieżce o księżycowej mgle — wszędzie — dokoła się snuł.

Może nie być szpitalnych ścian, może nie być szczęku operacyjnych narzędzi, może nie być samobójczej grozy — może nie być...

Tak. Lecz będzie zawsze Kalwarya. Ta lub owa ale Kalwarya. I będzie w danej chwili przecudne objawienie prymitywnego ducha w źrenicach zasłoniętych mgłą łez.

To będzie zawsze.

Adam ręce splótł i na nich czoło oparł. Zdawało mu się, że ogromna troska opadła nań i ciśnie go ku ziemi.

Wicher się rozjęczał i teraz drzewa parku szumieć zaczynały jakby przestrogą.

Do pokoju Adama weszła Haśka z kolacyą na tacy. Z opalonej twarzy zesunęła się chusteczka, którą zawsze pod brodą miała zawiązaną. Włosy płowe, źle wyczesane, spadały kosmykami na zielone duże oczy. Pierś zdrowa i dość kształtna zaznaczała się pod cienką tkaniną z miejska skrojonej bluzki.

Nogi miała bose o czarnych, stwardniałych piętach.

Postawiła spóźnioną kolacyę i snuć się zaczęła po pokoju. Słała łóżko, przygotowywała zapałki. Poruszenia jej były leniwe. Zdawało się, że na coś czeka. Zielone jej oczy biegły wciąż w stronę Adama.

On na nią nie patrzył ale wyczuł od razu, iż dziewczyna dziś silniej niż kiedykolwiek krąży dokoła niego chęcią miłosną. Przejął go jeszcze większy smutek patrząc na tę młodość, która tak kornie słała się w trumnę dobrowolnych cierpień. Miał myśl pełną swych wizyi kalwaryjnych. Ta dziewczyna z niepokojem żądz, które ją owiewały, zdawała się wpraszać do ich szeregu.

— Pójdziesz...— pomyślał — ale nie przeze mnie. Nie ja będę cię miał na sumieniu!

Haśka, która już nadzieję zdawała się dostrzegać w przelotnem wejrzeniu na siebie rzuconem, zasumowała się nagle. Adam odwrócił się od niej, usiadł i pił herbatę czytając swe książki.

Dziewka wydęła wzgardliwie wargę, potarła czoło, piersi — nasunęła chustkę i wyszła plaskając stopami po posadzce.

Adam czuł jej wzgardę. Wzruszył ramionami.

— Wolę — myślał — niech mówi teraz — durny — niż żeby potem jej prymitywna dusza miała słać ku mnie żal tragiczny i straszny...

Wicher rósł i potężniał. Ciemnica za oknami była wielka. Jedynie z okien apartamentu baronówny biły strugi żółtawego światła. Jakaś rosnąca samotnie jarzębina, co to niby sierota zabłąkała się na dziedziniec przed okna i do gruntu przyczepić się zdołała a potem rozrosnąć cienka i nędzna — czarnemi, dziwacznemi gałęziami, słaniała się pod siłą wichru po tych jasnych strugach.

— Jakby potwór jakiś o pajęczych ramionach, zdawała się chcieć dosięgnąć okien, i w niemocy swej zamiatała tylko piasek.

Słaniała się, padała ku ziemi i wznosiła się, jakby porwana szyderstwem z tego, co danem jej było widzieć za szybami okien.

I Adam patrząc na te ruchy pajęcze drzewa, miał uczucie jakby i on uczepił się gałązek

i ku szybom wichrem gnany pędził, ziemię zamiatał, tafli dotykał i znów w górę się wznosił. Tylko wtedy, gdy już był przy tych oknach oświetlonych, zaciskał powieki, aby nie widzieć — nic... nic.

Dlaczego miał to uczucie?

Dlaczego się tak słaniał w tej smudze a dojrzeć prawdy nie chciał?

Z powodu wielkiej ilości w lecie much — pierwsze okna w całym domu miały w ramach zamiast szkła — siatkę. W pokoju Adama jedna z tych siatek oderwała się przejedzona rdzą i teraz biła delikatnie o taflę szyb wewnętrznego okna, wydając dziwny, jęczący ton.

Jakby jakiś konający, oślepły od jesiennej wichury motyl skrzydłem trącał.

Lub — jakby dusza świeżo pochowanego ciała z cmentarza wiejskiego zbiegła — i do światła, do ludzi się jeszcze ciśnie...

Niby mało jej łez i niedoli ubiegłej.

Jeszcze... ciągle...

Kochała swe cierpienie...

Wżyła się w rozkosz smutku...

Cichy turkot — zajechał przed ganek powozik Toczyskiego.

I — (nieprędko) — otwieranie drzwi — kilka słów zamienionych, niewyraźnych — potem szybkie kroki przez sień i znów turkot powoziku.

Gość — odjechał.

Adam doznaje jakby ulgi. Sam nie wie dlaczego.

Siada teraz przy stoliku.

— Tak — będę mógł teraz pracować!...— myśli.

Chce się pogrążyć w śnie.

Lecz zdaje mu się, iż cieniuchne niteczki jakieś w mózgu rwą się, pomimo, iż on je namotać znów usiłuje.

— Nie mogę dziś!... nie mogę!...

Lenistwo go ogarnia. — Przypadł na łóżko odziany, pali papierosa. Nie rozbiera się. Ma wrażenie, że powinien na coś czekać, że go coś lada chwila spotka.

— Może Rydzikowi jest gorzej. Pójdę— zobaczę.

Lecz nie idzie. Leży ciągle i niepokój jego wzrasta. Myśl przebiega puste i ciemne pokoje, biegnie wzdłuż galeryi, zatrzymuje się u drzwi...

Adam i Wiśka są sami.

Sami w pustym, dużym, cichym dworze.

O szyby dzwoni dziwnie, lekko siatka— ni to motyl, ni to duch cmentarny.

O myśl Adama dzwoni jakieś nieuchwytne wrażenie wyczekiwania, a potem, jakby ktoś o nim bardzo silnie myślał, coś chciał, pragnął...

. . . .

Szybki szelest bosych kroków i pukanie.

— Proszę... proszę...

Adam się porywa.

— Co tam?...

Idzie do drzwi.

— Niech pan nie otwiera — proszę się ubrać i zaraz przyjść do mnie... na drugą stronę domu.

— Co się stało?

Sparzyłam sobie rękę. Niema gdzieś służącej. Jestem sama. Niech pan się śpieszy bo bardzo boli!...

I znów szybki szelest nóg bosych po posadzce oddalających się w głąb domu.

Adam bierze podręczną torbę, w której ma dermatol, pastylki sublimatowe, watę i bandaże.— Sam nie wie dlaczego ręce mu drzą.

Zapala świecę i przebiega puste pokoje. Idzie jakby jakąś smugą woni rozwianych szat, ciepłego kobiecego ciała. Wzruszony staje u drzwi — są na wpół otwarte. Popycha je i wchodzi.

. . . .

Na tle wysokiego — szarego w duże irysy parawanu stoi postać kobieca ledwo otulona w jakąś jasną wełnę. — Szczelnie zebrała fałdy dokoła bioder i owinęła niemi nogi tak, że kończyny jej rozpływają się w nieuchwytnych liniach jakby żółtawego bloku. Tylko tors wykwita jakby kwiat przepyszny — jakby górna część smukłej amfory o najdoskonalszych kształtach.

Sparzoną rękę Wiśka trzyma wzniesioną ku górze. Różowy abażur wykoronkowanej lampy ją oświeca. Pąsowe obramowanie konturów

przegląda przez palce. Młoda krew czarowną linią w świetle się znaczy.

I zaraz długa śliczna linia obnażonego wonnego ramienia i wtulona weń głowa o masie rozpuszczonych, puszystych włosów, które zakrywają twarz zupełnie i spadają całą falą na ledwo okryte piersi.

— Co to? jakże się to stało.

— Zapałki... zapałki...

— Proszę pokazać.

Aż dławi w tym pokoju od jakiejś niespokojnej, zmysłowej atmosfery. Niskie meble porozstawiane w nieładzie. W cieniu, na podłodze majaczą koronki zrzuconych szat i pantofle wschodnie nabijane złotem.

Adam prostuje się — i ogarnia go zawodowa gorączka.

— Proszę o rękę...

— Tu, tu...

Rzeczywiście, palce oparzone silnie — skóra wzdęta. — Wiśka podsuwa się pod lampę. Cała drży.

— To nic, nic...

— Boli!...

— Ja wiem. Ale to na razie. Zaraz przestanie.

— Całe pudełko... zapaliło mi się w ręku... przylgnęło do skóry... paliło się na mnie... Niech pan wypali, wytnie. To przecież siarka, fosfor— czy ja wiem... Zgangrenuje... ja... umrę.

— Ależ nie, nie. Założymy opatrunek.

— Ale panie... ja przecież od tego mogę umrzeć!...

Tyle trwogi w głosie, w drżeniu konwulsyjnem całego ciała — że Adam spogląda na Wiśkę prawie zdumiony.

— Proszę się uspokoić. To nieszkodliwe. Nic się pani nie stanie.

— Ja słyszałam...

— Pani słyszała, ale ja wiem...

Baronówna milknie na chwilę. Adam zręcznie oczyszcza rękę — posypuje dermotolem.

— Czy niema oliwy?

— Jest, jest.

Oczyma Wiśka przebiega pokój.

I wtedy Adam dostrzega — że, w głębi — koło kominka, na którym dogasa ogień, stoi.. mały stoliczek.

. . . .

Taki sobie zwyczajny stoliczek, niski, o trzech nóżkach, okryty białym obrusem.

Na nim nakrycie dla dwóch osób. Jakiś pasztet — butelka odetkana czerwonego wina, do połowy wypróżnione kieliszki, trochę winogron — jakieś ciastka...

Serwety zmięte rzucone na ziemię.

I dwa foteliki przysunięte do siebie blisko, jakby się spowiadały z rzeczy bardzo tajemnych, lecz zarazem bardzo miłych.

Na stoliku, w ślicznej rżniętej szklance, moknie trochę werbeny — na popielniczce dużo niedopałków papierosów.

I to wszystko rysuje się w świetle dogasającego ognia. Jest bardzo bliskie, i bardzo dalekie. Ogromna kobieca troska o miły cichy kącik, prawie domowego szczęścia we dwoje, i zarazem jakieś tchnienie zmysłowości ukrytej, lubiącej wygodne zacisze.

Ten „stoliczek“ — Manony i Des Grieugo.

Ten wieczysty „stoliczek“ wielkich rozkochanych, którzy w kąciku ciepłym podają rubinowy lub topazowy kieliszek w omdlewającej od uścisków dłoni.

I szept cichy, biegnące przez stolik pocałunki, jak motyle na wywiady, i te uśmiechy, słowa niedomówione... aż wreszcie zbliżenie się dwóch fotelików i dwojga ust...

Cały poemat krąży dokoła takiego stoliczka...

Cały poemat.

. . . .

Adam odczuwa go, choć nigdy nie danem mu było zasiąść przy stoliczku Manony.— I zdaje mu się, że niema prawa zbliżyć się tam, że to jakaś daleka wizya, niedościgła dla niego i że...

Wiśka sama podchodzi i zdrową ręką sięga do srebrnego serwisiku, z którego wyciąga flaszeczkę oliwy.

— Proszę...

Adam zajmuje się znów raną. Milczy i tylko słychać od czasu do czasu jęk Wiśki.

— Boli...

— Przepraszam...

— Nic, nic...

Chwila milczenia. Jarzębina z pewnością słania się po szybach, zagląda i szyderczo w górę uchodzi.

Wreszcie znów głos Wiśki.

— Czy pan jest pewien, że gangrena się nie wda?

— Najpewniejszy.

— Bo...

Urywa. Lecz on teraz podnosi nagle głowę z nad ręki — i patrząc jej prosto w oczy, pyta:

— Czy pani tak się boi umrzeć?

Sam nie wie, jak sformułowało się w nim to pytanie. Wie tylko, że kłębiło się w nim od chwili, gdy Wiśka objawiła tak szaloną trwogę przed ową „gangreną" — a ewentualnie przed śmiercią.

Jakto? więc ta kobieta, która dobrowolnie z dużym namysłem rzucała się pod tramwaj aby zginąć ohydną śmiercią — tak bardzo lęka się i trwoży na myśl o możliwości zgonu?— Byłażby ciągłą sprzecznością czynów i pragnień?

Patrzą się sobie w oczy pod czerwonym blaskiem lampy. Jest to krótki moment lecz jakby odrzucili precz od siebie wszystkie łupiny cielesne i przejrzeli się w najczystszem źródle swych istot. — Mgnienie oka — i mrok znów

zalega. Wiśka z jakąś dziwną dumą istoty nieznoszącej, gdy ktoś wdziera się w jej tajnie, ściąga brwi i cofa już obandażowaną i opatrzoną rękę.

— Dziękuję panu! — mówi wyniośle.

On prawie zalękniony, że dotknął jej tajemnicy — czuje się nagle winien wobec niej.

— Może... jeszcze będę potrzebny.

— Nie. Wolę sama zostać.

Adam czuje, że jeszcze chwila a uczyni ten sam gest jakim z drogi usunęła go tam w mieście, w zaułku.

Ona gestu tego jeszcze nie czyni ale już go myślowo nakreśla.

Skłania się i odchodzi.

Już jest na progu, gdy słyszy rzucone za sobą słowa:

— Nie, panie, ja się umrzeć nie boję!

To — psuje mu wrażenie.

Idzie galeryą, idzie całym szeregiem ciemnych pokoi i myśli.

— Dlaczego kłamie? dlaczego chce się wydać silniejszą w mych oczach... Przed chwilą drży na myśl, że to „śmiertelne“ — a zaraz za mną rzuca „nie boję się“.

Wolę, że tak jest. Ta dziecinna niekonsekwencya kobieca wyprowadza go w jakiś świat bardziej realny. Wraca do swego pokoju lecz odrazu widzi, iż tej nocy spać nie będzie.— Wlepia wzrok w okna Wiśki i teraz dopiero odczuwa wrażenie, jakie wyniósł z bytności w jej

apartamencie. Z samotności, w której przebywa od tak dawna, wszedł nagle w ciepłe gniazdo, w którem, jakby ptak rajski odziany w swą śliczność i czar — mieściła się kobieta przepojona wykwintem, urokiem, gracyą i owiana poezyą melancholii potrącającej o krańcowe zrozpaczenie. Jak zbyt silne wino lub górskie powietrze upiła Adama ta krótka bytność w blizkości Wiśki.

— Jaka ona dziwna... jakaś inna... jakaś nieuchwytna.

I zaraz z głębi duszy mu wypływa.

— Taka sama... taka biedna...

Adam siada przy oknie i teraz dopiero czuje jak silnie wchłonął w siebie choćby najdrobniejsze szczegóły pokoju Wiśki i tego co ją otaczało. Widzi niskie meble, obrazy na ścianach dziwne, niewyraźne, jakby wizye o zielonych oczach — pół kobiety — pół ptaki, widzi nieład artystyczny — walające się po ziemi poduszki, na których haftowane pawie rozkładają swe wspaniałe pióra.

Coś z haremowej odaliski, coś z dziewczyny wędrującej z piosenką na ustach i sukienką naszytą srebrem blaszek od sceny do sceny i coś ze dworu o dawnych tradycyonalnych wazonikach rozmarynu i mirtów na oknach panieńskich pokoi. Wszystko tam jest, cała kobiecość, cały urok — cały czar...

— I taka sama!...

Nagle światło w oknach Wiśki zaczyna migotać — przesuwać się niespokojnie — Adam wstaje z miejsca.

— Kto wie, może ma gorączkę... należy się dowiedzieć. Zapytam się u drzwi.

Cicho przebiega pokoje.

— Wypełniam obowiązek — tłumaczy się jakby przed sobą.

U drzwi się zatrzymuje.

Słyszy kroki — Wiśka nie śpi. Chodzi widocznie po saloniku.

Adam puka.

— Kto tam?

— Ja — chciałem się dowiedzieć, jak się pani miewa.

Chwila milczenia. Jakby zdziwienie, jakby ktoś się wahał. I wreszcie szybkie otwarcie drzwi.

— A co! a co! Pan sam się boi...

Na twarzy baronówny znów przestrach i groza.

Adam ją uspakaja.

— Widziałem jak migotało światło. Czułem, że pani się denerwuje. Chciałem poprostu uspokoić.

— A!...

— Zaręczam słowem honoru.

Wiśka teraz patrzy bystro w twarz Adama. Coś widocznie nowego nurtuje ją i jakieś jakby podejrzenie wywołuje.

— Przytem, pani tak sama...

Dziewczyna przygryza usta, ściąga brwi.

— Tak... jestem sama...

Wyprostowała się, płomień przebiegł jej skórę. Widocznie potworne podejrzenie falą bije w jej mózgu.

— Więc cóż, że jestem sama?

— Sądziłem...

— Że?

— Że się pani lęka!

— Ach! ach!...

Zły, przykry śmiech i fatalne błyski w oczach przeszywają Adama.

. . . .

Taka dziwna twarz— taka stara nagle twarz, w obramowaniu czarnej masy włosów. Coś jakby nagle zwiędły kwiat wodnej lilii, która zapada w cień.

Och! te twarze dziewcząt, przez które przesunęło się życie z całą farsą swej szpetnej, zgniłej prawdy!

Och! gwiazdy odbite w błotnistej, czającej się wodzie, okolonej jadowitym wieńcem trujących roślin...

Anielski śpiew o porannej zorzy zgaszony wrzaskiem hyen, które się korowodem za smutnym trupem ludzkiej duszy wloką.

I szelest skrzydeł odlatujących wdal ptaków, które po nad jasnością majowych pól krążyły!

I łkanie jakieś dalekie, jakby z wyżyny majestat istotnej piękności kobiecej, czyhając

po krwawych urwiskach w głąb przepaści spadał...

To wszystko ma w sobie twarz młodej dziewczyny, która nagle się zestarzawszy, ujawniła „że wie“ — że ona już wie...

To wszystko łka, mieni się, jęczy w takiej twarzy.

. . . .

To przenika uderzeniem sztyletu w umysł Adama, gdy Wiśka stoi przed nim i patrzy nań i mówi: — „ach! ach!...“

Teraz Adam widzi wszystko dokładnie. Jej strój zaniedbany a przecież wytworny — stopy ledwo obute — stoliczek Manony, lampę przyćmioną — woń cygaret — butelki szmaragdowe Menthe glacé i purpurę Abricotiny...

Serce mu się ściska. Lecz — tak, tak. W tem otoczeniu, z myśli tej kobiety mogło powstać tylko podejrzenie takie, jakie w niej powstało.

Szybko Adam usuwa teraz Wiśkę ze swej drogi — wchodzi do pokoju i zbliża się do stolika.

— Proszę więcej nie pić! — mówi twardo, zatykając butelki.

— !!!

— Gorączka się powiększy. Rozumie pani?

— Ja jestem przyzwyczajona.

Wiśka idzie w ślad za Adamem i opiera się o sofkę. Przybiera jakąś dziwną pozę — wyzywającą, ironiczną, wzgardliwą. Czuć przecież, że w niej się coś łamie.

— To źle, że pani jest przyzwyczajona. Zresztą nie o to chodzi. Zakazuję pani pić dziś przynajmniej.

— V r a i m e n t?

Scena ta przybiera fatalny, niesmaczny charakter. Adam nie spodziewał się jej zupełnie. Wytrąca go z równowagi. Żal jednak jakiś przeważa. Ta ironia, z jaką Wiśka wbiła w niego swe oczy nie obraża go. Ileż by dał za to, aby ona zrozumiała jak jest w tej chwili nieszczęśliwą.

I zapanowuje nagle milczenie — oboje nie wiedzą co przemówić, tak stanęli obok siebie napozór srogo i nieprzystępnie. Za oknami zrywa się wicher i jarzębina o siatki ocierać zaczyna swe gałązki drżące. Ten przejmujący jęk widocznie oddziaływa na Wiśkę, która zupełnie niespodziewanie wybucha płaczem i wali się głową na plusz sofy.

— Och! och!... — jęczy dziewczyna...

— Och! och!... — jęczy drzewo...

Adam uczuwa radosną prawie ulgę. Tak lepiej. Niech płacze nad sobą, nad swą dolą, nad osamotnieniem, nad tą całą tragedyą, która dokoła niej się wznosi. Cała „kobieta“ zbudziła się w niej i łka, i wyje, i skarży się sieroco w pustce tego dworu.

Delikatnie zbliża się ku niej Adam — ociera skronie octem, poi wodą — układa wygodnie. Odchylił okno, wpuścił trochę powietrza, wicher wyrzucił popiół i niedopałki papierosów i cygar.

Ona przyjmuje to troskliwe krzątanie się z początku jakby ze wzgardą, lecz powoli topnieje w niej to „złe“ — i oto z pasm czarnych jak noc włosów, wykwita żałosna twarzyczka blada i łzami zalana.

— Ja się boję... boję!... — szepcą drobne usta.

Adam pochylony ku niej tuli ją, głaszcze jak drobne małe dziecię.

— Nie... nie. Jestem z panią!

— Sama!... Boże!.. sama!...

— Dlaczego przy pani niema nikogo?

— Kto? kto ma być? Mama za granicą. Krewnych nie mamy, a potem... oni tu nie przyjadą.

I znów fala łez i monotonna skarga dziecięca jak szmer fal bijących o piasek.

— Sama... jestem sama!...

Ujęła rękę Adama silnie, nerwowo.

— Niech pan nie odchodzi.

— Nie, nie. Pozostanę przy pani! Okryję panią szalem. — Tak... proszę zasnąć! Ból panią zmęczył i rozdrażnił.

Z bladej, trójkątnej twarzy dwie czarne źrenice spojrzały Adamowi wprost w oczy.

— Och!... nie sam ból!

I znowu cisza. Wiśka leży, przymyka powieki — łzy płyną jeszcze czas jakiś i nieocierane spadają po dwu stronach twarzy w puch włosów, na których lśnią jakby brylantową rosą.

Wiśka zasypia.

Jej lekki oddech płynie z ust różowych— na wyciągniętej w górę bródce lśni się światełko, podczas gdy rzęsy kładą jakby ciemne półkola pod oczami. Ciało smukłe, wężowe ułożyło się lekko wśród szmaragdowego atłasu poduszek. Na tle bladozielonego jedwabiu widać szpiczasto zakończony turecki, haftowany złotem pantofelek kryjący nogę.

Adam złączony z tą prześliczną dziewczyną uściskiem rąk, siedzi nieruchomy na nizkim pufie obok sofy. Nieraz zdarzało mu się uspakajać zdenerwowaną chorą pozostaniem przy niej późno w nocy. Lecz ten wypadek zarysowuje się w jego umyśle ogromną wyjątkowością. Przedewszystkiem góruje w nim olbrzymie uczucie litości. Nie nad osamotnieniem tej dziewczyny — bo rzecz ta może być zbiegiem chwilowych okoliczności — lecz nad tem wszystkiem, co się składa na jej moralne istnienie a co się wysnuwa jeszcze niejasno a przecież nadzwyczaj groźnie ze wszystkiego, co ją otacza. — Co się złożyło na taki wieczór, jak dzisiejszy? — myśli Adam — z czego powstało jej zło i jej nędza — jej uśmiech wzgardzonej ironii i te łzy? — Jakiż łańcuch wlecze się za nią! jakiż łańcuch!...

. . . .

Wiśka ciągle śpi.

Od czasu do czasu wzdycha ciężko — brwi marszczy i skarży się jak małe biedne dziecko.

Adam swą rękę wysunął delikatnie z jej dłoni— lecz nie odchodzi.

Siedzi, czuwa — patrzy na trójkątną twarz tonącą w puchu włosów i słucha, jak za oknami słania się i jęczy jarzębina, i jak cichy głos Wiśki wtóruje osamotnionemu drzewu.

— Sama jestem... sama...

Zegar dzwoni kwadranse, godziny. Jakiś zegar swawolny — z bulwarów paryskich zwleczony. Kobieta pół naga igra z kotem a ma twarz podobną do śpiewaczki Lize Fleuron. I głos zegara dzwoni ironicznie a łaskotliwie, kojarząc się siłą kontrastu z cichym jękiem Wiśki i tajemniczym szumem sunącej po siatce okna ziębniętej jarzębiny.

Adama powoli przejmuje dreszcz. Gorąco jest nawet w tej klatce a przecież on ziębnie. Powstał i zaczyna cicho po kobiercu chodzić. Ogarnia go niewysłowiony smutek, nie ten, który jakby koił w nas burze i niepokoje lecz ten, który cienkiemi pazurami dobiera się do wnętrza naszej istoty, skrada się jak ten wicher zaszyty w trawę i potrząsa najcichsze skrytki, kryjące w sobie tajemnice czarowne naszej życiowej równowagi.

— A a a!... — jęczy Wiśka.

— Szu u u!... — szemrze jarzębina.

Adam zatrzymał się i na uśpioną patrzy.

Odwróciła się całem ciałem i leży tak prosto z oczyma przymkniętemi i jakby zaciśniętemi.

Na końcu pantofelka migocze teraz światełko, ręce utonęły w fałdach tkaniny.

I — rzecz dziwna.

Gdy Adam spojrzał na Wiśkę — zdawało mu się, och! na mgnienie oka — że Wiśka na niego patrzyła.

Czarne, dziwne, źrenice z pod rzęs mignęły i zakryły się powiekami pośpiesznie.

Dlaczego go śledziła cichaczem, udając śpiącą?

Niewysłowione uczucie przykrości ogarnęło nim.

To był jakiś podstęp, jakaś zdrada i jakieś pełzanie po takim ślicznym dziecięcym nastroju — prawie równocześnie z nim...

To był jakiś podstęp, jakaś zdrada i jakieś pełzanie po takim ślicznym dziecięcym nastroju — prawie równocześnie z nim...

Odsunął się do okna — usiadł na krzesełku i zaciął usta.

— A może mi się zdawało...— zakołatała w nim jego wrodzona dobroć.

Lecz już lękał się spojrzeć w stronę uśpionej baronównej.

Wołał widzieć ją wspomnieniem niż rzeczywistością, bo wiedział, że przynajmniej go to wspomnienie nie zwiedzie.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I

— Poczekaj!... czy to śniadanie dla pana doktora?

— Tak.

— Stój tutaj. Czekaj na mnie.

Wiśka, ująwszy w rękę sukienną angielską spódnicę swego sportowego kostyumu, przeskoczyła obramowanie kląbu dziko zarośniętego resztką kwiecia i zielska.

Haśka z tacą na której stygła kawa, patrzyła na nią zdziwiona.

— Stój, mówię ci!

Baronówna pochyliła się i zerwała parę zapóźnionych werben i bratków. Dobierała starannie liliowe werbeny i bratki. Strzepnęła z nich rosę i zbliżyła się do dziewczyny.

— Dawaj tu tackę.

Złożyła kwiatki obok filiżanki.

— Zanieś to panu doktorowi.

Haśka spojrzała Wiśce w oczy.

— No i co?... czego stoisz? ruszaj.

Dziewczyna, nic nie mówiąc, zawróciła ku dworowi. Nic nie zdoła określić wyrazu ironii, z jaką Haśka patrzyła teraz na kwiaty. Była w nich ukryta myśl — że jeśli Adam nie złakomił się na Haśki rosłe i pełne kształty, to już nie na panny kwiaty nabrać go można.

— Taki... do niczego! — określała go Haśka, łomocąc bosemi nogami o dawno nie froterowaną posadzkę dworu.

Tymczasem, Adam stał w oknie i widział jak Wiśka o wczesnym ranku, o Bożym ranku słonecznym, jesiennym, na trawnik wbiegła i kwiaty rwała. W zielonej wełnie, z narzuconym na plecy bronzowym pledem sharmonizowana cudownie w barwach z jesiennym kolorytem krajobrazu była smukłą, śliczną, rosłą i dziwnie życiową. Spływając się z barwą i liniami drzew, nabierała od nich jakby sił i mocy do pięcia się mimo wszystko w górę.

— Tak, mimo wszystko!

To głównie uderzyło Adama w jego myśli.

— Jaki los... jakie warunki... jak te drobne stopy krążą dokoła przepaści bez żadnego powstrzymania i w pełnem moral insanity.

Ale jak jest piękną!

Oto — gnie się tam wśród zszarzałej zieleni jak palma smukła. Wykwita lirą bioder z fałd sukni a tors jej ma wdzięk kosza pełnego rozkwitłych kwiatów o czarnych irysach jej włosów. Ile w niej wdzięku bezwiednego i tego ślizgania

się po powierzchni w zachowaniu nieskazitelnem piękna!...

Haśka stawia po za nim tacę ze śniadaniem i przepełnia pokój atmosferą kuchni i przykrego, cywilizacyą nie ujarzmionego potu kobiecego.

Adam nie patrząc na dziewkę, którą doskonale wyczuwa nadąsaną i chmurną, a nawet ironiczną — chce ręką sięgnąć po kwiaty. Chwilkę pozostaje niezdecydowany. Aż drze go do tych kilku roślinek, rzuconych ręką Wiśki pomiędzy masło i cukier. Siwe oczy Haśki śledzą jego ruchy. Boi się być śmiesznym, a czuje, że nie biorąc kwiatów ośmiesza znów w umyśle dziewki Wiśkę.

. . . .

Jest to drobne, nikłe, małe — ale jest mimo to i wiercić zaczyna moralną istotę Adama jak robak nagle zbudzony.

Taka trwoga niewytłumaczona mężczyzny przed kobietami.

Trwoga w drobiazgach, w zerach życiowych.

Gdzie idzie o fakt silny, tragiczny, druzgocący — zanika wszelkie rachowanie się. Lecz gdy trzeba wykazać coś z uczuć wewnętrznych przed kobietą najobojętniejszą — a tyczących się drugiej, zaczyna się obliczenie...

Czy to jej nie sprawi przykrości?

To już jest bezwiedne, przylgnięte do męskiej natury, często dziwne i niewytłumaczalne.

Dla dziewki folwarcznej poświęca się dobry odruch serdeczny, ciągnący w inną stronę.

Tylko dla dziewki folwarcznej.

. . . .

Bratki i werbeny na tacce więdną nie dotknięte. Haśka z łomotem ściele łóżko. Adam powrócił przed okno i patrzy na niknącą pod drzewami parku Wiśkę.

Idzie wolno — rozgarnia fałdami sukni złote liście. Adamowi przychodzi nagle na myśl, że świat kobiecy da się podzielić na dwie części.

Jak ogród, jak ogród kwiatowy pomieszany z sadem.

I na grzędach rosną rośliny, te zwykłe, najużyteczniejsze, codzienne — pomieszane dziwnym kaprysem fantastycznego ogrodnika, z całą masą najczarowniejszych, wonnych kwiatów.

Naokół w słońcu biegają motyle.

A wieczorem snują się ćmy.

I ten kobiecy ogród, sad, rośnie, rozwija się zbudzony słonecznym blaskiem, skąpany w rosie, rozmodlony w ciszy przedwieczornej.

Rośnie otoczony złotym lasem strzał.

Lecz kobiety-kwiaty, kobiety wonne i piękne dla piękna w jakimże celu zabierają słoneczne promienie i ciągną soki z ziemi?

Tamte, pożyteczne, codzienne, zwykłe — jadalne, te które są strawą i stanowią podstawę życia, robią wrażenie, że służebnicami są tamtej połowy kobiecego rodu. Patrząc w ten sad-ogród, przedewszystkiem widzi się przepych

tryumfalny kwiatów; czuje się ich woń, ku nim dążą myśli, ręce, pragnienia...

A dopiero następnie, u stóp tamtych, rozwiewają się przymioty istot potrzebnych, o poświęcających się oczach pełnych goryczy, oczach, które mówią:

— A my? a my?...

Przychodzą bowiem te poświęcenia, to zapełnianie konieczności, zwykle zapóźno, po to jedynie aby zbierać wspomnienia tryumfujących woni i dziwnej piękności kobiet-kwiatów...

. . . .

Tak myśli Adam i myśli, że Wiśka i jej matka to są jedne z tych tryumfujących i bezpożytecznych czarów życiowego ogrodu-sadu. Ku nim przecież dążą pragnienia i myśli. Ku nim dąży nawet smutna dusza Rydzika, choć on nie potrafił z całą umiejętnością znawcy-poety, zmysłowca wyrafinowanego lub estety, wykorzystać swoje dziwne zbliżenie się do tych właśnie kobiet-kwiatów. Jakież jest ich przeznaczenie tych kobiet-kwiatów? Pięknieć, promienieć, rozrzucać blaski i wonie, być pieśnią o czarującej zmysły i duszę melodyi, przepływającą w oddali, brylantami gwiazd o cichej poezyi nocy, napoić czarem i rozmarzyć — podać usta podobne do kielicha granatu, ręką o delikatności liści lilij upieścić do snu, rozsypać nagle płaszcz złotych włosów jakby harfę o tysiącu strunach rzucić w przestworze — i zniknąć...

Zniknąć!...

Tak. Kobieta - kwiat, kobieta Wiśka, zniknie jak jej matka, jak jej podobne — zniknie, przepadnie i pozostanie po niej niejasna smuga wspomnień?

Oto jej matka i prostaczego serca konający, fantazyą z nią splątany chłop. Idzie ta smuga tragiczną znaczona tęsknotą. A ona nawet wiedzieć o niej nie chce...

Może kiedyś, kiedyś na starość, gdy opadnie na nią zmora uwiędła i siwa i weźmie ją w taniec przeklęty i ostatni — ta kobieta - kwiat zacznie chodzić po ścieżkach tej tęsknoty, wsłuchiwać się w nią, zbierać jej okruchy.

Po kim Wiśka zbierać będzie okruchy tęsknoty, aby odegnać od siebie precz — rozpacz ostatecznego, starczego zapomnienia.

Kto ją kocha? kto ją kochać będzie?...

Toczyski.

Ten nieład porzuconych resztek kolacyi we dwoje, te butelki likierów do połowy wypróżnione i te iakieś dziwne, nieuchwytne a przecież fatalne spojrzenia jakiemi Toczyski jeszcze w sali Filharmonii obrzucał Wiśkę, czy to miała być miłość?

Po Adamie przeszedł dreszcz. Czuł, że coś strasznego rozsnuwa się tu i że popełnia się jakaś zbrodnia niczem już nie naprawiona, zbrodnia napozór codzienna a niemniej przecież tragiczna i straszna.

— Te kobiety-kwiaty są przeznaczone do miłości, jedynie do miłości... ona musi snuć się dokoła nich, musi — — —

Czy Rydzik, czy Toczyski...

Ale to przecież straszne.

Wzrok jego pobiegł wślad za Wiśką.

Zniknęła w parku, tylko drzewa octowe złote i purpurowe gięły swe wiechy, jakby cały tłum poddanych kornie kłonił się, w chwilę po przejściu swej królowej.

— Taka cudna!...

— Jak pieśń...

— Jak pierwsza gwiazda, ta srebrna, przejrzysta, podczas gdy błękit kryształem się mieni.

Jak żywa myśl, gołębiem jasnym przelatująca nad melancholią zapadłych w tragiczną czerń konających dusz.

Jak śmiech dziecka, wpleciony w jęk wiecznie chorego starca.

Jak powiew wiosny ciągnący od pól, od łąk, od siół...

Jak dźwięk wieczornego dzwonu, który nad łąką przelata.

Jak pieśń...

Jak sama tęsknota.

Jak wielkie, niezwalczone niczem Piękno!...

. . . .

— Proszę wielmożnego pana pić kawę, bo ja zaraz tacę zabiorę.

Haśka z szumem wodę z miednicy do kubełka zlewa. Teroryzuje Adama. Kobiecym sprytem odgadła w nim wielką dobroć.

— Poczekaj, ty ścierwo! — myśli — ja ci za dziesiątą skórę zalezę.

Nie przeszkadza przecież — że gdyby Adam pozwolił sobie na jakiś śmielszy gest — Haśka, nie będąc dnia tego erotycznie usposobiona „prasnęłaby go w gębę...“ jak to już w piekarni głośno zapowiadała.

— Niech tylko... ja go zaraz prasnę...

Rydzik to posłyszał, gdy jeszcze przed położeniem się do łóżka kraść kapustę z garnków do piekarni przychodził. Popatrzył na Haśkę z podełba i syknął.

— On ta za twoją kiecką latał nie będzie.

— Ij?... latał nie będzie?.., mężczyzna każdy lata, niema strachu.

— A on nie będzie! — upierał się Rydzik.

Z po za gęstwy polepionych tłuszczem włosów Haśka pokazała Rydzikowi język.

— To nic... — skrzypiał głos Rydzika — a on nie będzie!

— Otóż będzie!

— Jęzor sobie wywalaj, a on latał nie będzie.

— Czemu?

Nic nie zdoła opisać wyrazu, z jakim Rydzik obrzucił Haśkę.

Była w tym wzroku wzgarda tego, który nietylko w złoconych krat sadu - ogrodu stał, lecz

któremu wolno było zbliżyć się do klombów, skąd wspaniały, tryumfalny kwiat wykwitał odurzający i pełen piękna.

On — nie zrozumiał, że to piękno, ale było to tak potężne i silne, że on je wchłonął i czuł...

I teraz pozostała mu tylko wzgarda dla tego, co było w kobiecie fizycznym brudem i szpetotą.

Haśka nacierała z oczyma roziskrzonemi.

— Czemu?

— Bo on takich placków, jak ty, niepotrzebuje!... — rzucił jej, cofając się ku drzwiom.

Już dochodził do oficynki, kiedy słyszał jeszcze wrzask rozwścieczonej Haśki.

Śmiał się i cieszył.

Plucha... plucha... — powtarzał.

Miłość własna Haśki była tedy obrażona i dlatego to podwójnie wzrosła jej teraz nienawiść do Adama, który śmiał obchodzić się bez „zaczypiania“ — jej ciała.

Adam ze swej strony, czuł się jakby winny względem Haśki...

Szybko zbliżył się do stołu, kawę jednym haustem wypił.

Kwiaty Wiśki leżały jeszcze ciągle na tacy.

Haśka zbliżyła się i zręcznym ruchem pod pozorem strzepnięcia okruszyn, kwiaty na ziemię strąciła.

Adam brwi zmarszczył.

— Podnieś to! — kazał jakimś nieswoim głosem.

Haśka udała, że nie słyszy.

Szeroką, zeskorupiałą w brudzie nogą, aksamitne bratki i werbeny rozgniotła.

I z pokoju wyszła.

Adam pochylił się — kwiaty podniósł. Brutalnie były zniszczone. Ogarnął go smutek i wstyd.

Zdawało mu się, że coś bardzo wykwintnego poświęcił obryzganemu błotem zwierzęciu. Zbliżył się do łóżka. Chciał kwiaty w wodzie zamaczać i postawić ze szklanką na stoliczku.

I znów go coś wstrzymało — kwiaty obmył po Haśce, ale ukrył w kartach książki...

Gdy szedł do Rydzika, spotkał powracającą z parku Wiśkę.

— Jakże ręka?

Kołowało mu przed oczami. Poprostu, gdy zbliżył się do niej, czuł się pijany.

Wiśka uśmiechnęła się.

— Już dobrze... brzydko tylko wygląda to owinięcie.

Dobierała kolory materyi, którą owiązywała watę do koloru sukni.

Adam patrzył na śliczny kolor ciemnozielonego adamaszku.

— Pani nawet w chorobie nie zapomina o elegancyi.

— Ach!... o elegancyi?

Rozciągała to słowo jakby z niesmakiem.

— Nie... nie... źle się wyraziłem. O — pięknie.

— Tak! wolę.

— I ja także.

— Dlaczegoż od razu pan tego słowa nie użył.

— Bałem się, aby pani mnie nie posądziła o pretensyonalność.

Spojrzała na niego badawczo.

— Elegancya sto razy więcej pretensyonalna, jak piękno. I zewnętrznie i wewnętrznie. Elegancya — minoderya, a piękno naturalne.

— Pani przecież jest elegancka.

Zatrzymała się.

Na tle octowych purpurowych krzaków, które płomieniami aż biły po za nią, była niezrównanie smukła, blada i czarująca.

— Ja nie jestem elegancka...

— !!!

— Nie — ja jestem p i ę k n a!

To było powiedziane z prostotą ale z całą głęboką wiarą w rzeczywistość tego, co było wyrzeczone.

. . . .

Wolno, od oficyny, wlókł się Rydzik.

Polepszyło mu się o tyle, że Adam pozwolił mu wyjść na słońce.

Wlókł się pod brzozy.

Strasznie był zmarniały i nędzny. Chylił się i giął coraz więcej. Jakby go kto pościągał i pozwiązywał. I twarz zmieniała mu się teraz w dziwny sposób z dnia na dzień. Często Adamowi się zdawało, że zastaje w łóżku innego

człowieka. Rysy wydłużały się, to znów kurczyły. Oczy wyrazem szklane były, to znów jak przepaść głębokie.

Znać było, że już się tam coś wkradło ze śmierci — lecz jeszcze walczy i jeszcze zdobywa sobie powoli szmatami terytoryum, gdzie wreszcie bezpodzielnie zawładnie i zwali w czerń to, co opierać się chciało i na krawędź tragicznie się darło.

To bezpośrednie przeniesienie wzroku z tryumfalnej piękności kobiecej na zgniecioną, garnącą się do grobu postać starca, aż szarpnęło Adamem. Nigdy może nicość zewnętrznego piękna nie uprzytomniła mu się z taką brutalnością. Kto wie... może jesieni temu kilkanaście rosły, silny junak dźwigał się tu, na skraju lasu i mówił do zapatrzonej w niego, w jego urodę kobiety.

— Ja jestem piękny...

Dziś mknie krzakami, pokorny, cichy, zgarbiony... Trochę świeżego ciała i rusztowanie niekruchych kości a oto twarz butnie ku słońcu zwrócona i wyzywający krzyk!...

Wiśka, ukośnem spojrzeniem, Rydzika dostrzegła. Natychmiast, jakby ujrzała jakieś brzydkie zwierzę, skręciła się i ze śmiechem rzuciła:

— Chodźmy się kopać w złocie!...

. . . .

Na polankę parku, gdzie rosły nieprzebłagane lipy i dęby, wbiegła lekka i zwinna. Majestat swój cały zdawała się zrzucać ze siebie

razem ze szalem, który padł na ścieżkę jak ogromny brązowy chart i tak pozostał zwinięty, oczekując na swą panią. Na polance zaszemrało suchym, nieokreślonym szmerem. Stopy Wiśki tonęły w masie nagromadzonych liści.

Było to całe morze liści zeschłych już i jeszcze delikatnych, miękich, zaledwie jesienią dotkniętych. Były tu liście dębów, olch, jesionów, grabów, buków — nawet delikatne liście brzóz przyniesione z wichrem. Jak do wgłębienia morza topielce, tak padały na tę polankę, ponad którą po przez coraz więcej nagie gałęzie drzew przeświecał delikatny turkus nieba...

Złoto biło aż od nich, bo każdy ten liść z osobna zdawał się być wypracowany misternie w jakiejś jubilerni czarodziejskiej, umiejącej nadać złotu tysiączne odcienia, barwy i tony.— Od spalonego miedzianego cienia zeschłych, dębowych liści, suchych i groźnych — do przeczystej, prawie białej jasności olchowych listeczków, miękich i przytulnych, były to całe gamy, cała orgia złota, tryskająca przepychem klejnotów rozsypanych na dnie tajemniczem i obramowanem kolumnadą surowych i pełnych melancholii pni drzewnych.

W jednej chwili, Wiśka wpadła w ten przepych, w to szumiące bogactwo i rzuciła się na ziemię, wpław owinięta w zieloną wełnę swych sukien. Zanurzała się z jakąś rozkoszą, z jakąś furyą w te fale liści, gromadząc je szeroko rozpostartemi rękami.

— Złote!... złote!... — wołała radośnie.

Osypywała niemi twarz, włosy, piersi rozrzucając je kaskadami w przeczystość powietrzną. — Delikatny, żółtawy pył, zaczął unosić się dokoła. Wirowały w nim liście, i biała ręka Wiśki. Była to kąpiel złożona z pocałunków złotych, które biegły ku leżącej na ziemi jak niezliczone stada zbudzonych ze snu złoconych motyli.

— Złote!... złote!...

Młodość aż biła urokiem z tego krzyku, śmiało, otwarcie, jasno. — Adam zbliżył się i jak zahypnotyzowany przykląkł opodal Wiśki. Nigdy jeszcze nie widział takiego bujnego rozpętania się młodości i siły kobiecej.

Trójkątna twarz blada dziewczyny pokryła się rumieńcem, jak gdyby ktoś wewnątrz niej lampą zaświecił. Oczy natomiast pociemniały i miały niepokojący, dziwny wyraz bezksiężycowych nocy — podczas których słychać w oddali jakieś jęki, szepty — urywane westchnienia — lub cisze straszne... przeczuć pełne. I nagle Wiśka rozgarnęła liście i białość jej zębów błysnęła, jak ostrze noża.

— Życie jest piękne... co?... — zawołała.

— Tak.

— A przecież...

Urwała, zachichotała lekko, dwuznacznie.

— Są głupcy, którzy sami na siebie godzą — którzy chcą sobie to życie odebrać...

Patrzyła bystro w oczy Adama. Zmieszał się nieprzygotowany. Ona usiadła nagle wpośród liści i ciągle pilnie mu w twarz patrzyła.

— Są głupcy... według mnie... — tylko głupcy...

— Nie, nieszczęśliwi!

Zaśmiała się długo, przeciągle.

— Nieprawda. Nieszczęście można zgnieść, czemś silniejszem... choćby trucizną... Bóg wie... ale czemś co zgłuszy. Nie mam racyi?... Belladony najeść się do przesytu... Co? jak?...

Rzucała krótkie zdania, podniecając się, nozdrza jej się rozdymały. Wciągała w siebie upajającą woń liści.

— Przyszłam teraz do tego przekonania! — zakończyła tryumfująco.

Padła znów na wznak. Zielona wełna jej spódnicy owijała ją ściśle. Na końcu lakierowanego bucika migotało światełko. Adam uczuł trwogę.

— Dlaczego truciznę? — zapytał — wszak można znaleźć ukojenie...

Przerwała mu gwałtownie.

— Nie, nie... Szał! tylko szał!...

— Ależ to krótkotrwałe i nie leczy zła radykalnie.

— Poco radykalnie... upajać się aż zginąć! — Z ust młodej, niedoświadczonej napozór dziewczyny, te słowa padały jak zważone i przedwcześnie dojrzałe kwiaty. Nie miały ani woni ani barwy. Były zgniłe w zarodku.

— Co pani wiedzieć może!... — bronił ją Adam przed tem wrażeniem, które go bólem i trwogą przejmowały.

Czarne jej oczy otwarły się szeroko. Wbiła je w gałęzie drzew uciekające ku niebu.

— Ja... wiem, ja dużo wiem! ja wszystko wiem!... — wyrzekła niskim głosem.

Żal jakiś, ból zadźwięczał w tych słowach. Z góry, z drzew padały wolno, lecz ciągle liście— padały na twarz dziewczyny, na czerń jej włosów, na jej rozchylone usta, na jej piersi drobne i tak piękne kształtem jak dwie czary, na jej całe ciało, będące akordem harmonijnym.

— Tak... pani możesz wiedzieć — nie przeczę — podjął Adam — ale wiedzieć, to nie jest czuć...

— Ach!... często dowiedzenie jest sto razy jaskrawszem ujawnieniem prawdy, niż wszystkie skradające się przeczucia.

— Nie w tej dziedzinie, o której pani mówi.

— Niby — co zmysłowej? co?...

Rzuciła mu to zupełnie śmiało, tonem wyzywającym i brutalnym.

— Tak! — odparł, a jakby wstyd za nią i za siebie ogarnął go całego.

— Właśnie, co do zmysłów... aby się dowiedzieć. Reszta sama naleci na człowieka jak stado demonów... Byle się dowiedzieć... po-in-for-mo-wać. Tak, poprostu, bez żadnych udawań, delikatnych grymasów... Tylko prosto—

obuchem w serce... w głowę... w to, co jeszcze dziewczynie pozostaje z illuzyi, z tego, co życie ma pięknego... Prosto!... nie — nie — zedrzeć wszystko...

Urwała — przeciągnęła ręką po czole.

— Tak najlepiej.

— Nie, najgorzej.

— ?...

— Najgorzej, bo potem przez życie taka dziewczyna nie będzie się wlekła ze zranioną duszą, sercem...

— A cóż to będzie kogo obchodzić!...

Usiadła znowu, ale była zmieniona. Podniecenie, które barwiło jej policzki znikło. Była znów bardzo blada. Oczy przygasły.

— Przedewszystkiem ją — samą!

— Nie powinna o tem myśleć nigdy, słyszy mnie pan, nigdy!

Lecz Adam przeczył gorąco.

— Przeciwnie. Powinna wniknąć w siebie. Może wtedy...

— Co? co?

— Może...

— Szaleństwo. Nie! rozumie mnie pan, nic jej ocalić nie może. Gdy zacznie wnikać w siebie, staje się... głupią. Pan mnie zrozumiał.

Nie patrzyła mu w oczy. Ale on ją zrozumiał doskonale. Stawała się głupią... a więc kobietą o dwóch cieniach, wlokącą się powoli

pośród ciemni nocnej z myślą samobójczą. To widocznie Wiśka nazywała — głupotą...

Adam jakby w skarbcu swego życiowego dorobku szukać pośpiesznie zaczął. Czem odegnać właśnie taką myśl od tej, która zawcześnie się d o w i e d z i a ł a.

I nic nie znalazł tylko tę swoją pierś biedną młodzieńczą, do której ją tam na ulicy przytulił chwilę jedną, gdy ją z pod •kół tramwajowych wydarł.

Tę jedną biedną pierś!

— Pani się myli... — zaczął niepewnym głosem — są przecież...

— Co? co? — przerwała mu — środki, porty, przystanie? Złudzenie! Niema nic, nie. To co pan myśli, to dziecinne stawianie fortu z piasku. Pan nie był nad morzem i nie widział jak dzieci codzień sypią wały, fortece, pracują dzień cały na wybrzeżu sądząc, że ich słabe budowle oprą się sile żywiołu. I przyjdzie srebrna fala morska — i zgarnie w jednem mgnieniu dziecinny trud... To samo! Przyjdzie jedna fala piekielnego bólu i zgarnie taki dziecinny trud...

— A to, co pani przeciwstawia szał zmysłów, o ile dobrze zrozumiałem — czy to nie zgarnie fala piekielnego bólu?

— Zamąci się przedewszystkiem! Będzie mniej piekąca, mniej żrąca. Błoto wszystko zamąci.

— Więc pani wie, że to... błoto.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Ona aż uklękła wśród liści naprzeciw niego i brzóz.

— Wiem! — odparła hardo.

— W takim razie...

Przerwała mu znów.

— Nie mów pan nic... to bezużyteczne. Wiem, że to błoto — bom do niego przywykła.

Oczy jej pobiegły jak dwa czarne ptaki w stronę, gdzie pod brzozami na ławeczce zgarbiony, skulony szarzał Rydzik.

— Błoto!... — powtórzyła z nieporównanym wyrazem tragicznego bólu — przymykając oczy i pochylając w tył głowę...

. . . .

Na oczy jej spadł nagle drobniuchny deszcz złotych listków osiki, zawirował i osunął się po twarzy, czepiając się włosów.

— Błoto!...

Od wsi leciuchny doleciał turkot kół.

Adam poznał go natychmiast. To był wózek Toczyskiego, który jechał do dworu.

Zjawienie się tego człowieka w tej chwili jakby związane nicią niewidzialną a fatalną, przejęło Adama nieznanem mu wzruszeniem.

— Silna wola — może wszystko! — wymówił, czując sam, że mówi rzeczy banalne, małe w porównaniu z prawdziwie tragiczną sytuacyą tej odartej z ułud dziewczyny.

Zdawała się go nie słyszeć. Od chwili już, jak zahypnotyzowana, zwróciła się w stronę zkąd turkot wózka pochodził. Nagle silnym,

sprężystym ruchem porwała się z ziemi — strząsnęła ze siebie liście i z dziwną ironią po raz trzeci zawołała:

— Błoto!...

Szybko, rozsypując dokoła tumany wirujących liści, zaczęła biedz ku dworowi. Już wózek z Toczyskim wynurzał się z po za stajen i dążył do pałacu. Wiśka biegła szybko, a siedzący w wózku Toczyski witał ją, powiewając kapeluszem. Adam przez chwilę dostrzegł różowo żółtą plamę jego łysiny, rozwiane szare skrzydła prochownika i na ich tle smukłą ciemną sylwetkę Wiśki. Za chwilę znikło wszystko za ognistą purpurą drzew octowych, które zdawały się płomieniami wybuchać ze ziemi.

A z drzew spadały ciągle powoli, cicho, bez szelestu liście i wkrótce pokryły złotą jasnością miejsce, na którem niedawno leżała Wiśka.

Adam wciąż siedział na ziemi i coraz mu było dziwniej, coraz ciężej.

— Błoto!... — dźwięczało w powietrzu.

II

Zaledwie do wieczora zdołał Adam ten dzień jakoś przekołatać. Pomimo, że Toczyski bawił w pałacu — martwo było i cicho.— Tylko w porze obiadowej trochę ożywiły się stosunki między kuchnią a dworem. Haśka ubrana porządniej i ogarnięta latała z półmiskami i sosyerkami. — Adam dostał obiad znacznie później choć wykwintniejszy niż zawsze. Jakieś paszteciki, legumina... Upokorzyło go to. Pierwszy raz uczuł, że gra w tym dworze dziwną rolę. Niedopuszczany do wspólnego stołu, żywiony „na tacy“ — jak szwaczka, której się podaje obiad pomiędzy maszyną do szycia a skrajanymi kawałkami materyi. — Widział to u wuja na wsi, gdy dziewczyna, przywieziona z miasta, naprawiała podarte alby i ornaty. — Nie duma w nim zadrgała — ale jakieś jakby niezrozumiane uczucie, coś, z czego sobie jeszcze sprawy zdać nie umiał. Czuł się tylko rozstrojony i zdenerwowany. — Nie umiał nawet porozmawiać z Rydzikiem, jakkolwiek ten się chętnie do tej rozmowy garnął. — Gdyby Rydzik potrącił o Wiśkę

w swej rozmowie — Adam byłby mu odpowiadał, tak był od dni kilku tej Wiśki pełny, lecz Rydzik przeważnie złorzeczył dziś Tarajewiczowi i kuchni i wygłaszał zdania ostre lecz z przymieszką melancholii. — Niedowierzał swemu polepszeniu, jakkolwiek szczerze był niem ucieszony.

— To tylko takie cholerne manienie!...— powtarzał, patrząc na Adama i starając się coś odgadnąć z twarzy swego opiekuna.

Adam starał się po obiedzie pracować lecz — nie był w stanie. Nie rozumiał co czyta. Niepokój go ogarniał. Mimowoli wstawał i spoglądał na siatki okien Wiśki. Jarzębina, która pamiętnej dlań nocy tak gięła się ku niemu ciekawie, dziś stała prosta i nieruchoma, uwieńczona garstką krasnych jagód na szczycie bezlistnych gałązek.

Jaka dziś dyskretna!... — pomyślał z goryczą i nagle uczuł się zawstydzonym wobec tego drzewa. Spostrzegł bowiem, że myśl jego krąży ciągle — tam — w apartamencie Wiśki, gdzie zastawiono mały stoliczek i przysunięto do niego w tej chwili dwa małe fotele...

Odsunął od siebie „tacę“ — z jedzeniem i rozłożone książki. Wziął kapelusz, dubeltówkę — przypasał troki i wyszedł. Wiedział, że nie idzie „zabijać“ — ale szedł, bo chciał oddalić się od dworu aby przestać myślą krążyć po za drzwi zamknięte.

Szedł daleko polem, i ciągle mijał sterty złote i krzyże przydrożne. Rozsiane bo te krzyże czerniały jak owe anioły o rozpostartych skrzydłach smukłe i nieruchome. Adam szedł tak od krzyża do krzyża jakby odprawiając stacye pokutne. Lecz rosła w nim coraz większa boleść i tęsknota. To, co się nazywało życiem, wydało mu się walką istot nędznych i słabych z niezmierzoną potęgą — łamaniem najcudniejszych kwiatów, okrytych rosą świeżości młodzieńczej, zalewem bagien przegniłych, chłonących w siebie cud serc ofiarnych i miłujących.— Taka Wiśka wszak była kwiatem najczystszym i złamało ją w poranku o liliowym świcie uświadomienie tego, co spienione zwierzęcym szałem w konwulsyach ślepych i szpetnych u stóp życiowego piękna — się targa!

Wchłonęło jej serce świeże o czystych strunach srebrnej harfy całe bagnisko poruszane rytmem rozbestwionego hymnu, w którym pierwszy głos wiodła — jej matka! I stanęła teraz dziewczyna ta smukła i wiotka z ustami skrzywionemi wzgardą i goryczą na wyżynie, do której doniosły ją skrzydła młodości, stanęła bezradna, przepojona wzgardą dla uczuć najświętszych — bez szerokich widnokręgów, bez niczego, coby ją w świat tryumfu ducha nad ciałem wprowadzić zdołało. — Nie miała w sobie rezygnacyi i nie zdolną była poświęcić sobie samej na ołtarzu swej godności. Silną była zmysłowo jako żywiołowa potęga, aż dyszała chęcią użycia

tego czem sama gardziła. Nie znała obowiązków względem siebie samej, bo nie tylko jej tego nie nauczono, ale chowano ją w rozpasaniu zadowolenia wszystkich żądań niższego gatunku. Chciwość, z jaką jej matka wyzyskiwała to, co daje chwila i zdarcie wszelkiej osłony uczuciowej z tego, co jedynie uczucie usprawiedliwia— pastwiła się nad młodą dziewczęcą duszą w potworny sposób. Namiętność jej rozpętana hulać zaczynała, stawiając się nietylko za cel ale i jako środek do zgłuszenia tragicznego krzyku, którym sentyment delikatnej o szlachetnej barwie z pop warstwy narzuconego błota — litości — wołał, dnia się dopraszając...

— Biedna!... biedna!... — płakało prawie w duszy Adama — och! jaka biedna!...

Zatrzymał się pod jednym z krzyżów, pod którym kępka zapóźnionych bodiaków rosła. Tu — wśród tej równi, nad którą zawisła czarująco piękna purpurowa lampa słońca, wśród tej wielkiej przestrzeni sąd Adama o Wiśce stawał się cały łagodnością i dobrocią. — W ciasnych ścianach pałacyku plątał się w nim jakiś żal i niesmak. Tu — wobec ogromu czuł jej słabość w oporze i przeciw temu, co jak ona sama mówiła ,,nalatywało na nią jak stado demonów". — Wypuściła na nią tę armię przedwczesną jej własna matka i nie uzbroiła jej w nic, aby się obronić mogła...

Nie była to walka na wyżynach, lecz już spadek szalony... jęk... krzyk...

Kto wie?

Przekleństwo...

Może — już!

A potem — te samobójcze myśli, pragnienie zniknięcia, i znów krzyk — szał! Błoto!...

Straszne.

. . . .

Dokoła tej walki tragicznej, nieokreślenie — stoją całe teorye krzyżów, aniołów smukłych z równo rozpostartemi skrzydłami.

Krzyże — znak odpędzania złych duchów.

Krzyż!...

A przecież ta walka wre — i tam, w przepaść spada powoli dziewczyna, kwiat rosą świeżości obmyty — wołając z jękiem tak jak inne dziewczęta wołają z uśmiechem, iż oddają swe serce na wieczność a razem z sercem i czyste ciało swoje.

A ona, tamta blada, o czarnych smutnych oczach wołać o sercu nie może, bo o niem nie wie nic, nic — tylko woła... szał! szał!...

. . . .

Nad równią upadła prawie czarna kopuła szafiru, gdy Adam powrócił do dworu. Przed gankiem stał już wózek Toczyskiego, Adam okrążył go i chciał wejść na ganek, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Toczyski i odprowadzająca go Wiśka.

— Proszę się wrócić! — mówił Toczyski.

— Ani myślę.

— Więc chce mnie pani stanowczo odwieźć?

— Ależ pani nie ubrana dostatecznie.

— Mam płaszcz!

Teraz Adam dostrzegł, iż Wiśka ma na sobie ten sam biały szlafrok, w którym go w nocy wezwała do siebie.

— Ha... no to niech pani siada.

Wózek podjechał. Adam czuł, że gra dziwną rolę. Wysunął się z po za oleandrów. Toczyski pomimo zmroku wbił w niego oczy.— Zdawało się, iż chce go przejrzeć do głębi. Leciuchne zmieszanie przebiegło po twarzy Wiśki. Wyciągnęła rękę ładnym gestem:

— Pan doktor Walicki — pan Toczyski!

Podali sobie ręce.

Ona na chwilę zjawiła się pomiędzy nimi, jakby jakąś spójnią swego ciała łączyła ich obu. Lecz już ręce ich rozpadły się. Toczyski zeszedł do wózka, który podjechał i poprawiał siedzenie. Gdy Wiśka schodziła, Adam dostrzegł na jej nogach czerwone, wyszywane złotem pantofelki. Za chwilę siedziała na koźle obok Toczyskiego, otulona w fałdy szerokiego płaszcza i trzymała z pewną fantazyą bat w ręku.

W chwili odjazdu zwróciła się w stronę Adama.

— Pan jeszcze spać nie idzie? — spytała.

— Nie.

— Ja zaraz powrócę.

Odjechali.

Adam stał zdziwiony jej słowami. Do tej chwili nie interesowała się nigdy tem, co on robił wieczorem. — Stał niepewny, nie wiedząc właściwie, co mu czynić należy. Czy czekać na powrót Wiśki, czy cofnąć się do swojego pokoju...

Koło niego przemknęła się Haśka.

— Ja kolacyę zaniosła — wyrzekła, uśmiechając się. Widocznie próbowała szczęścia, ufna w nową różową bluzkę i świeżo umyte uszy i kawałek szyi.

— Dobrze... — odparł Adam, siadając na stojącej przed domem ławeczce.

Haśka trzasnęła drzwiami aż szyby się w nich zatrzęsły. — Adamowi obecnie było to obojętne, zanadto od rana zżył się już z myślą o Wiśce, aby drugi twór kobiecy przesunął się koło niego jako istota licząca się w sferze delikatniejszych uczuć. Był to postęp od owej chwili wahania się z podjęciem kwiatów z tacy przyniesionej przez Haśkę.

Myślą — Adam biegł za wózkiem, który już znikł zupełnie a tylko słabo turkotał w oddali.

. . . .

Tymczasem — na wózku wiodła się następująca rozmowa w języku francuskim ze względu na wyrostka siedzącego na przyczepionym wieszadełku po za plecami jadącej na koźle wózka pary.

— Więc dawno już tak mieszka we dworze? — pytał Toczyski.

— Dawno.

— No... no...

— Co?

— Nic.

— Dlaczego ten ton?...

Milczenie.

I znów z pewnym sarkazmem w głosie.

— To ładny mężczyzna.

— Kto? — pyta Wiśka.

— No... ten... doktor.

Przeciągły wybuch śmiechu.

— Dlaczego się pani śmieje?

— Bo... pan go nazywa mężczyzną.

— Daruje pani... ale...

— Ale to jest sentymentalne dziecko, panie drogi.

— Już ja bym takim dzieciom nie dowierzał.

Śmiech ustał.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To... że mi się to mieszkanie z tym panem pod jednym dachem nie podoba.

Spojrzeli sobie ostro w oczy oboje. Siedzieli tak blizko siebie, że źrenice ich mimo zmroku widziały się dokładnie.

Milczenie trwało krótką chwilę — pierwsza odezwała się Wiśka.

— Czy pan sądzi, że każdy jest takim samym jak pan?...

Mówiła ostrym, nieprzyjemnym głosem. Jakaś bezdenna nienawiść drgała w tym tonie.

Toczyski uśmiechnął się ironicznie.

— Tu nie chodzi o niego — odparł niedbale — on może mieć najlepsze intencye... ale... co do drugiej strony...

— Więc — ja?

Aż pozieleniały światełka w jej oczach.

— Mój Boże... tak... z pani temperamentem... o! o!... zaraz się burzy... to dla kobiety wdzięk jeden więcej...

Chciała mu coś odpowiedzieć. Otworzyła parę razy usta ale słowa więzły jej w gardle. Zbyt wiele już było pomiędzy nią i nim tej deprawacyi rozkosznej, drobnej napozór i nic nie znaczącej, ażeby mogła bezkarnie okazać mu jak go chwilami strasznie nienawidziła.

Porwała tylko za lejce i wstrzymała konie.

— Ja wysiądę! — wyrzekła zmienionym głosem.

Pochylił się ku niej pieszczotliwie.

— Wiśka!...— wyrzekł— Wiśka!— nie bądź szalona... nie gniewaj się...

Tonęła stopami w piasku. — Z całą swobodą zdjęła z nogi pantofelek i wytrząsnęła z niego piasek.

— Dobranoc panu!...

— Gniewamy się?

— Nie... lubię otrzymać to na co się zasłużyło.

— Przyjadę jutro!

Nie odpowiedziała nic.

Zawróciła się i zaczęła iść w stronę dworu.

Toczyski wzruszył ramionami i wreszcie ruszył z miejsca. Ta dziewczyna „działała“ na niego jak kapitalne wino. Upajał się przy niej i odzyskiwał pozory młodości. Zdawało mu się chwilami, że kocha się jak żak.

— Tymczasem — to było złudzenie, to było tylko garnięcie się więdniejącego ciała ku młodszej świeższej istocie. I to co brał za pieszczoty miłosne, to były subtelne deprawacye idące coraz dalej bezwiednem już tempem.

Zatracił poprostu poczucie różnicy i sensacyi dziewczyny uczciwej i rozpustnicy, to co wydawało mu się niewinne, było odnośnie do stopnia zepsucia rozpustnicy rzeczywiście letnią wodą, względem Wiśki jednak czemś co gubiło w niej powoli resztę złudzeń i dziewczęcego spokoju.

Ale — Wiśka na niego „działała“.

I dlatego oderwać się od niej nie mógł.

. . . .

Wolno, jakby w zamyśleniu pogrążona idzie Wiśka powrotną drogą do dworu. — Idzie nagłą do siebie przejęta odrazą i wstrętem.

— Przy pani temperamencie... — myśli, przeżuwając słowa Toczyskiego.

— Tak... przy moim temperamencie — tym wrodzonym, odziedziczonym... naturalnie — tak, tak...

Chwilę dławiła się tak za gardło skurczoną ręką, iż zdawało się, że padnie.

— Temperament... odziedziczony.

Stanęła chwilę. Podniosła ku stropowi nieba, który zasiał się brylantami iskier — swą bladą, znużoną twarz.

— Temperament!...

Nagle zwinęła się, okryła płaszczem i raczej biegła w stronę dworu niż szła. Jakiś brzydki, zły uśmiech ściągnął jej usta.

Dopadła ganku.

Z ławki podniósł się Adam.

— Pan tu?

— Tak!...

— Usiądę przy panu!

Szybko zbliżyła się i opuściła na ławkę. Adam usiadł obok niej. Widział doskonale jej profil, na który spadały pasma jej żałobnych włosów i całą postać szczelnie owiniętą szarym płaszczem, długą, wąską. nieruchomą jakby trup owinięty szarym całunem i do włożenia w trumnę gotowy.

Jakaś silna woń pomieszanych perfum z przebijającym się zapachem, który Wiśka zażywała od bólu głowy, otaczała ją dokoła.

Chwilę milczała. Nawet oddechu jej słychać nie było. Wreszcie odezwała się i nic nie zdoła określić tonu ironii z jakim wypowiedziała następujące słowa:

— Co pan o mnie myśli?

— !!!

— Ja panu powiem. Pan myśli — śmieszna prowincyonalna demi vierge!

Tak to padło niespodzianie na Adama i tak było przykre i brzydkie, że Adam strapiony na razie nie wiedział co ma powiedzieć.

— Ha... co pan chce... na wszystko muszą być materyały na świecie — ciągnęła dalej — na wszystko, nawet na tak zwane kobiety z temperamentem, które z niczem się nie liczą. I u nas w kraju, czasem na prowincyi w piaskach, uchowa się taki materyalik cacy... Dla drugich żer gotów...

Z ciemni ten głos wydobywający się, nabrzmiały bólem, czynił dziwne wrażenie.

— Toczyski jest dawny przyjaciel naszego domu. Miły człowiek? — co?

— Nie — odparł krótko Adam.

— Niepodoba się panu? — Taki gładki — układny — z manierami — no... no...

Śmiała się przeciągle.

— Mnie się on bardzo podoba...

Milczenie.

— A co śmieszniejszego to to — że pan także mu się niepodoba.

— Widocznie antypatya wzajemna.

— Ach! ciekawe!... Ale czy dla tych samych powodów?

— Jakież są powody tego pana?

— On... myśli...

Odwróciła się nagle i spotkała blizko siebie twarz Adama. Coś w niej było w tej

szczerej prostej, dobrej twarzy — coś, co jej uwięziło słowa, które chciała cynicznie mu w oczy rzucić.

— Czekam, słucham.

Wydobyła rękę z fałd płaszcza — potarła nią po czole.

— Nie... nie... już nic nie powiem.

— Czy to takie złe?...

Opuściła powieki jakby ze wstydem.

— To gorzej niż złe.

— Ja chcę, ja muszę wiedzieć.

— Po co? po co to panu? to taka szkoda, kiedy kwiat w błoto upadnie.

— Więc to aż błoto...

Wyciągnęła nagle przed siebie ramiona.

Opadł z niej płaszcz. Pod cieniuchną tkaniną szlafroka dokładnie zarysowało się jej ciało w przód podane.

— A cóżby innego mnie otaczać miało?...— zawołała — błoto!...

I zwolna opadły jej ręce miłośnie przed siebie wyciągnięte. Niskim, zmienionym głosem dodała:

— Pan wie... Baudelaire powiedział— błoto i łzy!... La boue et les larmes!...

Gorący ból przejął Adama.

— Z błota można się ocalić.

— Tak! jeśli kto w nie wypadkiem wpadł lecz nie wtedy, gdy kto z niego wyrósł.

— Och! i wtedy!... dopomódz można.

— Kto? co?... czy zna pan taką siłę.

— Znam!

Patrzyła mu znów prosto w twarz. Przy mdławem świetle gwiazd, widział ciemne plamy jej ogromnych źrenic.

— Pan zna... taką potęgę — proszę — powiedz, co?

— Serce.

. . . .

To było proste, krótkie słowo, które padło pomiędzy nich i nagle rozświetliło jakby całą wyższą, oderwaną od ziemi część życia ludzkiego.

Serdeczne pasmo, które jedno jest prawdą i właściwą istotą życiową — serdeczne pasmo dościgłe tylko wielkim, przeogromnym w swej piękności duchom. Serdeczne pasmo przebaczeń, poświęceń, miłości bezgranicznych i bezcennych — do którego wiedzie droga przez ból własny i odczute cierpienia wszechżycia. — To pasmo, które w oddali pozostawia formułki i kodeksa ręką ludzką kreślone, ziarno pojęcia bez myśli o indywidualistycznych stopniach rozwoju uczucia lub zrozumienia obowiązków sercowych.

W tę sferę świetlaną, w to pasmo promieniste do którego dążą ci, którzy, wśród grobów błądząc filozofii przebaczeń się uczą — dostać się nie mogą ci, którzy pełzają po ziemi, zlizując okruchy uczty, przy której rozsiadł się wszechwładnie Egoizm fałszywej moralności. I nigdy nie zaznają też wielkich i jasnych świąt,

w których białe skrzydła Aniołów wiewają radośnie i zielone palmy w ich rękach szemrzą łagodnie.

— Spokój ludziom dobrej woli...

. . . .

Taki to świat nagle powinien był rozsłonecznić się przed Wiśką w słowie Adama.

Lecz świat ten widział tylko on, jej oczy pozostały ślepemi. Słyszała dźwięk słowa, które znaczyło dla niej rzecz małą, wybrakowaną, słabą — prawie nie istniejącą. Ten chłopiec rzucający niem niebacznie przed nią, drżącą jeszcze całą od perwersyi Toczyskiego wydał się jej poprostu śmieszny.

— Serce?... nie!... to za mało! — zawołała — to jest nic — wielkie nic.

— Nie — to jest wszystko.

Wzruszyła ramionami.

— Z pana dziecko, dziecko sentymentalne. I to ma być doktor!

— Może pani zechce abym powiedział, że serce jest to organ w ciele ludzkiem...

— To już byłoby lepiej.

Adam namyślał się chwilę — wreszcie wyrzekł.

— Wie pani, teraz ja pani odrzucić muszę jej słowa. Tam wśród liści powiedziała mi pani, gdy mówiliśmy o świecie — zmysłów: co pan wie! Teraz pozwoli pani, że gdy mówić będziemy o świecie serca — ja powiem: co pani wie!...

— Nic nie wiem, bo nic niema do widzenia!

— Ach pani!...

I znów zamilkli oboje. Ona owinęła się w płaszcz i napowrót przybrała trupi wygląd.

Patrzyła przed siebie dziwnie beznadziejnie, smutnie.

— Kto pana wychował? — zapytała wreszcie.

Zaskoczyło go to pytanie, niespodziewanie.

— Dlaczego mnie pani o to pyta?

— Bo dziwi mnie, że się pan takim uchował. Według mnie idealiści, po świecie już nie chodzą. Ostatni dostali się pod szkło — do muzeów. Co?

— Jak pani mnie błędnie określa. Idealista to czcze, śmieszne słowo. — To nic nie znaczy w zastosowaniu do nas. Mówię do nas, bo niech mi pani wierzy — jest więcej takich ludzi jak ja, niż pani przypuszcza. Tylko trzeba umieć dobrze patrzeć. Co chwila potrąca się w życiu o serdeczną istotę. Jest pełna najlepszych chęci, poświęci się chętnie... tylko my nie umiemy patrzeć i przechodzimy mimo drapując się w swój ból — i mówiąc „nie mam nikogo!“ — A tak źle nie jest, nie... daję pan na to słowo.

Słuchała go uważnie, gdy skończył dziwnie przejęty tem, co powiedział — wyrzekła zimno.

— To tylko zdaje się panu!

— Nie, nie. Ja to wiem, ja jestem o tem najmocniej przekonany.

— A ja jestem przekonana, że to są mrzonki — odparła twardo.

Podniosła się z ławki i zaczęła wstępować zwolna na stopnie ganku. — Z wewnątrz zapalone światło biło przez kolorowe szyby sieni purpurą, złotem i zielenią — nadając jej fantastyczne, zjawiskowe oświetlenie.

— Dobranoc panu! — wyrzekła, zatrzymując się już pod kolumnadą.

Adam już stał pod gankiem i z zachwytem na nią patrzył.

— Dobranoc pani!

Płaszcz jej zsunął się z ramion. Wlokła go za sobą niedbale a ten olbrzymi jasny tren podwyższał ją jeszcze. Coraz więcej nabierała pozorów zjawy.

— W każdym razie... dziękuję panu.

— Za co?

— Za to coś pan mówił, za to jakeś pan mówił, za pana głos, uśmiech, za pana całego... Tak mi jakoś dobrze jakbym w dzień upalny napiła się czegoś bardzo, bardzo orzeźwiającego.

I z uśmiechem czarującym pełnym dziewiczego uroku iść zaczęła ku drzwiom, odwracając twarz ku niemu.

A gdy znikła po za drzwiami, Adam patrząc na purpurę, szmaragdy i złoto świateł, po

których przesuwała się lekka biel jej sukni, pomyślał, że nigdy żadna kobieta nie była w jego oczach tak blizką ideału dziewczęcia, który uwięził na wieczyste czasy na zaklętem płótnie Fra - Filippo - Lippi.

III

— Panna baronówna prosi pana do stołu! Tak zaanonsowała Haśka nowy postęp w normalnym przebiegu dnia Adama.

— Do stołu?

— Tak. Panienka kazała nakryć w jadalni i tam poprosić pana doktora.

Adam ogarnął się i wyszedł do sieni. Ztamtąd zaczął błądzić po pokojach. Nie wiedział gdzie jest właściwie jadalnia. Kroki jego rozlegały się w pustce dworu. Nagle posłyszał głos Wiśki.

Ależ tutaj... tutaj...

Wszedł do długiego, prawie pustego pokoju, okna były obdarte z firanek. Szare światło jesienne waliło się do wnętrza. Ogromny kredens, brzydki, dźwigał się w kącie. Tu i owdzie wisiały jakieś portrety. Duży owalny stół nakryty był do połowy obrusem. — Na środku stał ogromny, przepyszny bukiet liści octowych purpurowy i miedziany. Zdawało się, że ktoś rozpalił ognisko na środku stołu. Po

za bukietem wykwitał biust Wiśki odzianej, jak zwykle, w zieloną wełnę.

Przywitała Adama kaskadą śmiechu.

— Jakże... serce?

Zatrzymał się zdziwiony i zmieszany.

— Czyje?

— Przecież nie moje, bo ja się liczę do rzędu innych istot.

— Do jakich, na Boga?

— Ach... pan wie... takich z temperamentem.

Usiadła i zaraz zaczęła bardzo ładnie i z wdziękiem prawdziwej damy robić honory swemu gościowi. — Przeprosiła go, że do tej pory pozwoliła mu jeść samemu, ale była cierpiąca, zdenerwowana...

Od dziś zmieni się to wszystko.

— Postaram się panu uprzyjemnić pobyt w naszym domu i dopomódz do zniesienia jako tako tych przykrości, które są pana udziałem.

Adam się zadziwił.

— Jakie przykrości?...

Wiśka wydęła usta.

— No... z tym, tam...

— Ach! z moim chorym? — Ależ przeciwnie. Z początku jeżył się i stawiał. Teraz widocznie choroba uchodziła go, bo stał się zupełnie możliwym do zniesienia.

— No... no...

Z pod rzęs przymkniętych patrzyła na niego przez szerokość stołu. Ten wzrok niepokoił go. Przypominał mu Filharmonią, Griega, ledwo dojrzane kły krwiożercze, i potem wyraz twarzy jej matki zwieszonej z mgły nad łożem Rydzika.

— Pan ma dziwny urok widocznie — pan umie uchodzić nawet dzikie zwierzęta...

— Pan Rydzik nie jest zwierzęciem.

— Prawie.

Rzuciła to niedbale, ale widocznie nienawiść aż wstrząsała ją całą.

— On bardzo cierpi.

— On?...

— Tak.

— Tam są nerwy jak postronki. Niech pan się nad nim tak bardzo nie roztkliwia... Lepiej jedzmy i zajmijmy się czemś przyjemniejszem. Zaczęła natychmiast mówić o tysiącu głupstwach miastowych — wykazując dużą znajomość tych plotkarskich drobiazgów, które biegają po ulicach miasta razem ze śmieciami i kurzem ulicznym. Lecz — obiła się o nieznajomość tych stosunków ze strony Adama i rozmowa padać zaczęła. Wiśka była tak subtelna, iż natychmiast uczuła, że gra na fałszywej nucie. Ten chłopak prosty, dobry — którego fala życia wyrzuciła z miasta na tę Ruś zapadłą, był nie wrażliwy zupełnie na ludzkie małości i słabostki.

— Nie wiem... nie słyszałem... — odpowiadał ciągle.

Wiśka spuściła z tonu.

Obiad dobiegał do końca — mimo wszystko nadzwyczaj miły i skąpany jakąś przyjemną atmosferą domową. — Wdzięk Wiśki dnia tego promieniał ogromną kobiecością.—To wpływało szalenie na Adama, nie wiedział co mówiła. Patrzył na nią i znajdował ją piękną choć jakąś wyzywającą i pełną ponęt zmysłowych. Gdy skończyli deser — Wiśka wstała i nagle wyrzekła:

— Chodźmy strzelać paszkoty.

— Czy są blisko dworu?

— Jest ich całe stado. Przelatują z jednej kępy drzew na drugie. Pan stanie na jednym punkcie — ja na drugim i będziemy je płoszyć. Zgoda?

— Zgoda.

Znikła na chwilę w głębi domu i powróciła w żakiecie czarnym i ładnym filcowym toczku przystrojonym egretką z piór. Suknię miała bardzo zgrabnie podpiętą. Nóżki obute w śliczne żółte buciki stawiała prosto i śmiało.

— Chodźmy.

Wyszli przed dom. — Przechodząc mimo stajen Wiśka nagle strzeliła do wróbli rozsypanych na dachu stajennym. Spadły gradem maluchnych, bezbronnych ciałek. Wiśka patrzyła na nie i uśmiech dziki odsłonił jej kły białe.

— A to się posypały...

Nie podniosła ani jednego. — Przerzuciła dubeltówkę na ramię i poszła dalej. — Za nią szedł Adam. Mimowoli myślał ciągle o lecących martwych ptaszkach i o odsłoniętych kłach kobiety.

I przykro mu jakoś było.

Idąc polem, po których włóczyły się gałęzie kartofli, zrównali się ze sobą. Nie mówili nic — patrzyli na niebo, które pokrywało się całe jakby szarym całunem. Wicher ciągnął nisko i bił ich zdradziecko po nogach, nie dotykając twarzy, jakby pełzał powoli z oddali. Było ciężko i coś smutnego rozwłóczyło się dokoła. Doszli do dwóch kęp drzew strzelających nagle w szczerem polu. Wiśka ustawiła Adama w gęsto zarośniętych krzakach i nakazawszy mu ładnym gestem milczenie — po bruzdach ku drugiej kępie przebierać się zaczęła.

Patrzał na nią przez gałęzie jak szła stonowana i sharmonizowana do kolorytu panującego dokoła. — Lawirowała wśród bruzd zręcznie i biodra jej rytmicznym ruchem podnosiły się pod obcisłym żakietem.

Gdy skryła się wreszcie w gąszczu, Adamowi zdawało się, że jakaś żałoba pokryła cały pejzaż, że wydarł ktoś punkt główny i zasadniczy, do którego zbiegały się barwy i linie.

— Ona jest jak... wszystko! — pomyślał z prostotą. Nagle rozległ się krzyk dziki i strzał·

Zanim Adam się spostrzegł, już ku niemu darło się powietrzem mnóstwo ciemnych ptaków. Pędziły w popłochu na drzewa, pod którymi stał ukryty. Przerażone wirowały chwilę...

— Strzelaj!... — słychać było głos Wiśki.

Złożył się, strzelił ale umyślnie źle i bez celu. Nagle ogarnął go żal na te biedne ptaki płoszone bez pożytku, tylko dla uspokojenia wrodzonego bestyalstwa rozmiłowanych w mordzie ludzi. Ptastwo porwało się znowu i na oślep ciągnęło ku kępie, gdzie czatowała na nie w ukryciu Wiśka.

I znów się rozległ strzał, suchy łomot gałązek...

Widocznie trupy spadały z wyżyny, która im przeznaczona była na miejsce pobytu. I tam dosięgła je ręka... ludzka.

Adam nagle wyszedł z krzaków i zaczął iść ku Wiśce.

Zastał ją zgorączkowaną, zbierającą zastrzelone ptaki i przywiązującą je do troków. Jeden z nich żył — rzucał się.

Rozgniotła mu głowę obcasem ślicznego bucika.

Adam wyciągnął rękę.

— Co pani robi?

— To, co wy w szpitalach! — Odparła twardo.

— My!

— Tak. Wy — wtedy, gdy na bezpłatnych chorych probujecie waszych odkryć i wynalazków...

Śmiać się zaczęła, patrząc mu prosto w oczy.

— Chirurg!... chirurg!...

To niespodziewane z jej strony poruszenie kwestyi, która była prawie raną jego życia, przejęło go niewysłowionem zmieszaniem.

Dostrzegła, że pobladł.

— Chodźmy stąd — wyrzekła.

Nie pytała go, czy zastrzelił cokolwiek. Zdawała się tem nie interesować. Widocznie szło jej tylko o własne wrażenia.

Szli znów miedzami w milczeniu, na przełaj bez celu — jakby chcieli dojść do linii, gdzie szary horyzont zlewał się z bladą, tajemniczą linią krańcową równi. — W oddali cały rzęd topoli nieruchomy zdawał się oczekiwać ich nadejścia. Pustka była dokoła.

Droga szara, skopana w ogromne grudy wiła się pomiędzy polami samotna i opuszczona.

A oni szli ciągle oboje milczący, drobni — zanurzając się w ten bezkres, zanurzając się we własne myśli, które tak jak ta równia kresów także nie miały!

Nagle — przed nimi — jakby z ziemi wystrzelił — wielki samotny krzyż.

Nie widzieli go choć był tak blizko — zapatrzeni oboje w rozpływającą się w szarości dal.

Bodiaków kępę rozwiewał u stóp krzyża wicher. Ot — prosta mogiła gdzieś zapomniana na środku pola — mogiła, z której wywiały wichry ducha i resztki popiołu — i resztki wspomnienia.

Wiśka u stóp krzyża stanęła.

— Odpocznę! — wyrzekła zmęczonym głosem.

Wówczas Adam dostrzegł, że była blada i cała potem pokryta.

— Niech pani pozwoli...

Zdjął jej z ramienia dubeltówkę i postawił ją na ziemi o krzyż opierając...

Wiśka na jego ruchy patrzyła.

— Bardzo słusznie! — wyrzekła.

— Dlaczego?...

— Obok siebie symbol kary i narzędzie zniszczenia.

Adam podniósł na krzyż swe łagodne oczy.

— Co z panią?... krzyż jest dla pani tylko symbolem kary?

— A jakże?... od pierwszej chwili słyszy się — Bóg... sędzia...

Aż drgał sarkazm w kącikach jej ust.

— Nie wiem — odparł Adam — ja słyszę zawsze: krzyż symbol miłosierdzia, przebaczenia...

— Och! och!... ideał życiowy.

— Jedyny.

— Pan byś umiał przebaczyć?...

— Zdaje mi się, że tylko to jedno. A przedewszystkiem aby przebaczyć — należy potępić...

— Więc pan byś nie mógł potępić?

— Jakież mam do tego prawo?...

Zastanowiła się i chwilę milczała. Wreszcie odezwała się z ciężkiem westchnieniem.

— Prawda... nikt niema prawa nikogo potępiać! A przecież... nieraz się całe życie pędzić musi pod wyrokiem potępienia. I to najstraszniejsze, że się samej nic nie zrobiło jeszcze co by na potępienie zasługiwało, a dokoła jak fale — rośnie, rośnie wzgarda — wzgarda... Przecież to straszne? co?...

Adam zrozumiał wybornie, iż Wiśka robi aluzyę do swego społecznego stanowiska. To była znowu rana ukryta na dnie jej duszy.

— Tak... to straszne—odparł—lecz w takim razie należy utworzyć sobie swój świat własny, częstokroć więcej wart niż cudzy.

— Swój świat własny!... tak... ale na to trzeba mieć coś, jakieś podstawy, aby ten świat nie był domem z kart, które byle gorętszy powiew przewrócić może. A skoro się niema takich podstaw? co robić?... co? Patrzyła mu w oczy natarczywie. Nie mógł zrozumieć co w nich było. Zdawało mu się, że tö co ona w tej chwili mówi jest dla niej rzeczą podrzędną, że tam w jej myśli odbywa się cały proces o wiele ciekawszy, ważniejszy, do którego dotrzeć nigdy nie będzie w stanie.

— Trzeba te podstawy usiłować zdobyć — odpowiedział tymczasem.

— To są frazesy! — rzuciła mu z ironią — puste frazesy... Pan zna przysłowie — czem skorupka za młodu nasiąknie...

— Tak, ale jeżeli jeszcze jest ta młodość.

Pochwyciła z fantazyą dubeltówkę i zarzuciła ją na ramię.

— Nie — panie, tej młodości już niema! Lata są... ale okrutna, brutalna szczerość życia dała pięścią w głowę... i oto starość przyszła nagle, starość serca, duszy... Zwiędło wszystko... jak te bodiaki.

Nogą roztarła pokorne wymarzłe kwiaty pełzające u stóp krzyża.

— I pozostało trochę popiołu... Iskrę ktoś rzuci — buchnie ogień...

Zaczęła schodzić na drogę.

— Dobre i to! — rzuciła jeszcze.

I odwróciwszy głowę, obrzuciła Adama spojrzeniem tak dziwnem, że chwilę zabrakło mu oddechu.

— Zwłaszcza dla drugich!... — padło z jej ust wykrzywionych jakby bolesną ironią.

. . . .

Gdy dochodzili do domu Wiśka zrównała się z Adamem i nagle go spytała:

— Czy pan czasem nie miał kiedy zamiaru być księdzem?

— Dlaczego?

— Bo pan ma w sobie coś takiego...

Adam nic nie odpowiedział...

. . . .

I stanęły przed nim nagle te wszystkie ciepłe, letnie noce, kiedy tam w sadzie zieleniejącym dokoła plebanii, on siedział młodziuchnym chłopcem, patrzył na niebo gwiaździste i bił się z myślami.

Tak — chciał być księdzem i w te noce letnie, podczas których białe kwiaty jabłoni i grusz śniegiem osypywały się na zieleń trawy, a ule ciche wznosiły się kręgiem pod gałęziami drzew — on, dziecko czyste o wielkich miłosiernych oczach, marzyło życie pełne przebaczeń, łagodnych słów, gestów błogosławiących i mistycznych nad rozmodlonym tłumem u stóp Ukrzyżowanego.

Tak — chciał być księdzem, wznoszącym błagalnie ręce wśród kwiecia pachnącego, jak kadzielnica w miesiącu Maryi, w miesiącu majowym, w którym słońce ma złote, czarujące blaski, jakby tam z nieba od korony królowej spływał gazowy welon i krył łagodnie świat cały...

Tak — chciał być księdzem, który wchodzi w niski i straszny próg chałupy, gdzie kona w tyfusie plamistym chłop nędzarz i wyschłą szyję za „dobrodziejem“ wyciąga, podczas gdy ogarek świecy na kraju stołu dogorywa, a już nowy chory w sionkach z nóg się wali, jęcząc:

— O Jezu!...

Na podwórku — tam gdzie czerwone kwitną georginie, w koszyku plecionego płotu, stoi żandarm w pikelhaubie korkowej. Czeka aż ten tam zamrze i pilnować ma, aby się zaraza nie rozprzestrzeniła...

I dla tych tam, którzy wewnątrz chałupy konają, bo nic dla nich nie uczyniono, aby siłę odporną przeciw zarazie mieli, nie pozostaje nic — tylko ten „dobrodziej“ — ten Bóg, którego przyniesie, ten dzwonek, co w oddali zajęczy, ta stuła ze złoconym, wyszytym krzyżykiem którego dłoń konającego kurczowo się uchwyci

Nic — tylko ten „dobrodziej“...

Tak — chciał być księdzem.

Cichym, pokornym, drobnym w jakiejś wiosce wśród sadów o zapachu rozkwitłych wiśni, lub wśród bieli śnieżnej, poznaczonej o świcie złotą gwiazdą roratną — w ośnieżonych gałęziach lip tonącego kościołka.

Lecz powoli, miłosierne oczy dziecka zwracały się ku ziemi. — Dział się w nim przewrót smutny. Patrzył na pracę wuja i badał jej podstawy.

To nie było to. Nie szło to z gwiazd i natchnienia. Jakaś suchość przyjętych dogmatów, które nie przepłynęły przez serce — wyłaniała się coraz więcej...

I nagle Adam zrozumiał, że chcąc być takim księdzem, jakiego wymarzył sobie w nocach rozpachnionych, gwiaździstych, nie będzie mógł nim być bez grozy anatemów i nietolerancyi.

I upadłszy pod jabłonią, która strząsała na niego śnieg swych płatków — płakał, długo — cicho — jakby sen najlepszy swej duszy razem ze łzami wypłakać mu przyszło w tę noc czerwcową.

. . . .

— Tak, chciałem być księdzem! — odpowiada Wiśce.

Ona drga cała od powstrzymywanego ironicznego śmiechu.

— To znać po panu!...

Idzie szybko teraz w stronę ganku. Zdawaćby się mogło, że ta kobieta nie wie sama jak ma się zachować z tym nieznanym dla niej rodzajem mężczyzny, który znalazł się na jej drodze. — Przeczuwa w nim, że jest on różnym, że jest on i n n y m, od wszystkich jej znanych — co więcej, od niej samej i to nią szarpie — to w niej wzbudza jakąś jakby obrazę, gniew...

Na stopniach ganku pali papierosa Toczyski. Z niezadowoleniem spogląda na nadchodzącą Wiśkę w towarzystwie Adama. Jest to tylko mgnienie oka. Natychmiast przybiera minę nadzwyczaj uprzejmą. — Adam patrzy na niego i uderzony jest jego mizerną postawą. Drobny o spadzistych ramionach, chudy, rasowy — brzydki. Ma charakterystyczny t i k mrużenia lewego oka od nadmiaru noszenia monokla.

— Predyspozycya estetyczna... — ocenia go mimowoli Adam.

— Ja tu czekam już od godziny! — mówi. Toczyski, idąc naprzeciw nadchodzących.

Wiśka nie odpowiada nic. Podaje mu niedbale rękę. Gdy wchodzi na stopnie ganku, Adam słyszy jak Toczyski mówi do niej:

— Przyszły...

— A!...

— Tak. Dziś rano. Spieszyłem się... chciałem wszystkie przywieźć.

— Jest Louvette?

— Jest.

— I Bilitis?

— Nie. Aie za to mam całego Casanowę.

— Daj mi pan spokój. To starzyzna.

— Niemniej arcydzieło.

— Wolę Bilitis...

Bez słowa pożegnania, bez spojrzenia Wiśka wchodzi do domu a za nią Toczyski. Adam pozostaje sam na ganku i długą chwilę namyśla się, co ma począć ze sobą.

Jest zupełnie wytrącony z równowagi.

Z przestrachem widzi, iż dzień jego dzieli się na ten czas, który przepędza w towarzystwie baronówny, i ten, w którym pozostaje sam.

— Pójdę pracować...

Lecz wie, że nie pójdzie, bo to będzie marna i bezowocna praca.

— Pójdę do Rydzika!

Czuje, że musi iść gdzieś, zacząć mówić z kimś, oderwać się myślą od tych ścian,

w których w tej chwili jest Wiśka w towarzystwie Toczyskiego.

— Jakie on jej książki przywiózł? — myśli — chciałbym wiedzieć, jak on na jej umysł wpływa. Bilitis, Casanowa... nie znam ani jednej z tych książek... Chciałbym wiedzieć...

Doszedł do oficynek i natknął się na Rydzika w sieni. Ten chował jakiś garnczek do beczki.

— Co pan tam masz? — zapytał ostro.

— Nic... nic...

Adam pochylił się i wyciągnął z garnka kilka pierogów nadzianych kapustą. Otworzył drzwi i wyrzucił je na dziedziniec. Rydzik patrzył na niego i głową kręcił.

— To nie po chrześcijańsku!... — wyrzekł wreszcie.

— A po chrześcijańsku to, co pan robi?

— Niby, że pierogi ściągam?

— Nie. Ale, że pan się dobija.

Nie mógł powiedzieć „zabija" — wobec tego skazańca na śmierć. Nadspodziewanie Rydzik ten subtelny odcień wyczuł i zrozumiał.

— A no — podjął — pan doktor widzi sam, że mnie już jeno można d o b i ć jak takie psie ścierwo, szkapsko, co je wywloką na trzęsawisko ażeby zdechło. Więc czego mi bronić!...

— To mój obowiązek.

Rydzik westchnął i załamał ręce tak, że w nich aż chrupło.

— E!... kto o tem na świecie myśli! Mało to ludzi, co powinni swoje obowiązki spełniać, a im się ani śni! Ani to dzieci dla rodziców, ani to żony dla mężów...

Ostatnie słowa wymówił z szaloną goryczą.

— A jakże... takie morowe cholery...

Weszli razem do pokoiku, w którym panował jaki taki ład. — Widocznie Rydzik sam się zwlókł i trochę sprzątał.

— Kto u pana dziś sprzątał? — zapytał Adam,

— A no... ja sam!

— Zakazałem się panu schylać i połykać kurz...

— Rydzik trzęsącemi się rękami zaczął po powietrzu machać.

— No... więc jakże?... Przecież pan sam mnie za brud łajał. A potem, niewiadomo kiedy co... może dziś, może jutro... W piekarni mówili... kto wie...

Coś chciał wypowiedzieć, ale nie śmiał. Przy piecu stanął i czerwonemi oczami na Adama patrzał.

— Pan z tą ścierwoską Wiśką chodzi... to może pan co słyszał...

— O czem?

— Niby... względem przyjazdu.

— A... nie, nie słyszałem.

Rydzik teraz oczyma w bok umykał, jakby zawstydzony.

— Bo... tak... mówili... że z Wiednia.

— Nic nie wiem. Ale jak pan chce, to się dowiem.

— No... to właśnie. Niechby się pan dowiedział, ale niby dla siebie.

Bał się widocznie drwin piekarnianych i jak mógł wieści o „nieobecnej" chwytał.

— Bo to, proszę pana...—podjął znowu—z taką jak o n a, to nic wiedzieć nie można. Tak jak odleciała, tak może przylecieć. Z nią było tak zawsze. Dziś to było dobre a jutro na śmiecie, a potem znów do śmierci... i to co rzuciła gwałtu wyciągaj!... Ona może zlecić tutaj, że ani patrzeć! Niechno tylko! to! wtedy no...

Ręką w stronę kuchni pogroził.

— Marna ich godzina.— Wszystko powiem, jako mnie poniewierali a ją kradli! Wszystko!... A ona mnie a nie im uwierzy...

Obejrzał się dokoła.

— Widzi pan — ona jest taka, że pluchów nie lubi, więc trza jakiś ład zrobić. A że mi nikt nie dopomoże — więc ja sam, jak mogę. Bo jakże skoro przyjedzie i tu przyjdzie?— Co?

Adam doznał jakiegoś uczucia litosnego żalu, to krzątanie się tego wielkiego biedaka, opuszczonego, noszącego śmierć w sobie, aby ta, która mu rzeczywiście życie zdruzgotała, nie

znalazła śmierci za progiem grobu, w którym żył — było rzeczywiście rozczulające.

— Ja sam dopilnuję, że zrobią tu porządek.

— Aby tylko firanki założyć i pajęczyny obmieść — mój panie...

— Dobrze, dobrze.

Milczeli długą chwilę, wreszcie znów się odezwał Rydzik.

— Pan doktor wie? ja pana doktora lubię.

— Cieszy mnie to.

— No pewnie. Bo ja mało kogo lubię. Cóż ludzie. Psy więcej warte. — To jedno na drugie ujada. Nic więcej.— A pan się człowiekowi pod serce zaszyje...

— Czem?

— Nie wiem. O taki pana głos dobry i oczy. I tak pan koło mnie chodził nie jak doktor, ale jak poczciwa baba. Ja na pana leciał z początku jak odyniec z kłami. A pan mnie wziął dobrocią... I ja teraz za panem w ogień.

— Szczerze temu jestem rad.

— Tak ja panu chciałbym jedno powiedzieć — urwał, zakłopotany i zaczął przestępować z nogi na nogę.—Chciałbym pana ostrzedz...

— No... no...

Oczy Rydzika pobiegły w kierunku portretu baronowej.

— Tylko, że nie śmiem... bo cóż ja...

— Skoro mi pan dobrze życzy.

— Ale jak!... tak jak sobie. A no... to... Ale nie będzie się pan ciskał?

— Nie.

— Słowo? takie pańskie słowo?

— Słowo!

— No to — niech pan się trzyma zdaleka od tej... no... od tej drugiej.

— Nie rozumiem?

— No — od Wiśki.

— Kiedy ja nie jestem jej blizki.

— Aha! Ja tu kiedyś widziałem jak ona w parku przed panem wyrabiała. Leżała na ziemi i liściami na siebie rzucała. Panie doktorze — to wiedźma. One tak obie wyrabiają! Ta młoda się tak od matki nauczyła... Tamta także tak przedemną nieraz na ziemię się tak przewróciła i tak się po trawie czochrała... A u mnie krew nie woda... Tak ja — aż no... I panu doktorowi musiało być tak samo gorąco!

Adam uśmiechnął się mimowoli.

— Nie — panie Rydzik.

— A bo to prawda! Przecie pan mężczyzna.

— Cóż z tego?

— No — każden chłop jest jednakowy.

— Nie, panie Rydzik. Nie każdy. Są tacy, którzy inaczej patrzą na kobiety.

— Choć się tak po ziemi wywraca?

— Choć się tak wywraca.

Rydzik pomyślał chwilę — wreszcie pokręcił głową.

— Chyba jakie niedojdy! — mruknął.

Adam nic nie odpowiedział, tylko starał się w głębi siebie zbadać czy rzeczywiście tam w parku, wobec Wiśki, nie czuł jakiegoś niepokoju tej natury o jaką Rydzik go posądzał.

Lecz — tak nie było. Adam zbyt dużo nędzy kobiecej, nędzy fizycznej i moralnej w czasie swego krótkiego życia duchem i wzrokiem objął — ażeby w kobiecie nie widział natychmiast całej jej istoty. Tryumfującą Wenus zakrywał przed nim obraz strasznego cierpienia przez jakie wlec się musiała istota, dla której miłość była treścią życia.

Przez chłostę bólu, łez, wzgardy, walk tragicznych często przewyższających ludzkie siły wyławiała kobieta z odmętu fal życiowych tę treść ubogą w uśmiech a przebogatą w łzy...

Nie — to nie Afrodyte, pełna czaru rozpienionego upojenia leżała przed nim wśród złota liści, nie tryumfatorka chwilowa nad szałowym głodem mężczyzny lecz wieczyście zraniona męczennica własnego serca, które krwawym rubinem w swej białej piersi nosiła...

Czy jej winą było, iż alabastrowa urna jej ciała wzniecała przedewszystkiem w mężczyźnie myśl sprofanowania tej urny — chęcią zaspokojenia płynących po nerwach dreszczów?

Czyż była to jej wina?

Adam patrzy na Rydzika i myśli, że tego co mu przez umysł tak jasno się przesuwa nawet probować tłumaczyć nie należy. Rydzik tego nie pojmie. Rydzik widzi leżące na trawie tylko foremne, ciepłe ciało — a nie serce rubinowe, które zatonąć ma w powodzi łez.

A Rydzik mówi dalej:

— Pan wie, panie doktorze... ta młoda, to jeszcze będzie gorsza niż matka. Od dziecka takie to było, że tylko oczy się za niem ciągnęło. Po parku sobie tak chodziła jak rajski jaki ptak. Dobre to niby, przyleciało czasem do mnie — pogłaszcze — poprosi, ale zawsze niby na swoją korzyść, jak jej czego było potrza. Tak samo i matka.

Później — bij zabij! Pluje — odwraca się, bo już ma dosyć swojej korzyści. Tak może być i z panem. Niech pan o słowach Rydzika pomyśli! Aby pana nie pociągnęła — pan za nią już... tego... Jak do miodu! — Ja też do ramtej jak do miodu!... A to wiedźmie lepiej za pazuchę. Bo to potem od innych aż odzuca. — I co? i co?... jakby kto pazurami człowieka szarpał.

Adam powstał z kuferka, na którym siedział.

— Niech się pan o mnie nie boi, panie Rydzik. Nic podobnego ze mną się nie stanie.

— To też to... to byłaby pana okropna szkoda. Dla niej to ten łysielec co u niej teraz siedzi... o! w sam raz. Oboje siebie warci. To

ścierwo, panie doktorze! Dla niego co z brzegu to nieprzyjaciel. Ile on już kobiet w sąsiedztwie unieszczęśliwił!... Z jakie dziesięć! Panny, mężatki. One wszystkie za nim. A za czem? Niech pan sam powie! Taki morowiec, zgniłek, łysy, paskudny! Żeby go ostatnia cholera zatłukła!...

Aż posiniał cały z gniewu. Straszna nienawiść miotała nim do tego człowieka, który zawsze mimo wszystko zachowywał łaski baronowej.

— On ją wyrychtuje!... — dodał z jakąś radosną ironią — ale niech tam! Swój swego znajdzie...

Adamowi zrobiło się duszno.

— Idę już — późno...— wyrzekł, biorąc za klamkę.

Rydzik wyszedł za nim do sieni.

— Ja mam prośbę do pana doktora — wyszeptał przyciszonym głosem.

— Dobrze — mówcie. Tylko nie o pierogi z kapustą, bo na to nie pozwolę!

— Nie, nie. To całkiem co innego.

— Co?

— Oto... pan zna babcię?...

— Babcię?

— No tak. Tę starą kuckę Wiśki.

— Ach tak... kuckę. Więc o co chodzi!

— Otóż, ona jest bardzo stara i już zupełnie do niczego. Tarajewicz psia morda uradził, że szkoda babcię żywić, że to niby już

zdechlak i mają ją jutro wyprowadzić o świcie przed las i zabić... Tak tedy — niby, że to od Wiśki zależy — więc może pan doktor się wstawi, aby babci nie zabijali, ale mi ją...

— Dali?

— Nie. Sprzedali!

W ciemnej sionce panowało chwilę milczenie, wreszcie znów dał się słyszeć głos Rydzika stonowany, złagodzony chorobą i sentymentem, którego widocznie się wstydził.

— Mam parę rubli niby schowane — ale chciałbym bydlę od złej śmierci ratować. Ja się do niej przyzwyczaił — bo to ona ze mną pamięta lepsze chwile... Pan doktor się śmieje? — Nie — to tem lepiej. Po co ma ginąć od kuli? Ha?... Tak ją dawniej cackali, cukier z łapy jeść dawali... Wiśka na niej po parku eździła, ja za uzdę trzymał. Nic tylko kuckaj i Rydzik! Rydzik i kucka...

A dziś — pomsta na nich — dlatego, że stara to psia maść zamiast dać łaskawy chleb kulę w łeb... Oni mi jej nie sprzedadzą. Jeszcze się naśmieją a ja zaraz ich w zęby i ot awantura gotowa. Więc może pan doktor chytro — mudro niby dla siebie... a potem niby pan doktor mnie darował. Co? jak?...

— Chętnie.

Adam prawie rozrzewnił się tą propozycyą Rydzika. Jedna nędza ocalała drugą przed śmiercią. Przypomniał sobie jak pierwszego

wieczoru, gdy przyjechał z profesorem ujrzał Rydzika tulącego głowę do łba kucki.

To było teraz wszystko tego człowieka, to pół ślepe, łyse, biedne zwierzę.

— Chętnie... — powtórzył — ale, gdzie Rydzik będzie kuckę trzymał i czem żywił?

— Ja już to wszystko sobie obmyślił. Może pan doktor się boi, że ja mu nie wrócę? — Ja dam naprzód... tylko dużo nie mogę, bo nie mam. Może sprzedadzą za trzy, cztery papierki. Co?...

— Już o to niech się Rydzik nie troszczy. To mniejsza. Ja to już panu urządzę. Dobranoc panu.

— Dobranoc! A przepraszam, że się tak ośmieliłem, ale ja się tam do tej ścierwoskiej Wiśki nie odezwę. Pan tam z nią lepiej — to tego...

— Dobrze!... dobranoc...

Wyszedł przed oficynę i doznał wrażenia, że gwiazdy są tak nizko, iż opierają się o dachy stajen i przybudówek. — Przytłaczały go. Coś go wewnątrz aż ssało niezrozumiałym dla niego bólem serca. Oczami pogonił ku dworowi.

Łagodna smuga światła płynęła z okien baronównej.

— Swój swego znajdzie... tętniło mu w uszach.

Z poza krzaków bzu bezlistnych, jak rózgi, wyszedł Tarajewicz. Za nim śpieszyła

się cała sfora jamników, które niedawno sobie na lisy sprowadził.

— Dobry wieczór panu doktorowi!

— Dobry wieczór. Ja mam właśnie interes do pana.

— Proszę, proszę...

— Pan jutro ma strzelić w łeb tej starej kucce, co?...

— No... niby. Po co takie paskudztwo trzymać. Dosyć się nasłużyła. Panna baronówna sama kazała.

— Ach!... więc to panna baronówna?

— Naturalnie, bo to niby jej własność.

— Chodzi mi o to, aby pan tę egzekucyę wstrzymał.

— ?...

— Tak. Proszę nie zabijać Babci do jutra, do południa.

Tarajewicz się roześmiał.

— Po co ona panu doktorowi?

— Potrzebna mi... chcę na niej wyprobować pewne lekarstwo...

Tarajewicz dowcipnie oko przymrużył.

— Niby, że jeśli konia nie zabije, to już można go dać człowiekowi?

— Niby!...

— A no, to niech tam będzie. Daruję jej ten dzień. Ona i tak już jest wywiedziona na łączkę koło Bodni... Tam ją zostawili... Dobranoc panu!

— Dobranoc.

Rozeszli się.

Adam natknął się na wózek Toczyskiego oczekujący przed gankiem. Nagle nie stało mu oddechu. Nie chciał za żadną cenę spotkać się z tym człowiekiem i z Wiśką. Przeogromny żal jakiś w nim rósł i potężniał. Szybko i cicho się przekradł do swego pokoju — pozamykał okna — zapuścił story i, odsunąwszy tacę z kolacyą, rzucił się ubrany na łóżko.

W głowie mu huczało od cisnących się myśli. Ośrodkiem ich była bezwarunkowo Wiśka. Przedewszystkiem zjawiła mu się jako okrutna istota, nieposiadająca w sobie ani źdźbła tego co ludzie zwą religią pamiątek, — Dalej zabijała dla dreszczu rozkoszy. To było widoczne.

I co najstraszniejsze, dla tego dreszczu zabijała nietylko inne stworzenia, ale i siebie samą, czystość i godność swą dziewczęcią, oddając się z taką łatwością w ręce rozpustnika dyszącego chęcią osiągnięcia jak najwyższej sumy sensacyi niższego gatunku.

— Swój swego znajdzie...

Nie sądził jej Adam — nie potępiał. Był zawsze konsekwentny w swem postępowaniu i miał jedną wytyczną linię. — Z bagna powstała. Nie zrozumiała wzniesienia się po nad pewne zakreślone już koło. Ale żal, żal straszny przepajał mu duszę.

Czasem, w prosektoryum napotkał nagie ciało dziewczęce, delikatne — ledwo rozwinięte —

rozciągnięte na zimnej place blachy. — Ciało to za chwilę miało stać się kawałkami ścierwa, zwanymi „preparatami"...

Rozwleczone Bóg wie gdzie... kości rozpiłowane — reszta wrzucona do wanienki...

I żal ściskał nim — żal.

Takie śliczne jeszcze w linii, w kolorze, w tej trupiej bezsilności pełne czarującego bezwładu.

Mniej więcej teraz czuł to samo myśląc o Wiśce.

To samo i może coś więcej jeszcze.

. . . .

Szmer kroków, głosów — wreszcie turkot wieka.

Toczyski odjechał.

Odjechał sam bo Wiśka drzwi od ganku zamyka. Nie wchodzi jednak do domu. Stoi pomiędzy słupkami, ogląda się — na coś jakby czeka. Dokoła dworu — cisza i pustka.

Ławeczka stoi osamotniona. Z okna Adama płynie światło przyćmione storą. Adam leży na łóżku nieruchomy. On wie, że tam na ganku Wiśka się za nim ogląda. Czuje to. Już się przez te kilka dni wysubtelnił w zrozumieniu drobiazgów miłosnych.

Wiśka cicho schodzi ze stopnia i obchodzi klomb — on ją widzi osłoniętą długim, szarym płaszczem — z pod którego suną się za nią białe fałdy jej sukni. I drobne stopy w czerwonych pantofelkach toną w piasczystym gruncie.

Te drobne, małe stopy...

Teraz stoi na środku drogi i patrzy wprost w jego okna.

Wieńce gwiazd ma nad głową, nad czarnymi pasmami włosów gwiazd tak blizkich, że zdają się być iskrami, które jej płomienny fluid dokoła niej zapala.

Patrzy w jego okna jakby go ku sobie wyczarować chciała...

Lecz on ku niej nie wyjdzie, bo w sercu jego rośnie żal... żal...

I jakiś wstyd, wstyd, który ona mieć powinna cienką zasłoną dokoła swej dziewiczej postaci, a którego w niej niema.

On za to go ma w sobie — za nią, za tamtego człowieka.

Więc — wstyd i żal...

— C h y b a, ż e t o s ą n i e d o j d y... zadźwięczał nad nim głos Rydzika.

Może.

Lecz on inny w tej chwili być nie może, nie potrafi. Co więcej on chętnie rozpłakałby się i łkał i szlochał jak wtedy, gdy był dzieckiem.

. . . .

Teraz coś bardzo blisko pod jego okna podchodzi, snuje się delikatnie koło szyb zasłoniętych. Bardzo blisko jego okien...

I nagle — Adam słyszy kroki szybkie po stopniach, zatrzaśnięcie drzwi wchodowych,

i szmer sukien, oddalający się szybko w głąb domu.

Panna baronówna weszła do swych apartamentów.

— Teraz będzie czytać... — myśli Adam. — Lecz co?... co?... Czem on ją przepaja podczas swej nieobecności? czem?...

IV

A kto nie zrodzony na bezkresnej równi, ten nie może wyczuć przejmującej melancholii jesiennego ranka.

Nie może wyczuć i nie może się z nią spłynąć w jedność i stać się nią samą.

Bo, gdy tak świt szary dźwignie się kopułą nad płaszczyzną ziemi, gdy w lirę wygięte sosny czernieć powoli zaczną w jakiejś mleczne parze, która ni to z ziemi wypływa, ni to w ziemię wsiąka, gdy drogą piasczystą sunąć zaczną w bure świty odziane ludzkie postacie ciche, milczące, wiecznie czekające na coś, co im ten świt ma przynieść — powstaje w sercu taki ogrom tęsknoty, beznadziejnej, zrezygnowanej, że chwilami serce ludzkie zmieścić jej nie jest w stanie.

I zda się wtenczas, że to serce rozpęknie jak dzwon rdzą zjedzony, który głosić ma radosne i zbyt tryumfujące Alleluja.

Rozpęknie jak puch mleczny na łące, gdy wicher czając się wśród traw szarpnie jego łodygą i śniegiem po ściernisku rozwieje. Roz-

pęknie — jak kropla deszczu zawisła na gałęzi drzewa cmentarnego, gdy w niej tęczowy blask słońca zagra mocną harmonią barw, które aż bolą — bo mają w sobie ostrą jasność niestopioną mgłą łez.

Rozpęknie takie serce i potem wlecze się wśród hymnów światowych złotawe — porysowane niby urna, z której popioły się sypią.

Ach! te smutne jesienne ranki.

Adam szybko porwał się z posłania. Przespał noc całą odziany. Świeca zagasła na stoliku około łóżka. Przepojony był cały goryczą i smutkiem. Przypomniał sobie, że Rydzik czeka na rezultat pertraktacyi o Babcię. Jakieś niezadowolenie ogarnęło go. Nierad był temu, iż będzie musiał wdać się w tą sprawę. Nie chciał widzieć Wiśki. Pragnął odwlec każde z nią spotkanie. — Wczorajszy wieczór zaznaczył się rysą w jego stosunku do niej. Czuł, że zobaczenie się z nią rysę tę tylko pogłębi.

Umył się, przebrał i podniósł story.

Pierwszą istotą na jaką padł jego wzrok była Wiśka.

Stała przed dworem i opierając nogę na ławce, wiązała sobie sznurowadła od bucika. Odziana była w ciemno-bury kostyum na wpół myśliwski — o krótkiej spódniczce i żakiecie ubranym skórzanemi wypustkami. Na głowie miała rodzaj beretu z szarego sukna. — Blada była i ta bladość uderzyła przedewszystkiem Adama.

— Jak alabaster... aż przejrzysta — rzecby można bezsenna noc dotknęła ją swem skrzydłem.

I zaraz dodał.

— Muszę z nią pomówić, a co gorsza muszę przed nią skoncentrowaną w rozkoszy niszczenia roztoczyć obraz drobnej, smutnej walki nędzy, bijącej się o utrzymanie drugiej nędzy. Czy ona pojmie, czy ona zrozumie to, co popycha Rydzika do jego prośby? Czy odczuje całą piękność takiego sentymentu tulącego się u krawędzi grobu do przejawów życia? Czy ona to zrozumie?

Wyszedł przed ganek i ku Wiśce podszedł.

— Dzień dobry panu!

Starał się mówić o ile możności pewnym głosem.

— Dzień dobry!...

Nie patrzyła na niego. Uciekała precz z oczami w stronę ścieżki. W jednej chwili Adam uczuł, iż jest mu dziś nieprzyjazna i daleka.

— Ja do pani z prośbą...

— Proszę... ale ja idę w stronę Bodni. Może mi pan będzie towarzyszył. Mam tam coś do załatwienia.

— W stronę Bodni? — dobrze — mój interes odnosi się właśnie do tego miejsca.

Szli już ścieżką. Chłód wiał jakiś. Wiśka miała na szyi sobola, który mięko otulał jej

owal twarzy i zabawną mordeczką pod brodą się kończył.

Słucham pana...

On znów myślał, że nie podała mu ręki, że zdawała się być mu zupełnie obca, bez żadnej z nim łączności...

— Chciałbym coś od pani kupić.

— Co?...

Nic nie zdoła opisać wzgardliwej ciekawości z jaką Wiśka to słowo wyrzekła. Jakże w tej chwili daleką była od dostojności kasztelanki, idącej wolno w stronę lasu dzid złotych — lub bieli niepokalanej łagodnych, czystych dziewcząt włoskiego mistrza.

— Nie będzie to ani kilkaset morgów lasu ani nawet jedna sosna — podjął Adam — nie będzie to nawet życie ludzkie. Ja od pani chcę kupić życie — zwierzęcia.

— Nie rozumiem pana. Czy nie chce pan, ażebyśmy jedli dziś kapłona? O to panu chodzi?

— Nie... chodzi mi o to, aby odkupić u pani przeznaczoną na zastrzelenie kuckę...

— Babcię?

— Tak.

Oczy Wiśki oderwały się od przestworza. Ukosem spojrzała na Adama.

— To... próchno! Trzeba, żeby znikło.

— Niech zniknie samo!

— Wcale nie. Co nie przynosi ani estetycznego ani realnego pożytku, niech ginie!

— Swoją śmiercią!

Wybuchnęła złym, niemiłym śmiechem.

— Każda śmierć jest swoja! — odparła.

Szli chwilę długą w milczeniu. — Adam drżał cały ze wzruszenia. Nie chciał się z tem wydać, aby nie podać się na szyderstwo tej dziewczyny. Z pod nóg wyrwało się im stado kuropatw. Szparko, sznureczkiem przebiegły drogę i zginęły na łące, która wiała srebrem jakichś delikatnych, spóźnionych traw. W oddali błyskała purpura ognia, przy którym ciemniały sylwetki pastuchów. Po obu stronach drogi sterczały sosny prosto wyrosłe z fali żółtego piasku. Gdzie niegdzie zupełnie niespodzianie ciągnęła się linia brunatnych wrzosów. Ptaki bardzo cicho, i nieśmiało odzywały się w gałęziach.

Zdaleka ktoś drzewo rąbał, słychać było łomot siekiery.

Nagle odezwał się głos Wiśki.

— Jakie pan ma przewrotne pojęcie o potrzebie życiowej egzystencyi.

— Przewrotne?

— Tak. Bo panu się zdaje, że każde życie jest nie tylko miłem lecz koniecznem...

— Inaczej nie byłoby wciągnięte w rejestr istnień.

— Pan jest śmieszny. Każda żyjąca istota jest dziełem przypadku. Niczem więcej. Skoro taki przypadek przybiera rozmiary tragicznej katastrofy najlepiej go unicestwić.,. Zdaje

się, że tylko tak postępując przynosi się ulgę tym, którzy nie żyją ale... wegetują.

Adam zaczął bronić się gorąco.

— Gdyby sama natura nie postanowiła kresu, to jest śmierci, słowa pani miałyby coś w sobie prawdy. Ale tak jak jest — należy pozostawić wszystko naturalnemu biegowi.

— Ja nie rozumiem, że p a n właśnie to mówi.

— Dlaczego ja?

— Bo dotknąwszy się tak blisko rozkoszy życiowych pan powinieneś wiedzieć, że największem szczęściem jest z g i n ą ć.

— Tak. Ale ja właśnie poznałem jak szalone, jak straszne jest przywiązanie istot żyjących do życia — jaki instynkt samozachowawczy budzi się w chwili śmierci — i dlatego mówię pani — to co pani chce zrobić jest prostem morderstwem.

Zatrzymała się chwilę i spojrzała mu po raz pierwszy tego dnia w oczy.

— Skąd pan wie, że ja to chcę uczynić.

— Bo dyszy pani cała pragnieniem zniszczenia. Wieje od pani mordem — słyszy pani?

Stali tak naprzeciw siebie. Ona mimowoli wsunęła rękę w kieszeń żakietu.

— Nie chcę mordować — krzyknęła — chcę o s w o b o d z i ć!

— Raz jeszcze powtarzam, że niema pani prawa.

— Mam prawo zniszczyć to, czego nienawidzę.

— To biedne zwierzę?

— Nie... z n i s z c z y ć ż y c i e! Ja nienawidzę życia, ja chciałabym zniszczyć wszystko, wszystko co żyje — siebie, pana — te drzewa, ptaki, tych tam ludzi... wszystko, wszystko...

Wpadła, jakby w szał. W ręku jej mignął rewolwer. Strzeliła w powietrze, dokoła siebie raz i drugi. Mignęła w błękicie ognia — strzeliła do drzew, w kierunku ogniska...

— Zabić!... oswobodzić... oswobodzić!...

I nagle biedz zaczęła. Za nią podążał oszołomiony Adam.

Wpadli do lasu i przez króciuchną chwilę przedzierali się przez gąszcz.

. . . .

I nagle wydostali się na spasioną zupełnie łąkę — ogromną — zlewającą się szarą linią z bezkresem horyzontu.

Rzadkie bodiaki i jakieś zczerniałe gałęzie włóczyły się gdzieniegdzie. Wydeptana i wyżarta trawa do ziemi przyległa. I pustka była straszna, pustka ogromna — cały cmentarz minionych chwil i czaru słonecznego, który nigdy nie wróci.— Zdawać się mogło, że na ten szmat ziemi nie padnie już nigdy snop jasnych promieni, że nie zaszumi na nim łan trawy i brązowe chrząszcze nie zawiodą w niej swej monotonnej czarującej piosenki. Wszystko tu zda się zamarło w jakiejś smudze łez, które wylały oczy szare duchów

wybladłych, duchów melancholijnych, wlokących się korowodem wygnańców po resztkach wydeptanej mogilnej trawy.

Adamowi, gdy wydostał się na polankę, kirem powiało od tej łąki tragicznej, po której nawet wicher nie ciągnął, taką miała w sobie martwotę przeklętych, zapadłych miejsc. I gdy objął ją wzrokiem, dojrzał na tej pustce jedyną istotę żyjącą — sylwetkę wychudłą konia ze spętanemi przedniemi nogami, z opadłą w kudłach i jakby przez mole zeżartą grzywą.

Ile tragizmu miał w sobie ten stary szkielet wygnany tu na chłód i osamotnienie, ten drobny, nędzny szkielet — nieruchomy i zrezygnowany — opisać niepodobna.

I nagle rozległ się strzał.

To Wiśka strzeliła do szkieletu konia, do tego widma zziębniętego, na wpół ślepego, wykwitłego na pustce łąki jak siwa mara na zapomnianem samobójców cmentarzu.

Porwała się z krzykiem gromada czarnych wron i z krakaniem zaczęła krążyć po nad ugorem, po nad kucką, która padła ogłuszona na przednie spętane nogi i w tej pozycyi błagalnej, pozycyi człowieka, którego ściąć mają, pozostała długą chwilę.

Adam do Wiśki dopadł i w chwili, gdy zmierzała się, aby ostatnim nabojem zastrzelić konia — podbił jej dość brutalnie rękę. Kula poszła w górę, ku szaremu nieprzezroczystemu

niebu, a stado wron z krakaniem coraz szybciej krążyło, żałobne i na ścierwo chciwe.

Przy drugim strzale kucka dźwignęła się na nogi — obejrzała się, jakby szukając ratunku i widząc się samą — wydaną na łup śmierci, znieruchomiała znowu na tle szarego horyzontu.

Tylko kudły jej grzywy zakryły zupełnie jej bielmem zaciągnięte ślepia, a nogi skurczyły się biednemi pokręconemi liniami.

Czekała śmierci.

Wiśka opuściła rękę. Nie miała więcej naboi. Czuła się już bezsilną. I nagle zwróciła się z nieopisanym wyrazem twarzy ku Adamowi.

— Dlaczegoż mi pan przeszkodził? dlaczego p a n c i ą g l e s t a j e p o m i ę d z y m n ą i ś m i e r c i ą? Dlaczego?...

Jasno i otwarcie zwróciła się ku niemu, przypominając mu owo zajście na ulicy, swój zamach samobójczy...

— Los mnie stawia pomiędzy panią i zniszczeniem! — odparł blady jak trup Adam.

— Nie los... pański fałszywy sentyment! Ale dosyć tego!... rozumie pan! Mam prawo śmierci i chcę je wykonać. Na drugich... na sobie!... Muszę... muszę...

Chciał jej przypomnieć jak niedawno wołała „głupcy chcą umrzeć“ — ale widział ją oszalałą, podrażnioną. Pragnął za wszystką cenę, aby się uspokoiła.

— Dlaczego pan chcesz, aby się... wypełniło? Dlaczego ja, inni mamy się męczyć skoro i tak kres nasz — śmierć? To nie ja okrutna, to pan, który wymyślasz podtrzymujące siły leki. Pan i jeszcze podobni! Wyście mordercy — wy — skazujecie ludzkość na galary... wy żyjące istoty przykuwacie do taczki życia. W ciało leją leki — a w duszę czcze słowa!... Ach! szarlatany, katy, mordercy!...

Padła na trawę i w jej źdźbła zmrożone i siwe twarz ukryła. Adamowi wydała się teraz nędzna, biedna, mała — potęgą pastwiącego się nad nią losu zmożona. I w jednej chwili, gdy przy niej klękał pomyślał, iż tu uklęknąć powinna tylko matka dobra i kochająca — łagodna i pełna wyższości życiowej, któraby tę chorą duszę naprostować i w jaśniejsze kręgi wprowadzić mogła.

On był bezsilny.

Nie miał żadnej biegłości w przemawianiu do zrozpaczonych. Jakkolwiek nieraz pochylał się w szpitalu nad łożami samobójców, to przecież czuł, iż to co on im mówił, dla Wiśki jest szablonem i rzeczą powierzchowną.

Tam przyczyną samomordu była najczęściej nędza materyalna, lub tak zwane zawody miłosne.

Tu aż kłębiło się od nienawiści życia samego a nienawiść ta poczęła się od chwili zrozumienia rozpaczliwych warunków egzystencyi.

I rosła, potężniała aż teraz już zapragnęła przechodzić w czyn, tak wielka była jej moc.

Wiśka podniosła głowę i mętnemi oczyma patrzyła teraz na nieruchomą jakby skamieniałą kuckę.

— No i żyje... żyje... — wyrzekła i co z tego? co ona przynosi w tej chwili komu, i co ona ma z tego za rozkosz, że jeszcze istnieje? Co z tego?...

Adam w tej chwili dostrzegł punkt wyjścia.

— Widzi pani jak cudowny jest ten porządek wszechrzeczy — podjął siadając obok Wiśki — i ten biedny szkielet, to także ma jeszcze zadanie do spełnienia. Ono może być jeszcze dla kogoś promieniem, jeszcze może dać nędzniejszej od siebie egzystencyi troszkę ciepła...

— ?...

— Pani się dziwi, a przecież tak jest.— Ta kucka stara, odarta z sierści, z pokoszlawionemi nogami jest przecież przez kogoś kochana. Ktoś się do niej tuli, spowiada się przed nią— czeka na nią... dba o nią.

— Kto?

— Ktoś, koło którego pani przechodzi bardzo dumnie, bardzo wyniośle... a który mimo pozorów ma bardzo ładne na dnie duszy sentymenta.

— Nierozumiem.

— Rydzik.

Ręka Wiśki jakby mimowolnie szukać zaczęła rewolweru — nagle cofnęła się.

— O ten... ten niech żyje i to jak najdłużej.

— Dlaczego on jeden?

Kły białe błysnęły w ustach Wiśki.

— Bo jego życie jest straszną męczarnią. Ja wiem! On ma raka w żołądku. On się męczy. A więc — gdyby umarł, byłoby to dla niego oswobodzeniem. A ja chcę, żeby on się męczył jak najdłużej!...

Porwała się z miejsca.

— I niech pan mnie nie pyta za co, bo pan, jeśli ma choć trochę zmysłu obserwacyjnego, powinien zrozumieć jaką to zbrodnię ten cham popełnił...

Adam powstał także.

— On?... a czy również nie spełniono i względem niego zbrodni? Czy i jego życie nie jest zniszczone?...

— Co mnie jego życie obchodzi!... ja wiem jedno, że przez niego ja stałam się Paryasem, mnie wyodrębniono... ja jestem wywleczona na taką pustkę życiową jak ten koń przeznaczony na zagładę!... Tylko, że ja mam ciało młode, więc jeszcze zlecić się może o nie stado kruków i krakać... krakać nademną, bić na mnie, roznosić moją młodość strzępami: raczyć się nią — a potem zostawić ścierwo na ugorze!...

Urwała — na czoło jej wystąpiły krople potu.

— I oto dlaczego taka kucka, dlaczego taka Wiśka zginąć powinny. — Strasznie jest za życia być rozerwaną na strzępy...

Zawróciła i zaczęła iść w stronę domu. Lecz siły ją opuszczały. Oparła się o pień drzewa. Była zmieniona dziwnie, oczy jej wpadały jakby w jamy i okrążyły się siną obwódką.

Adam zbliżał się i objął ją delikatnie, przychylnie.

— Niech pani się na mnie oprze. Ja panią przeprowadzę.

Poszła w milczeniu. Opierała się na nim dość silnie i nawet głowę mu skłoniła na ramię. Wstążka zdobiąca jej baret dotykała jego twarzy. Czuł nadzwyczaj subtelną woń jej włosów pomieszaną z lekkim zapachem lawendy. Szli powoli wśród drzew i krzaków. Gałęzie łamały się z suchym trzaskiem pod ich stopami. Gdy wstrząsali przechodząc drzewami sypał się na nich grad liści. Ten mały skraj lasu wydawał się nieprzebytą puszczą. Wreszcie zajaśniało szare pole i drożyna przez którą przed chwilą przebiegły kuropatwy.

W oddali już płonęły dwa ogniska. Nieruchome czarne sylwetki pastuchów odcinały się dziko na czerwonawem tle. — Na szarem niebie coś jakby żółtego przezierało — blada tarcza słoneczna bardzo nieśmiała i bardzo daleka.

Doszli do pałacu — ciągle ona wsparta na jego ramieniu. — Na skręcie spotkali Tarajewicza.

Stanął żdziwiony, Adam uczuł, iż coś powiedzieć musi.

— Panna baronówna słaba — proszę przysłać do pałacu dziewczynę...

— A...

— Tak. Co zaś do kucki, panna baronówna mi ją darowała. Prawda?

Wiśka nie odpowiedziała ani słowa. Skinęła tylko głową.

— Proszę ją z Bodni sprowadzić i puścić do parku. Ja się później nią zajmę.

— Według rozkazu pana doktora.

Adam z Wiśką skierowali się ku pałacowi, Tarajewicz patrzył za niemi długą chwilę dokąd nie znikli w drzwiach wchodowych.

— Zaczyna się!... — mruknął i warga mu dziwnie wydęła się fatalnym brzydkim uśmiechem.

— W każdym razie lepszy młody niż stary... — dodał wchodząc do kuchni.

I zaraz wołać zaczął:

— Haśka!... Haśka!...

Lecz Haśki nigdzie nie było.

Wpadła jak kamień w wodę a raczej „sielskie“ dziewczę w piwnicę, gdzie również wpadł Wasyl, ten od koni.

Tak mściła się Haśka za wzgardy doktorowe.

V

Delikatnie, jak niańka dziecko, tak wprowadził Adam — Wiśkę do jej sypialni. Nie mówiła nic, oddychała ciężko jakby zmęczona fizycznym wysiłkiem. Od ciała jej ku Adamowi, przez połączenie ramion, pływały dziwnie ciepłe prądy. Były to jakby lekkie przebiegi elektryczne, stałe i niepokojące.

— Co za dziwny organizm! — myślał mimowoli Adam — nie spotykałem jeszcze nic podobnego.

Wiśka upadła na łóżko, i wtedy dopiero Adam dostrzegł, że twarz jej prawie zsiniała. Przestała nagle oddychać i leżała tak nieruchoma na wpół przytomna.

Szybko Adam rozpiął jej żakiet i bluzkę u szyi. Była bez gorsetu. Bielizna z czarnego batystu kryła jej ciało jakimś wdzięcznym kirem. Przez delikatne, koronkowe wstawki przebijała skóra gładka jak płatki kamelii. Adam po raz pierwszy dotykał tak wytwornej piękności kobiecej odzianej z takim wykwintem. Chore szpitalne, i dziewczęta z plebanii nie przyzwyczaiły

go do takiego uroku. Po raz pierwszy w życiu czuł się dziwnie wzruszony i drżący wobec chorej kobiety. Dotychczas wypełniał swój obowiązek spokojnie, przejęty jedynie litością.

Tu — uczuł coś więcej niż litość.

Zmieszany, skropił twarz i skronie Wiśki wodą — a gdy uczuł, że oddycha i powoli przychodzi do siebie, okrył ją pledem, który znalazł porzucony na krawędzi szezlągu.

Wiśka otworzyła kilkakrotnie usta i wreszcie wyszeptała:

— Proszę nie odchodzić!

— Nie, nie — uspokajał ją — niech pani odpocznie.

Zamknęła oczy i znów leżała nieruchoma.

Wzrok jego padł na stolik przysunięty do łóżka, stała na nim mała lampka z zielonym abażurkiem — kilka drobiazgów i spora paczka książek.

— Będę wiedział! — pomyślał rad, że dowie się co w swej nieobecności Toczyski pozostawia Wiśce do czytania.

Baronówna zdawała się zasypiać. — Adam przez chwilę jeszcze podziwiał nadzwyczajną długość jej rzęsów, które cieniem spadły na jej policzki. Podziwiał również przecudny puch jej włosów, okalających przedziwną masą jej czoło i skronie.

Wreszcie — ręką ku książkom sięgnął.

. . . .

Kilka z nich wziął delikatnie i do okna na to samo miejsce, na którem stał w nocy przyzwany przez Wiśkę — powrócił.

Otworzył pierwszą stronicę.

I — drgnął.

Była to L o u v e t t e, słynny romans pornograficzny — w którym największy cud miłości, tryumf mądrości, układu życiowego i duchowa twórcza potęga życia — zostały sprowadzone przez autora do rozmiarów czysto-bezmyślnego szału — sportu — dzikiego, rozswywolonego wyuzdanym, przerażającym chichotem.

To samo — niosła i druga książka, te piosnki Bilitis — przybrane w czarującą harmonijną formę kryjącą wyuzdanie treści.

Była to pornografia — nie to co świętoszki chcą uważać za bezwstyd w dziele traktującem z jednakowym spokojem o w s z y s t k i c h przejawach życiowych — lecz to, co się oblicza na tysiące egzemplarzy, na takie właśnie przyćmione lampki i samotność ciał młodych rwących się do poznania tego, co staje się niejako punktem wytycznym wszelkiej żywej egzystencyi.

Po twarzy Adama przebiegły płomienie. W jakichże sidłach była ta dziewczyna — na jakąż rzucona pastwę! Czem przepajały się jej młode chwile, czem się rozwijała i dyszała cała!

Jak harfa na piekący wicher rzucona, tak ona drżała i wibrowała w tej atmosferze przesiąkłej rozpustą. — W dzieciństwie jej własna

matka była tym wichrem, szarpiącym młodziuchny kwiat jej zmysłów, teraz...

Nagle dał się słyszeć głos Wiśki.

— Niech pan te książki położy!...

Odwrócił się.

Baronówna siedziała na łóżku w czarnej gęstwie włosów i fałdach porzuconego szala.— Wyraz jakby przestrachu rozszerzał jej źrenice

— Niech pan to położy...

Porzucił trzymane książki na fotel.

— A pani je czyta?...

— Och ja!...

— Jakto? więc pani mnie, mężczyźnie, lekarzowi, każe to porzucić — a sama...

Zakryła twarz rękami.

— Ja jestem na to skazana! — wyrzekła cicho.

Rzucił się ku niej i sam nie wiedział jak ukląkł obok jej łóżka.

— Nie, nie... tak nie jest! Pani w siebie to wmawia — ja duszę swoją oddam, aby panią przekonać, że tak nie jest.

Ręce jej opadły i twarz jej wykwitła ku niemu cudownie piękna!

— Pan? dlaczego pan?...

Oprzytomniał.

Tak prawda. Dlaczego, on. Czem on był dla niej, czem ona była dla niego.

Lecz pierwej zanim mógł myśl swą sformułować uczuł, że Wiśka pochyliła się ku niemu i okryła go całą masą włosów. I wśród

tej pachnącej, jedwabistej gęstwy zbliżyły się ku niemu jej usta i leciuchno musnęły jego czoło.

— Dziękuję! — wyszeptał jej głos.

Włosy odrzucone znów obramowały jej twarz. Położyła się cicho i chwilę zdawało się, jakby czarowało ją nadzwyczajne jakieś wzruszenie. Ręce złożyła na piersiach w nieładzie sukien rozpiętych przez Adama.

Patrzyła jednak na niego ciągle. I ten wzrok powoli mętniał i z kryształowej czystości robił się jakby z wewnątrz coś złego napływało do źrenic. — Adam pod siłą tego wrażenia cofał się jakby w głąb siebie i ogarniało go jakieś zimno i przerażenie.

Wreszcie wzrok Wiśki zmętniał zupełnie i powieki jej opadły.

Zdawała się znów zasypiać czy popadać w pół omdlenie.

Adam powstał z klęczek i ciągle na czole czuł delikatne wargi a dokoła siebie gęstwę rozsypanych włosów. — Szept „dziękuję...“ zdawał się po tych włosach przebiegać jak po strunach. Lecz co dziwnego — oczy mętne Wiśki także były tam pod ciemną osłoną tego przepychu, te oczy mętne, niedobre oczy kobiet, w których budzi się chęć, pożądanie pieszczot nienasyconych...

— Takiemi źrenicami musi chłonąć w siebie piosenki Bilitis — myśli Adam — teraz oto wracają pochłonięte mary i drzemiące w jej

głębi. To one mącą dziewczęcą jasność jej cudownych oczów.

. . . .

Nagle — turkot.

Przyciszony — jakby jeszcze tylko ziemia drżała, lecz Adam słyszy go dokładnie.

To jedzie Toczyski.

W jednej chwili Adam, nie zdając sobie nawet sprawy z tego co robi — cicho wykrada się z pokoju Wiśki, z domu i biegnie drogą po za stajnie na spotkanie jadącego.

Zdaleka widać te widmowe konie szare, i wózek jasny i postać samego Toczyskiego siedzącego prosto na koźle z angielsko - prowincyonalnym sznitem.

Równa się z Adamem — chce przejechać mimo uchyliwszy kapelusza, lecz oto Adam wstrzymuje go stanowczym ruchem ręki.

— Przepraszam pana...

Toczyski ściąga lejce, zdziwiony patrzy na Adama.

Pan sobie życzy?...

— Panna Jadwiga chora — miała atak nerwowy, odpoczywa...

— A...

— Tak... I ja jako lekarz muszę czuwać nad jej spokojem. Proszę więc, zechce pan wizytę swoją odłożyć na później...

Toczyski świdrujące wejrzenie w Adama wbił.

— *Tiens!... tiens* — wyrzekł przez zęby. — Szybko jednak dodał:

— Jeżeli baronówna jest chora *raison de plus* ażebym ją odwiedził. Jestem jakby jej opiekunem.

— A ja będę niewzruszony i drzwi jej bronić będę.

Zmierzyli się obaj ciekawem spojrzeniem. Toczyski więcej się bawił tą sceną niż gniewał. Przeciwnie, Adam drżał cały.

— Czy pan znajduje — podjął znów Toczyski, — że obecność moja wpłynie tak szkodliwie na pana pacyentkę!

— Tak... jestem przekonany.

— Zachowam się bardzo spokojnie.

— Ja od swego nie odstąpię.

Toczyski uśmiechał się w zagadkowy sposób.

— Taki młody a taki stanowczy!

— Wypełniam obowiązek.

— Ejże!... czy tylko obowiązek?...

Jak uderzenie cienkiej szpicruty tak podziałały na Adama ostatnie słowa Toczyskiego.

— Nie rozumiem pana!... — odparł hardo.

— Ale ja siebie rozumiem i to mi wystarcza... *Mais brisons la*... jak długo potrwa owa... choroba panny Jadwigi?

— Nie wiem. To zależy od spokoju w jakim się ją pozostawi.

— Już ja jej tego spokoju nie mącę.

Adam nie mógł powściągnąć nieprzyjaznego spojrzenia, jakie mu z oczu umknęło.

— Panna Jadwiga za dużo czyta! — wyrzekł z naciskiem.

— Och to jest nieszkodliwe...

— Jak — co.

Toczyski bacznie się zaczął wpatrywać w Adama.

— Czy wypadkiem korzysta pan z biblioteki podręcznej Jadzi?

Nic nie zdoła opisać subtelnego, ironicznego tonu z jakim Toczyski zadał to pytanie. Było w niem: więc jesteście ze sobą tak blisko, iż łączą was wspólne dreszczyki miłosne przybiegające zewnątrz — posyłkami płomiennych wizyi?...

Adam przejrzał na wskroś myśli Toczyskiego. Jak poprzednio ocenił jego predyspozycye artretyczne, tak w tej chwili odczuł, że ten człowiek jest to zmysłowiec myślowy, znajdujący rozkosz w myślach deprawacyjnych, które przed nim się snuły. W jego ciekawości z jaką obrzucał teraz Adama, była właśnie ta niezdrowa myśl radosna o zbliżeniu się tych dwojga, tam pod jednym dachem.

— Kiedyż będę mógł widzieć pacyentkę pana? — zapytał wreszcie czując, że Adam pogrążony w myślach nie odpowie mu na poprzednie pytanie.

— Nie wiem... sama pana o tem zawiadomi! — Zamienili lekki ukłon. Toczyski zaczął

konie nawracać. Adam skierował się w stronę dworu.

— Choć parę dni... — myślał — choć parę dni niech go nie widzi to biedne, nieszczęśliwe dziecko!

Jakoś mu jaśniej, lżej się zrobiło na sercu. I słońce wybiegło z po za chmur i rozprzestrzeniło swe złote skrzydła nad drzewami parku. W oddali Haśka przypatrywała się rozmowie Adama z Toczyskim. Wyszła z piwnicy i była cała zamazana ziemią. — Krzakami przebierała się ku zabudowaniom kuchennym. Dojrzawszy Adama zaklęła, ale równocześnie zaczęła kręcić biodrami. — Adam przeszedł koło niej, nie zauważywszy nawet jej obecności.

Gdy wszedł do pokoju Wiśki — baronówna rzeczywiście spała. Otulił ją szalem i wysunął się, aby w galeryi, prowadzącej do jej apartamentów, czuwać nad jej spokojem. — Usiadł we framudze okna, w której masy much pomarłych lub dogorywających czerniło się gromadkami. Starał się śledzić ruchy tych, które dźwigały się pół senne i opadały na trupy swych siostrzyc, plącząc się w ich łapy i zmartwiałe skrzydła.

Było to jakby pobojowisko, ozłocone chłodnym promieniem słońca.

Śmierć tędy przeszła.

Adam zapadł w głęboką zadumę.

Czuwał więc znów, czuwał nad snem i spokojem tej dziwnej wykolejonej, która mu nagle na ścieżkę życia padła. — Nic dla niej nie

mógł prócz chwilowej ulgi nerwów, a przecież pragnąć zaczynał aby mógł wiele. — Jego śliczna kobieca natura, chętna do poświęceń, już się słała pod te kształtne stopy dziewczęce jakby z prośbą o przyjęcie. — I chwilami zdawało mu się, że Wiśka jest zatracona w jakimś olbrzymim splątanym konarami lesie i, że on ma za zadanie życia iść za nią szukać i krzepić jej zwątłałe od walki z Niemożliwem siły. — O wydostaniu jej z gąszczów, które dławiły po nad nią kryształ jasnych celów i myśli — nie marzył jeszcze, lecz już biegł za nią, śledząc jej walki i współczując z tragiczną grozą jej sytuacyi — społecznej i duchowej.

— Odarta ze wszystkiego, ze złudzeń — i to przez własną matkę... To najstraszniejsze. — Jednego pragnął dla niej.

— Niech walczy... — myślał — niech walczy choćby ceną największych cierpień — niema straszniejszej tragedyi jak walka z przeznaczeniem. — Lecz, stokroć tragiczniejsze zrezygnowanie z tej walki...

Nalecą demony.

I okolą ją swemi skrzydły.

Skrzydły mieniącemi się barwą płomieni.

Jak tryskające z ziemi źródło krwi świeżej.

Krwi młodej i zatrutej.

Zatrutej jak jadowite ziela, rosnące u brzegu cichych bagnisk na skrajach zrębów leśnych.

Leśnych zrębów — cmentarzysk, po których wicher śpiewa swe Requiem.

Requiem na wieczny zanik zdeptanych ziół i złamanych w zaraniu drzew.

Drzew, które nie walcząc padły.

Bo paść musiały.

I teraz trupami się ścielą.

A nad niemi szumią płomieniem skrzydła demonów i wicher jęczy Requiem. I ciche jak świece koło katafalku... rzędem wznoszą się jadowite ziela dokoła drzemiących i ukrytych pełnych zgnilizny wód.

. . . .

Tego nie chce Adam.

Nie chce, aby błądząca po gąszczu Wiśka padła zrezygnowana na skraju zatrutych wód i walczyć przestała.

Raczej niech sieje zagładę, zniszczenie — lecz niech nie powie — skończyło się!

Bo wtedy — nic jej nie ocali.

A tak — może... może...

. . . .

Rozbudziła się w niej namiętność. To jasne. Nawet tak niedoświadczony w praktykach miłosnych mężczyzna jak Adam wyczuwa to w każdem spojrzeniu, w każdym ruchu, czynie, słowie tej dziewczyny — a głównie w tej jakiejś nieuchwytnej poświacie miłosnej, która od niej pada tak jak od jej matki, choć martwo z portretu nad łożem męża spoglądającej.

Rozbudziła się w niej namiętność! Własna matka wychodząca rozpłomieniona z objęć

Rydzika — a potem spojrzenia ludzkie, ich niedomówione pragnienia i wreszcie ten Toczyski, pielęgnujący rozszalałe chęci dziewczęce...

Dla siebie przedewszystkiem.

A może i dla drugich.

Jak artysta pragnie urobić biel jej pożądań w płomienny klejnot królewski, mogący nieść pełną czarę upajających i niczem nienasyconych pieszczot.

Jak — artysta...

Lecz będąc sam jedynie umysłową namiętnością przepojony — może tak samo oddziałał i na nią. Może i ona tylko myślowo jeszcze wibruje i wtedy łatwo jest przygasić ten pożar — porwać na skrzydłach białych myśl w inną stronę i ocalić — wyprowadzić z puszczy.

Jeżeli jeszcze zmysły śpią...

. . . .

Tak!

Lecz ten pocałunek przed chwilą złożony na jego czole? Przecież nie pali, nie podnieca. Było to delikatne dotknięcie listków narcyza wonnych, dziecięcych i świeżych.

Lecz...

Owe zarzucenie gąszczu włosów, ten gest nagle rozzuchwalonej odaliski, która strząsa swój płaszcz czarny i wonny dokoła głowy mężczyzny aby oddzielić całą sobą jego zmysłową istotę od reszty wrażeń życiowych.

I potem te oczy, które zaraz po pocałunku pod tym kirowym upajającym namiotem mignęły

przed nim wywołującym dreszcz przestrachu wyrazem.

Te oczy... te włosy...

I te łagodne, dziecięce usta, całujące jego czoło...

. . . .

Adam jadł obiad sam.

Baronówna ciągle spała, jakby zmożona jakimś strasznym fizycznym wysiłkiem. Adam powrócił do swego pokoju i usiłował zająć się pracą. — Po południu przyszedł do niego Tarajewicz, zawiadamiając go, że kuckę przyprowadzono, i że jest do jego dyspozycyi.

— Tylko czego się ten Rydzik jej czepia. Przyszedł i sam ją poprowadził do parku. Teraz siedzi koło niej na ziemi i pilnuje... Niech pan doktor się go strzeże, bo on ma jakąś łatę nabitą gwoździami i źle mu z oczu patrzy.

— Dobrze, dobrze. Ja pójdę do niego.

— Żeby jakiego nieszczęścia nie było. On się czegoś kucki czepił i coś gada, że ona do niego należy...

— No — już ja to załatwię.

Po odejściu Tarajewicza, Adam wziął kapelusz i wyszedł do parku.

W głębi — koło brzóz siedział rzeczywiście Rydzik. W ręku trzymał dużą łatę drewnianą z ponabijanymi na ostre gwoździami. Sporządził sobie sam widocznie tę śmieszną dziecinną broń, przypominającą jakieś przedhistoryczne

czasy. — Odział się w krótki kożuch, który zarzucił włosem na wierzch. Wyglądał jak dziki człowiek, broniący swego dobytku.

Opodal — kucka rozpętana pasła się, skubiąc trawę.

Gdy Rydzik Adama dostrzegł, obejrzał się dokoła i wreszcie mrugnął porozumiewająco.

— Sprzedała?...

— Nie.

— O!...

— Ale darowała.

— Ho... ho...

Zastanowił się chwilę.

Wreszcie wyrzekł:

— Komu darowała? panu doktorowi czy mnie?

Adam się zawahał, nie wiedział co odpowiedzieć.

— Nam, obydwom.

Rydzik pokręcił głową.

— No... niech tam! Byle Babcia żyła.

Coś widocznie jeszcze chciał pytać. Usunął się z ławeczki i wyrzekł grzecznym tonem:

— Niech pan doktor siada...

Adam usiadł i zaczął łatę oglądać.

— Na cóż to? — zapytał.

— A no, żeby kucki bronić.

— Nikt jej panu nie zabierze.

— Abo to prawda. Pan tych cholerów nie zna. Ja nie dam jej do stajni. Oni mi ją

w nocy zatłamszą a potem powiedzą, że zdechła. Tam jest taki chlewik przy mojej oficynce — to ją tam wpakuję. Jużem wyprzątnął i liści nazwłóczył na podściółkę.

— A w zimie?

Mętne źrenice Rydzika jeszcze mętniejszemi się stały.

— E! panie drogi! do zimy daleko!... Kto wie, co z nami będzie. A potem może z Wiednia już wrócą — to co z nami obojgiem zrobią jako... niby ze mną i z kucką...

— Pewnie!

Chwilę trwało milczenie. Park był prawie nieruchomy. Lekki tylko szum szedł od wierzchołków drzew, które zdawały się być bardziej nieubłagane i nieprzyjazne niż kiedykolwiek.— Wyniośle — umykały koronami swych złotych liści od tego człowieka, który będąc w pełni sił życiowych zbrodniczo ranił je, rozdzierając ich pnie kulami wkręcającemi się z mocą w ich ciała. Dziś — zmożony, zdławiony, sam noszący w sobie ranę żrącą — przypadł do nich pokorny i cichy...

Lecz drzewa są pełne mściwości. Nie mają dla niego łaski, nie znają co przebaczenie. I — rzec można, że Rydzik czuje tę nieprzyjaźń, otaczającą go dokoła. Spojrzenie jego jest skośne, ruchy nieśmiałe, niepewne.

Po drzewach, ślizga się jego wzrok, do kuchni dąży, gdzie siedlisko jego głównych

wrogow, o pałac wreszcie się opierają oczy Rydzika.

— Ona mnie bardzo nienawidzi? — pyta.

— Kto?

— No... Wiśka!

— Nie wiem...

— Ale ja wiem. Ona niby bez to, że tamta się za mnie wydała, a wszyscy ludy zaczęli się od niej odwracać. A że Wiśka córka jasna tak i na nią... Przecie ja nie chciałem nic złego. A że poszedłem do ołtarza, toć chyba lepiej, niż tak jak te bydlęta... Tylko Wiśka tego nie rozumie. Co?...

Adam milczał. Te proste słowa, wyjaśniające duszę Rydzika, jego pobudki „aby nie tak jak zwierzęta“ — rzucały inne światło na stosunek męża pani baronowej do żony. A więc nie sama ambicya chłopa i chęć osiągnięcia dobrej materyalnej sytuacyi pchała go do ślubu z baronową?

— Ja wiedziałem, że ludzie będą na nas pluli, ja to wiedziałem — podjął znowu Rydzik — bo ludzie wolą, żeby w grzechu siedzieć, byle nie wdarł się kto do nich, co nieproszony... Ale ja zawsze to na sumieniu miałem i nie śmiałem prosto iść ani do spowiedzi, ani Panu Bogu się pokłonić. To też jak ona mi powiedziała — my się pobierzemy... to mnie aż lekko się stało. I pomyślałem, że to będzie dobrze — nie dla ludzi, ale dla Boga... I ona śmiała się a mnie

aż łzy dławiły... Jak Boga przy skonaniu pragnę. Ja aż ukląkł przed nią... Jeno ona nie wiedziała czego... Ona myślała, że ja taki rad, że niby się dodrapałem aż na jednego męża... i że będę miał z tego zyski. Więc mi powiada. Dobrze, dobrze... już ja ci zapiszę... Ja jej nic nie odpowiedział, ale pomyślał — a pomsta na cię! a przecie ja tak z tego, że już w grzechu nie będziemy siedzieć, rozumie pan doktor?

— Rozumiem.

. . . .

Jak pod promieniami słońca roztwierała się w tej chwili ta dziwna, promienna, smutna dusza.

To co miała najpiękniejszego w sobie, a co zostało zmienione jakby burzą roznoszoną wokół śmiecie jaskrawe szychem przetykane — zdołała jeszcze zebrać z cmentarzyska i zamknąć we wnętrzu kaplicy, do której ścieżyna porosła niewydeptaną trawą. Nikt tam nie zajrzał.

Nikt nie chciał zrozumieć, że płonie tam lampa czyściejszego światła, niż przypuszczać się zwykło.

Światło to nie przeświecało przez misterne ozdoby wysubtelnionych i wyrafinowanych pragnień.

Świeciło ono prosto i jasno — sądząc, że będzie zrozumiane. Lecz odwrócone od tej lampy skromnej, którą trzeba było odszukać w głębi kaplicy. Nikt nie chciał tych wrót otworzyć... Nikt nie zadał sobie tej pracy.

i światło tliło się jeszcze — ale już jakby zmrożone lękliwie — trzepocząc się skrzydłem śmiertelnie rannego i w przepaść zapadłego ptaka.

Tak mnie już osądziła tamta, ciągnie dalej monotonnym głosem Rydzik, a Wiśka poszła za nią. Niby, że ja dla korzyści! A przecie mi dawniej lepiej było — jakem się za nią wydał tak jakże ekonomować? Już nie honorowo. A tu ja ni pan, ni co... i ot na jakie psy zeszedłem!...

Urwał — głowę opuścił na piersi.

— A wszystko to, że myślałem, iż lepiej przecie po bożemu niż jak te bydlęta... Wszystko...

Adam uczuł się głęboko wzruszony tą jakąś spowiedzią pokorną.

— Gdyby nie ja — myślał — gdyby choć Wiśka te słowa słyszała, może coś w jej serce wstąpiłoby, coś z przebaczenia, ze zrozumienia pobudek. I z tem zrozumieniem może gorycz, która ją żre, stałaby się mniej dotkliwa...

Kto wie... kto wie...

Chwilę jeszcze posiedział z Rydzikiem, patrząc na szarą, zapadłą twarz chłopa, to znów na długie siwe rzęsy kucki, które jej spadały białą firanką na oczy.

I gdy szedł później w stronę pałacu, przyszło mu na myśl, że w dziwny bardzo sposób jego życie zamknęło się teraz zupełnie na tym szmacie ziemi i w egzystencyi tych dwojga ludzi.

Rydzik, Wiśka...

A potem pałac, oficynka, park.

I ta równia bezkresna, przykryta kloszem nieba o szarobłękitnej nieprzezroczystej barwie. I te krzyże...

A poza niemi jakby już nic z jego dawnej egzystencyi, prac, celowości...

Nic — nic.

VI

Biało — biało — biało. Rozpyliło się to jakby delikatną mgławicą. W górach, na ruinach miast, nad brzegami rzek — księżycowa nocka — srebrem drży. A na równi — biała jest i aż śnieżna, jakby gdzieś w oddali mdlały przejrzyste duchy i całuny swoje z gaz po ziemi snuły.

I księżyc białością olśniewa — jakby chryzantem olbrzymi, rzucony na perłową konchą wyłożony plafon jakiegoś bajecznego, zaczarowanego pałacu.

Rozbieliła się taka noc.

I oto z pałacu wychodzą dwie postacie.

Wiśka i Adam.

Otulona w swe ciemno - zielone wełny i szal tej barwy, szal miękki ciemny zakończony długiemi frendzlami — idzie smukła dziewczyna w biel księżycową.

Ach! jak jest rosłą i gibką. Jakąż dumną i drobną ma główkę i jaką bladą twarz, poznaczoną plamami dziwnych czarnych oczu. Idzie milcząc, jakby senna.

Lekko kołyszą się jej biodra.

Owinęła dokoła siebie szal, jak to zwykły czynić hiszpanki, gdy mają iść do tańca, z przodu po kolanach biją ją frendzle i drżą za każdym jej krokiem miłośnie, jak fala opadła dokoła jej sukni.

Wchodzą teraz oboje do parku i idą równo mierzonym krokiem pod drzewami, tam, gdzie przeciekające przez bezlistne gałęzie światło białe smugi po ziemi kładzie.

Gdy wchodzą w cień, nikną — po to, aby za chwilę wypłynąć w świetle i białości niezwykłej.

Pierwszy raz idą tak razem nocą po parku i kierują się w stronę, gdzie błyszczy się rzęd dzid o złoconych strzałach. Nie mówią nic.

Myśli ich zdają się rozwiewać w biel, która ich za chwilę cała pochłonie, gdy wyjdą już na równię pól — nieprzejrzaną teraz, senną, rozemdloną.

Do krat doszli, do szczątków krat, obeszli je i szarą dróżką wydostali się na pola.

Nic nie zdoła opisać uroku takiej jesiennej księżycowej nocy na równinach Rusi.

Aż modli się serce, aż łka najwyższem rozrzewnieniem na jakie się zdobyć może.

Tak tu biało, tak tu cicho, tak tu przepaścisto, że zatraca się człowiek i staje się duchem rozpływającym się w delikatnym eterze. I nie

czuje się ziemi pod stopami, nie czuje się ciała swego, ani jego dreszczów — nie czuje się chłodu, ani powiewu wichru — idzie się tylko lekko, cicho, jakby to już miało trwać wiecznie.

I jakby ten bezkres był kresem właśnie.

Kresem naszego cielesnego — ja.

. . . .

Jak widma białe — jakby całunem śnieżnym pokryte dźwigają się po polach olbrzymie sterty. — Zaznaczają się lekko — a dokoła nich jest jakby jasność, jakby pył. A krzyży nie widać wcale. Rozpłynęły się w bieli. Zaledwie te najbliższe majaczą sylwetką smukłych aniołów o równo wyciętych skrzydłach.

Ku białym stertom kieruje się Wiśka. W ślad za nią idzie Adam; i zdaje mu się, że oboje toną w jakiejś miękiej, trochę wilgotnej fali. Radby szedł tak do świtu. Lecz Wiśka doszła do jednej ze stert. I nagle w milczeniu — ścieżką wydeptaną — weszła w jej środek jakby w złotą alkowę cichą i przytulną.

Gdy Adam, idąc jej śladem, znalazł się w środku sterty, zadziwił się wrażeniu, jakie odniósł w tej chwili. — Było mu tak, jakby za nim zamknęły się wrota jakiejś kaplicy, z której zabrano ołtarze i pozostawiono jedynie ściany o złotych i białych blaskach. — Czarną, ciemną sylwetką — w okręceniu ciekawem swego szala odcinała się w pośrodku Wiśka.

Wzniosła w górę ręce — wygięła się prześlicznym łukiem z gracyą i tak pozostała chwilę—

jak Wenus z czarnego marmuru o niepokojącej alabastrowej białej twarzy.

Cicho, bez szelestu sukien osunęła się na miękkie podłoża ze słomy — jakby zapadała z ufnością zupełną w głęboką, miękką toń rzeczną.

— Jak cicho!... — wyrzekła po chwili prawie sennym głosem.

Adam usiadł opodal i patrzył na tę leżącą kobietę. Była jeszcze piękniejsza, jeszcze doskonalsza linią, jak tam w parku na złocie liści.

— Jak miło!...

Czuł, że patrzy na niego. Czuł, że patrzy badawczo, jakby chytrze, jakby się czaiła, na coś czekała, co się stać może, a czemu ona zapobiedz nie chce. I przyszły mu do głowy słowa Rydzika o matce.

Tak samo przedemną wyrabiała.

Przez chwilę ukrył twarz w dłoniach.

Byłby wolał, ażeby Wiśka w tę biel nocną szła obok niego równią delikatnie i wiotko — a nie leżała tak przed nim z tą bielą trójkątnej twarzy na tle rozfalowanych czarnych włosów dokoła głowy.

— Co panu?

— Nic!... nic!... Ta jasność mnie olśniewa.

— Najlepiej oczy przymknąć i nie widzieć. Chyba, że pana ciągnie pokusą to, co panu na pozór niemiłe.

— Ja nie znam pokus!

— To pan szczęśliwy. Ja ciągle tylko niemi żyję.

— Bo pani chce.

— Być może.

Zapanowało milczenie. Adam czuł w Wiśce rozdrażnienie i pewną irytacyę z powodu nieprzybycia Toczyskiego. — Już drugi dzień wózek nie zjawiał się przed pałacem. Adam dziwił się, iż tak posłusznie Toczyski wypełnia jego żądania. To, że Wiśka nie wspominała głośno o jego nieobecności, było jednym dowodem więcej, że coś tam jest między nią i Toczyskim ponad zwykły szablon opieki i przyjaźni.

Nagle odezwała się Wiśka:

— Muszę zacząć się morfinować.

— Pani tego nie zrobi — odparł machinalnie Adam.

— Dlaczego? Czy pan mi zakaże?

— Ja?

— No tak — jako doktor.

— Nie — nie mam prawa. Nie jestem pani lekarzem. Ale mógłbym prosić panią o to — jako człowiek.

— Który...

— Który boleje, gdy widzi, że ktoś dobrowolnie leci w przepaść.

— Tylko?...

Adam uczuł sidła, wyzwanie.

— Tylko! — odparł zmieszany.

— To szkoda!

— Dlaczego?

— Bo są natury, które na takie zwykłe samarytańskie sentymenta nie reagują. To dla nich letnia woda. Nie to je powstrzyma. Zmieniła głos.

Czekała widocznie, że Adam spyta „a co?“— lecz Adam nie spytał.—To wszystko, co Wiska mówiła, wydawało mu się drobne, żadne wobec jej wielkiej piękności i nadzwyczajnego majestatu otoczenia. Pod kopułą takiego białego, rozpylonego nieba jakieś nikłe motanie nici zmysłowej (bo to było widoczne) przedstawiało się smutno.

I znów zakrył oczy i siedział tak długą chwilę, milcząc.

Ozwał się sarkastyczny głos Wiśki.

— Nad czem pan tak biada?

Nie odpowiedział jej. — Nie zrozumiałaby go wcale. Zdawała się zapominać o pocałunku, o owem dziękuję. — Była cała we włosach i oczach, zła — i dysząca niepoczciwem jakiemś pragnieniem. I dziwno mu było i ciężko, że odwracały się tu role, że on — mężczyzna, który dawno poznał wszystkie tajniki życia— wstydzi się i cofa i ma zalęknienia i smutki, które właściwie o n a mieć powinna.

W myśli te jego spadło nagle nieoczekiwane pytanie.

— Dlaczego pan usunął Toczyskiego?

Uczuł, że odpowiedzieć musi i że powinien grać w otwarte karty. Odjął ręce od twarzy. Wiśka leżała ciągle na wznak, nieruchoma w masie słomy. Nie widział jej oczów, tylko dwie ciemne niepokojące plamy.

— Dla tych samych przyczyn, dla jakich nie dozwoliłbym pani na używanie morfiny— odparł.

— Oh!... la la...

Zaśmiała się nieszczerze. Wreszcie porwała się, rozrzucając masy słomy dokoła.

— Więc pan przyznajesz się, że zakazałeś Toczyskiemu tu przyjeżdżać?

Klęczała teraz w dziwnej pozie jakiejś prymitywnej Ewy napojonej pokusami węża.

— Pan to przyznajesz?

— Tak!

Śmiała się — drobne kły błyskały w jej ustach. Szczególniejszym gestem wyrywała słomę i rzucała dokoła siebie.

— Och!... jak to dobrze! jak dobrze!...— wołała.

— Więc pani sama temu rada?

— Tak, tak... bardzo... bardzo...

— Więc pani przyznaje, że ten człowiek...

— Co? co?

— Że ten człowiek działał na panią szkodliwie, zabijająco. Że jemu pani zawdzięcza wiele zła, które panią nurtuje i prowadzi...

— Do czego! do czego?...

Patrzył wprost na nią. W tem skórczeniu całej postaci robiła wrażenie przecudnej czarnej pantery, gotowej do skoku. Była czarująca i wściekle ponętna.

— No... no... do czego?

Coś w nim zawirowało.— Ręce same ciągnęły się ku niej. Chciał ją porwać i nic więcej tylko cisnąć ku sobie, cisnąć bez pamięci. Ale ostatnim wysiłkiem woli powściągnął się. I aby ją i siebie przyprowadzić do równowagi czemś bardzo silnem, bardzo niespodziewanem — wyrzekł:

— Gdzie panią to doprowadza?... pod koła tramwaju!...

Czekał, że rzuci się w tył, że sprawi to na nią piorunujące wrażenie.

Lecz ona pozostała w pierwotnej pozycyi, tylko wyraz jej twarzy mienił się. Snać walczyła ze sobą i głębokie warstwy jej duszy wypływać zaczęły z ukrycia.

— Nie,— odparła nareszcie...— przeciwnie. Gdy korzystam z tego, co on we mnie wpaja, to jest z przekonań, iż życie i użycie to są synonimy — to nie idę pod tramwaj. — Gdybym pana dłużej słuchała, gdybym zabrnęła w pana sentymenta, wtedy jeszcze prędzej spełniłoby się to... straszne...

Cofnęła się i usiadła w pozie jakiegoś zniechęcenia.

— Widzi pan... to się mści. Ja nie powinnam uciekać przed tem, do czego jestem przeznaczona.

— Nie rozumiem panią.

— O! pan mnie doskonale rozumie. Pan myśli, że mnie Toczyski prowadzi na manowce... Ależ to jest właśnie teren, na którym ja mam się obracać. Pan zna owe błędne duchy Danta. Otóż... ja... tak samo. Pan, inni, inne mają do rozporządzenia szerokie przestwory. Tam nachodzicie się wszyscy razem, podtrzymujecie się wzajemnie, podajecie sobie ręce — jesteście między sobą... My zaś — wygnani na manowce, błądzić musimy po nich. I widzi pan, lepiej skoro taki ktoś z manowców nie zajrzy nigdy na szerokie przestworza. Będzie potem tęsknił do was, będzie konał, nie będzie umiał wykorzystać rozkoszy, jakie może znaleźć na przeznaczonej sobie drodze. Lepiej niech na niej pozostanie...

I śpiewną jakąś kołysanką dziwną jakby śpiew przypadłej na kolana córy Faraonów, o monotonnym spadku kilku tonów, rzuciła.

— Skoro mu tak sądzono!... skoro mu tak sądzono... sądzono...

. . . .

Ach!... sądzono!...

Tak mówi w białe płótnianki spowita wołyńska baba, mająca twarz wyschłej mumii w obramowaniu opasek, z pod których ciemnieją

lub złocą się krótkie strzyżone „dole“ jej włosów.

Stoi tak na progu chaty — u jej nóg walają się dzieci o rozdętych brzuchach i koronie szaro-płowych włosów na głowach.

Z poza niej — drzwiami wypełza z izb dym, w którym się wędzą jej płuca, jej ciało i chleb razowy z jabłkami, który upiekła dzieciom na święto.

Od lasów, gdzie masztowe sosny dźwigają się senne i ciężkie — od borów, gdzie czerwono od poziomek a złoto od grzybów i liliowo od dzwonków, rozkwitłych pękami na wykrotach, i puszystych mchem płynie ku tej kobiecie wielkie nieznane — a ona czeka na nie zrezygnowana, przyjmując je tak, jak przyjęła każdy fakt życiowy, bez protestu — jak przyjęła w komorne dziewczynę swego męża, jak przyjęła nędzę codzienną—razy—śmierć dzieci—i swoją nagiętą do rozpaczliwej niepotrzebności egzystencyę bolesną.

Jest bez żadnej chęci i woli, bez tworzenia planów i pragnień. Żyje chwilą — jak liść czekający na wicher, który nim miota. Patrzy na wysoki szumiący łan kukurydzy, na zieleniejący tytoń, który zasiała — lecz nigdy nie planuje, co z nich mieć będzie.

Ona nie wie, co jej „sądzono“.

— Może — domowinka.

Ot — prosta drewniana — wązka — tyle miejsca, by w nie ledz bosemi nogami na wschód.

Może...

A może jasna dola cała srebrna i koralowa — mieniąca się jak ornaty księżowskie lub lampa cerkiewna.

Może...

Nie chce nic, nie wie nic. — Nie korzy się przed tą potęgą, która rozporządza jej marnem życiem — nie korzy się, bo z jej istnienia nie zdaje sobie sprawy — tylko przyjmuje sam fakt...

Zrezygnowana jest, lecz nie zna piękności rezygnacyi, przynoszącej czarowny spokój ducha. Zrezygnowana jest, bo jej tak „sądzono" i nie zna tragicznej rozkoszy walki z tą potworną siłą, walącą się z góry ciężarem bolów i nędz na drobiazg, życiem się pyszniący.

Pawie, roztaczające tęczę barw, zapożyczonych od słonecznych blasków — a tuż nad nimi obwisła dłoń ślepego straszydła o wykrzywionych wargach jakby sennym złośliwym śmiechem.

Pawie na wydmie, po której wicher liście roznosi i zeschłą ich barwą blask piór tęczowych gasi.

Pawie...

Nic więcej.

. . . .

Jakby ukołysał Adama ten głos dziewczyny.

Jakże ma odpowiedzieć komuś, kto nawet o walce nie śnił, tylko szedł prosto pomiędzy pawie.

Co mu odpowiedzieć?

Rozpłynęło się w powietrzu jakby długie ciche westchnienie. Ktoś powstał — słychać szmer słomy. Wiśka znikła w rozoraniu sterty.

I nagle Adam ujrzał ją na szczycie białego katafalku, stojącą prosto — z rękami jakby wzniesionemi do lotu.

Zdawała się chwytać coś z powietrza, lub rozciągać jakieś widzialne dla niej tylko struny lub przędzę. — Odcinała się czarną, smukłą sylwetką w bieli mlecznej, rozsnutej dokoła. Była dziwna i doskonale piękna. Miała smukłość amfory z onyksu czarnego, chłonącego w siebie światło, a mimo to wydzielającego ze siebie jakby poświatę.

Adamowi wydała się oddzieloną od niego bezmierną przestrzenią. Uleciała mu gdzieś w wysokie regiony, zjawiła się i zawisła w górze. Targnęło się w nim ku niej wszystko. To, co miał z młodości, niezniweczonej brutalnością życia, rwało się całemi pędami jak młode drzewo na wiosenne słońce. — Nie była to jasna, świetlana postać dziewczęca — lecz coś więcej, jakby irys czarny, wykwitły z samego dna nędzy życiowej. I tem mu była droższa i ciemniejsza, że wykwitła przed nim klejnotem ponurym, a dziwnym — odrywającym się najzupełniej od szarej przeciętności.

Rozmodliło się w nim to, co człowiek ma w głębi swego ja — rozmodliło się hymnem tryumfalnych dzwonów w kaplicy jego serca. Ku tej czarnej sylwetce na wzniesieniu mglistem i białem, jak do ołtarza dym kadzielnic i woń rozkwitłych kwiatów, bić zaczęły myśli i pragnienia Adama.

— Widzieć ją inną, widzieć pogodzoną z życiem, szczęśliwą...

A potem nieśmiało coś dla siebie, jakieś choćby uczucie wdzięczności, przychylnego czegoś, nieokreślonego.

I gdyby takie uczucie zjawiło się w jej duszy w chwili takiego pogodzenia się życiem razem z myślą o nim...

Tak, tak — niczego więcej nie pragnie.

. . . .

Albo jakie niedojdy! — mówił Rydzik.

. . . .

Szum — olśnienie — i oto z góry sterty zesuwa się wężowo Wiśka. Zesuwa się nagle, jakby podrzucona jakąś zbudzoną myślą. Jest tuż nad Adamem, który nie zdążył się podnieść ze słomy.

Przypadła po nad nim — włosy jej rozchwiały się, oto on ma jej twarz dziwną trójkątną nad sobą...

To wizya z nad łóżka Rydzika.

Te same oczy, te same usta wpół uchylone, te same pasma włosów, z których wyplątują się białe zagadkowe ręce, znaczące się gestem posiadania.

Zawisła tak nad nim zjawiskiem, widmem, marą, upiorem.

Zda się chwila jeszcze, a wytrysną jej z ramion tłem do owej głowy — skrzydła czarne, delikatne, jakby z czarnych chmur utkane.

I będzie mu demonem.

Czy tak?...

Przez Boga — tego Adam nie chce. — To zbyt ogólno-ludzkie, ta kobieta wampir, czyhająca na myśl, na serce, na chęć...

Lepiej tak — amforą z onyksu, w której płonie rubin światła krwawego bólu...

Adam przeczuwa pocałunek, grad pocałunków, całą ich sieć. Czyhają w kącikach ust Wiśki tam, gdzie bielą się dwa kły. I ten gąszcz włosów aż drży w świetle księżyca pragnieniem, aby okryć go całunem wonnym i dziwnym.

Adam całym wysiłkiem woli porywa się z miejsca i podaje rękę Wiśce.

— Chodźmy stąd.

— Dlaczego?

W jej głosie nuta głębokiego ździwienia.

— Chłodno. Z tej wilgotnej słomy wieje zgnilizną.

Pani zachoruje.

— To mniejsza...

— Wcale nie.

— Zostańmy! Tak miło!...

Adam wyprowadza ją ze złotej alkowy.

— Proszę... wróć pani do domu.

Zatrzymała się i patrzy na niego przenikliwie, ironia drga w jej głosie.

— Tak pan się o mnie boi?

— Nie — ale ja się pani boję!

Powiedział to bezwiednie i przeraził się. Był zbyt śmiałym. Mógł obrazić tę dziewczynę. Zapomniał się...

Lecz zbudził go z tej ułudy radosny śmiech.

— Boi się pan mnie?

— !!!

— Ach, to dobrze!... dobrze!... Wyciągnęła ręce w przestrzeń. Śmiała się do księżyca, do przestrzeni mlecznej, do swej własnej duszy.

— Pani się nie gniewa?...

— Ja?

— Tak.

— Za co?

— Za... moją śmiałość...

Przestała śmiać się i pokręciła głową.

— Ile w panu... prostoty! — wyrzekła.

Za chwilę dodała.

— Nietylko się nie gniewam, ale dziękuję panu.

Nie rozumiem.

— Ależ to dla mnie pochlebne taka trwoga, rozumie pan — pochlebne.

. . . .

W milczeniu zaczęli iść do dworu.

I Adam odczuł, że nie rozumieją się, że stoją na dwóch krańcach bardzo, bardzo odległych. On sądził, że zniewagą dla niej będzie to odkrycie, iż dziewczyną, a więc nieświadomą, tą białą nieświadomą będąc mogła wzbudzić w nim pragnienie, jakie daje ciało tej, która już w i e, a ona szczyciła się tem, szczyciła z zupełną abnegacyą godności dziewiczej, zrzucając ją ze siebie, jak niepotrzebną już osłonę.

Już!...

Przeszedł po nim dreszcz.

Czy byłoby zapóźno.

Czy nietylko nie byłaby już nieświadomą lecz czyżby...

Mimowoli spojrzał na idącą koło niego dziewczynę.

Szła równo, wolno — z opuszczoną na piersi głową.

Pasma jej włosów zasłaniały jej uszy, policzki. Tylko profil wyłaniał się z tej gęstwy, cudny, jak rzeźbiony.

I miała w tej chwili w sobie ogromny smutek, jaki wieje od pól, które zbudzone wczesną wiosną zazieleniły się niebacznie, i po których przeciągnął — mróz.

Wstąpili na stopnie ganku, nie mówiąc ani słowa, i weszli do środka domu.

W sieni nie było światła, tylko smugi księżycowego blasku płynęły przez kolorowe szyby.

Zatrzymali się na środku. Wiśka była ukryta w cieniu. — Zdawało się Adamowi, iż chce coś przemówić, waha się — wreszcie bez słowa — uścisnąwszy mu rękę, zwraca się ku swoim pokojom.

Ręka, którą Adam trzymał przez chwilę w swych dłoniach, była gorąca i sucha.

— Niech pani śpi spokojnie!... — wyrzekł przyciszonym głosem.

— Tak, tak...

I... proszę nie czytać.

— Wcale?...

— Nie — tylko...

Z niezrównanym spokojem Wiśka podchwyciła.

— Chodzi panu o książki Toczyskiego?

— Może!

Wzruszyła ramionami.

— Panie kochany! — wyrzekła dobitnie i skandując — m n i e j u ż n i c n i e z e p s u j e!

Zdawało mu się, że go ktoś pchnął sztyletem w piersi.

— Nic... nic... — wyrwało mu się gorączkowe zaprzeczenie.

— Tak! tak! — Powiedziałam to panu już nieraz. Przeszłam szkołę. Pan chciałbyś mnie

widzieć dziewczęciem z pod wiejskiej strzechy, klasycznem dziewczęciem z jasną kosą à la Przybylski... lub aniołem z palmą w ręku lub leliją. Ça vous fait horreur... ale to już niemożliwe.

Siekła go jak rózgą temi słowami, w których aż drżało od ironii.

— I co więcej, chciałbyś pan, żebym była obłudna.

— Ja?

— Tak. Wolałbyś pan, ażebym grała przed panem rolę anioła, i wtedy rozpływałbyś się z sentymentów i zachwytu. — Panu trzeba widocznie dla dopełnienia wsi — sielskość... anielskość. A tu wpadłeś pan en plein w coś przeciwnego. Żałuję... ale lelije pod tym dachem nie kwitną!...

Adam stał milczący i przybity, Z tej ciemni chłostał go głos Wiśki i darł mu ranę, która zaczynała się w jego sercu otwierać. Lecz nie chciał jej przeszkadzać. Wolał, aby się wypowiedziała, niż zamknęła w milczeniu.

— I oto... idę na me pokoje! — zakończyła z emfazą — i czytać będę... bo... czytać muszę!

— Niech pani sobie przypomni... Pani mnie te książki czytać zakazała!...

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie Wiśka rzuciła:

— Tak... to był odruch, bezwiedny!

— To było to, co jeszcze w pani najlepszego pozostało.

— Nie, to było głupie...

— Więc teraz?

— Ach, Boże! ja mam książki — rzecz martwą — czy ja wiem, co się na drugim końcu domu dzieje...

— O!...

Fala krwi uderzyła Adamowi do głowy.

Haśka! nic innego tylko baronówna sądziła, że on i Haśka...

Ależ to ohydne!

Nie znalazł słów. Wstydził się za nią, za siebie. Było mu straszno, boleśnie, niewypowiedzianie. — I bez jednego słowa otworzył drzwi od sieni — wyszedł w topiel księżycową i szedł tak przed siebie, łąką, polami, ścieżką, bruzdą — aż biel jasna rozpływać się zaczęła, niknąć jakby przestrzeń bezkresna chłonęła ją w siebie...

I w oddali — tam, gdzie stał rząd czarnych topoli, zaróżowił się wąski pasek rubinowego bladego światła.

Pochłodło, ścierniskiem powiało — jakby coś pełzło nagle zbudzone.

To wstawał nad równią — świt.

VII

Zeszli się znów przy obiedzie. Adam szedł tam zgnębiony i smutny. Pragnął ją ujrzeć — i nie krył przed sobą, że już to pragnienie stało się jakby największą siłą jego myśli. Równocześnie jednak ciężko mu było spojrzeć w oczy dziewczyny, która zdarła ze siebie ułudę czystości myśli.

Stała przy stole z szeroko otwartemi oczami, jakby oczekiwała na niego, jakby była trochę niepewna.

Jednego w niej nie było tylko.

Wstydu.

I tego to zawstydzenia oczekiwał jeszcze Adam, pragnął je ujrzeć, wywołać.

A tu — nic, nic.

Tylko te szeroko, ciekawie rozwarte oczy.

Więc jedno w nim zbudziło się pragnienie.

Aby — o tem nie mówiła, aby milczała.

Lecz: to nie sądzone mu było.

Zaraz usiadła i z poza bukietu astrów zajaśniały te dwa kły wśród wstążki ust. I potem — pytanie:

— Pan coś do mnie czuje?

Nie odpowiedział.

— Pan jakby się na mnie gniewał.

Milczał.

Niech się pan gniewa, ale nie na mnie, na mój los!

Wzruszył ramionami.

— Wiecznie to samo.

— Tak, tak. Przyczyny, panie drogi. Obciążenie dziedziczne. Wy, lekarze, mówicie — dziedziczny artretyzm, tuberkuły, rachitis czy jak tam — a czemu nie wmyślicie się w dziedziczność duchową. Co?

— Łatwo w ten sposób wszystko upozorować.

— Zuchwale podniosła głowę.

— E!... nie łatwo.

Zamilkli oboje. Podrażnienie aż biło od nich. — Wiśka nie spuszczała go z oka, on czuł ten wzrok na sobie i było mu strasznie.

Nagle Wiśka odsunęła gwałtownie krzesło i oparła obie ręce o stół.

— Lepiej by pan mnie pożałował — wyrzekła ponuro.

Chciał jej powiedzieć, że to co ona ma za gniew z jego strony, to jest właśnie żal — żal — ale coś mu ścisnęło gardło — nie umiał się wypowiedzieć, nie mógł.

Zdawało się, że ona czeka na to jego „dobre słowo“ — że się prosi o nie.

Milczenie było długie i ciężkie. Od strony kuchni dolatywały jakieś krzyki, przeciągłe śmiechy.

I nagle podniosła się Wiśka od stołu i cicho, spokojnie, ale sztywno przeszła obok ciągle milczącego Adama. Otworzyła drzwi i znikła w głębi domu.

. . . .

Adam powstał także od stołu. Wiedział, czuł, że Wiśka nie wróci. — Lecz iść za nią nie mógł, nie chciał. Rozumiał, że jej nic nie powie — bo zanadto dużo skomplikowanych uczuć przepełnia mu serce. Nic powierzchownego zajść nie mogło pomiędzy nimi. To już było za głębokie, co się snuć zaczynało.

Wyszedł na dziedziniec.

Mgła aż zalała ziemię — szara nieprzenikniona. Żółte liście leciały razem z mżącą siatką deszczu cieniuchnego i zimnego.

Modrzewie jedne zachowywały swą zieleń letnią. Brzozy dziwne były — brązowe, drżące tuliły u swych stóp boże drzewka o czerwonawych, spalonych podszyciach.

Na progu kuchenki stał Tarajewicz, Haśka — czeladzka kucharka — furman — pastuch, i jedząc pampuchy z serem, które im ociekały tłuszczem po palcach, patrzyli się za oddalającym się ku oficynkom Rydzikiem.

Ten wlókł się zgarbiony. Ręce w kułak na piersiach zwinął i tak szedł bez czapki w deszcz, w mgłę.

Przed progiem kuchni leżał roztrzaskany garnek, a w nim resztki kawy rozbełtywał deszcz i trochę mokło bułki.

Adam do kuchni podszedł.

— Co to było? — spytał.

— A no — odparł Tarajewicz — pan Rydzik przyszedł, ochlał się kawy z bułką, potem cisnął garnkiem o ziemię i powiedział „już więcej jadł nie będę“.

— I poszedł.

— Sprawiedliwie, tak było.

— Rozbił garnek i powiedział, co więcej jeść nie będę...

Zachichotali wszyscy.

— A jakże... do popołudnia! — syknęła Haśka.

— Trza dobrze pampuchy schować — śmiał się furman.

— O jej!...

Adam odwrócił się i w ślad za Rydzikiem poszedł.— Choroba pogarszała się. Charłactwo rakowate pojawiało się coraz silniej. Już nogi były złowróżbnie opuchnięte, i siły Rydzika zmniejszały się z coraz większą szybkością. Adam rano pisał do profesora, iż zaniechał płukań, gdyż chory przestał znosić sondę w żołądku. — Zastosowywał belladonnę, morfinę, lecz jeszcze w małych ilościach.

Tymczasem, u wrót — śmierć czuwała. Adam dognał Rydzika już w sionce. Zamajaczyła

przed nim tragicznie ta twarz napiętnowana charakterystyczną żółto szarą cerą.

— Dlaczego pan pił kawę?—zapytał, lecz głos brzmiał mu bez przekonania — próżnią.

Rydzik spojrzał nań metnemi oczami. Coś jakby szkliło się w źrenicach — ni to łzy.

— Ostatnie... — wyszeptał — ostatnie...

— Co? jak?

— Jedzenie — już więcej jadł nie będę.

Powoli do izdebki się wsunął i na swoje wspaniałe empire legowisko runął.

— Czas na mnie...

Te słowa rzuciły zaciskające się jakimś stężałym ruchem usta.

. . . .

Czas na niego!

Gdzie? dokąd? — z czem ma iść?

Gdzie się spieszy...

Czy wie — czy przeczuwa... czy już przemodlił, przemyślał, przewidział w noce bezsenne?

Ach jakaż to bezkresna równia przed nim się otwiera — i dzwon jakiś go wzywa — dzwon czy jęk — czy może cisza, ulga zupełna.

Czas na niego!

To wielkie i żadne słowo. Czas już rzucić to marne i wzniosłe, to podłe i święte, to ukochane i nienawistne, to wszystko my to straszne i słabe — groźne i przytulne...

Czas ostać bez tego...

I gdzie?

I po co?...

On wie może — on czuje prostą duszą— instynktownie znalazł linię — wyciąga się już bezsilny i mówi, że czas...

A może nie wie nic, nic — i tylko czując, że spełnić się musi, łudzi się do ostatka, łudzi się niby śpiesząc, niby wiedząc...

. . . .

Adam się nad nim pochylił.

— Zmierzę temperaturę.

Lecz Rydzik usunął rękę lekarza.

— Nie, nie... potrza. Mówię, że już czas, i że to było ostatnie.

Nagle porwały go krwawe wymioty. Adam krzątał się koło niego. — Drżącemi rękami szukał w podręcznej apteczce opium, aby czynność żołądka zatamować.

— Na co to!... na co? — myślał rozpaczliwie, kiedy rzeczywiście już czas.

Ułożył chorego, który zdawał się doznawać pewnej ulgi, i wyszedł do kuchni rozkazując przynieść lodu. — Wiedział, iż szampańskie wino byłoby w tym wypadku wskazane. I nie rozumiał dlaczego, ale coś go dławiło. Nie mógł zażądać sprowadzenia tego wina z miasteczka, jeśli nie było go w piwnicy. Lękał się, że Tarajewicz wybuchnie oburzeniem na takie wymysły. Chętnie byłby sam to wino zapłacił, lecz należało posyłać, a i wtedy grube instynkta

zawiści żołądkowej rozegrałyby się w takt jęków konającego.

Przyszła mu na myśl Wiśka, lecz i tu potknął się o chłód i nienawiść. Uczuł się nagle otoczony wrogami, on i ten pół trup, który mu jakby u rąk wisiał. — Gdy wracał do oficynki ujrzał, że Wiśka stoi na ganku. Przed nią chłopak kuchenny odziany był jak do drogi. Ona podawała mu jakąś paczkę jakby książek i mówiła coś półgłosem. Adam nagle powziął postanowienie posłania po butelkę szampana do miasta. Wyrwał z notesu kartkę i napisał szybko markę wina. Dołączywszy pieniądze, czekał za węgłem na chłopca, który już na drogę się kierował.

— Mały! — zawołał — a pójdź no tu..

Chłopak się zatrzymał.

— Czego?

— Przyniesiesz mi to z miasta.

— Nie idę do miasta — idę do pana Toczyskiego od panny...

— A...

Chłopak oddalił się. Adam uczuł jakby pchnięcie w serce. Wiśka znów zawiązywała nić z Toczyskiem. Uśpione budziło się! Straszne... straszne...

I nie mógł nic — tak samo jak nie mógł nic poradzić tam — u łoża śmierci. I tu i tam rozkład, zgnilizna.

Rydzik leżał nieruchomy, jakby zrezygnowany. Adam pierwszy raz widział go tak cichego, tak dziwnie jakoś ukojonego.

— Czy was mniej boli?

Otworzył oczy, które zaczynały jakoś jaśnieć mimo szkliwa łez.

— Ale... psia jucha — boli ścierwo, tylko już skoro tak ma być — to niech będzie.

I znów z całą rezygnacyą oczy przymknął, a po wargach coś jakby przelatywało, jakby pacierze, jakby westchnienia.

Wreszcie zdawało się, że zasnął.

Adam zasunął się w kąt — twarz w rękach ukrył i siedział tak — pragnąc zginąć, przestać istnieć.

Kochał ją — czuł, wiedział, rozumiał. To była miłość. Lecz nic w niej nie było egoizmu. Nic dla siebie — nic. Wszystko najlepsze dla niej. Całe piękno, dobro — czystość życiowa — jej — jej pod nogi, jak skarby uśpionej królewnie. A tymczasem musi stać na boku i patrzeć, jak z ciemnej otchłani wypełza to, co najpotworniejsze i wyciąga po nią swe długie — okrętne macki...

Szarawy pył jakby zapada powoli. Jesienny koniec ohydnego dnia, martwy, bolesny, wiercący się pod samo serce. — Rozściela się to po podłodze, pełza aż pod stopy Adama. Kurczy się w nim wszystko. Uciec by rad z życia, bo nadto boli, gdy się tak bezczelnie rozwija.

Nagle — z ust zaciśniętych Rydzika pada ostry, dziwny głos.

— A o n a niech mi zaraz przyjedzie!... Taki to rozkaz praw — rozkaz mężowski — zbudzonej władzy.

Tragedya się rozpoczynała z całym majestatem. Komedye życiowe rozbałamuconych istnień musiały ustąpić. — Czuć to było w tym głosie.

Ona — to jego żona powinna, musi być przy łóżku konającego męża.

Mniejsza, że ona rasowa, ma cienkie kończyny charcicy, pojęcie o pięknie i wyłamany charakter — a on cuchnie, klnie i duszę swą nosi za pazuchą prosto, nie licząc z jakich fiber się składa.

To wszystko mniejsza — but przechodzony czy amerykański Azalea Flowers...

Ona tu musi być!...

— Tak, tak musi — odpowiada jak echo Adam...

Lecz jak? pisać samemu? — Gdzie? — Profesor ma adres. Tarajewicza prosić można także. Najprościej jednak przez — t a m t ą.

I Adam dostrzega nagle ścieżkę, która go doprowadzi do Wiśki.

Musi zrozumieć — odczuć — musi.

Kiedy jej to powie. Dziś? — nie. Jutro — poszuka sposobności. Dziś oboje mają pomiędzy

sobą tyle zła — tyle bólu. Trzeba, koniecznie — trzeba.

I Adam nieledwie wmawia w siebie, że musi to zrobić, a serce młode aż rwie się w nim i pragnie, i modli się, aby to się stało.

VIII

Gdy wstał świt, Adam podniósł ociężałą głowę. Przesiedział całą noc skurczony, na skrzynce pod piecem. — Nocna lampka, starą modą, w słoiku tliła się jeszcze. — Od parku ciągnął znów groźny wicher i bił w szyby.— Ranione drzewa zajadle dopominały się o swoje i wyły w jesienną szarugę, wstrząsając gałęźmi. — Chłód wypełzał z ziemi i ważył liście i osiadał na dyniach, które jaskrawo dźwigały się z ziemi.

Rydzik leżał nieruchomy, siny — sztywny. Tylko po tych ustach biegały jakieś dreszcze, jakieś szepty.

Coś — niby tajemna rozmowa.

Z kim?

O czem?...

Jak wiele miał teraz tajemniczego w sobie ten człowiek, który zdawał się mieć tak mało komplikacyi wtedy, gdy istniał jeszcze szeroko i głośno! — Wchodząc w mistyczny krąg — rozpalał w sobie lampę świątynną, dokoła której snuł się już cały świat.

Cały inny świat!

Adam postanowił cały dzień spędzić przy chorym. — Pojawienie się w jadalni było mu nieznośne. Pragnął spotkać Wiśkę lecz nie w codziennem środowisku. Posądzenie jej krążyło dokoła wśród ścian dworu.

Adam chciał nad nią, nad sobą przestrzeni, nieba. — Może i jej dusza krystaliczną jasność odczuje.

I cały dzień przeszedł powoli — smutno — w ciszy zupełnej. Adam rąbał sam lód na drobne kawałeczki — płukał i na łyżeczce wsuwał go w usta Rydzika. Ten — kilkakrotnie spojrzał mu prosto w oczy. Było w tem spojrzeniu tak jasne przypomnienie, że Adam mimowoli odpowiedział:

— Tak, tak — pamiętam!

Nad wieczorem Rydzik zasnął — szary straszny. Adam poszedł do dworu i napisał list do profesora, domagając się przyjazdu baronowej. Pisząc, nadsłuchiwał, czy nie pojawi się jaki szmer wewnątrz domu. Lecz cisza była zupełna. — I serce Adama zaczęło łopotać młodo, miłośnie, niespokojnie...

Wyszedł wreszcie i zaczął iść w stronę lasu. Wicher ustał. Sosny stały na piasku jak z bronzu wykute. Na pastwiskach perz czerwieniał podpalony ręką pastuchów. — Niewyraźnie księżyc na nowiu delikatnie się znaczył. — Adam szedł w stronę polanki szmaragdowej

jeszcze i dziwnie zielonej. Delikatnie się znaczyła na końcu drogi. Adam zeszedł w mchy i kroków jego nie było słychać zupełnie. Gdy las zszedł i polanka rozwinęła się trochę jakby błękitnawą mgłą zaciągnięta, Adam stanął jak wryty. Dwie śliczne, smukłe sarny wyszły z gąszczu i stały nieruchome, zapatrzone w dal. — Z głębi lasu tymczasem dolatywał chrapliwy, bolesny prawie ryk jelenia. Sarny słuchały jakby niepewne, wahające tego nawoływania, wabienia tej pieśni potężnej, która na ich cześć grała.

Nagle — porwały się i pobiegły obie ku zaroślom — jakby ciągnione dziwną niepojętą władzą. W tej chwili przemknęło się jasno, okrutnie wyobrażenie Wiśki, biegnącej ślepo w ciemnię wabiących ją zdarzeń. I zdało mu się, że to wyobrażenie przenosi się na halucynacyę wzroku, bo oto ona ostrożnie, delikatnie wynurza się z lasu i odrywa od kolumnady pni drzewnych.

Smukła, strojna w szary kostyum jest widocznie na zasadzce, a może tylko udaje.— Kolto ma przewieszone niedbale przez ramię, twarz zwróconą w dal ciągnącej się w głąb lasu drogi. Adam doznaje wrażenia, że Wiśka tu stoi, oczekuje na coś — może na kogoś. Ta myśl sprawia mu ból tak dotkliwy, iż postanawia zbliżyć się do niej, narazić się na wszystko, aby to uczucie przerwać.

Lecz z głębi — tam od drogi cichy jakby gwizd chromatyczną gammą przecina powietrze.

Jeleń umilkł — a teraz słychać ten łagodny wabiący gwizd.

Wiśka wysunęła się jeszcze — i nieruchoma na zieleni łąki, cała szara, smukła nasłuchuje.

Jak te sarny przed chwilą.

Nasłuchuje, waha się...

Gwizd — znów gwizd.

Adam patrzy, tchu mu brak.

Chce poskoczyć, zawołać — nie idź!... jeśli chcesz u stóp ci się położę.

Lecz ona — skręca się na miejscu i tak jak tamte dwie, jak one smukła i wabna— wbiega w las, w świątynię drzew.

. . . .

Tylko wrzosy rudawe na skraju lasu się chwieją, trącone jej stopami.

Tylko zapadła za nią i ze sarnami jakby zasłona złotych liści, które padają wolno z drzew, na mchy, na krzaki powiędłe, na wrzosy zczerwieniałe.

. . . .

Więc widuje się z nim potajemnie? Widuje się, nie śmiejąc wprowadzać go już po dawnemu pod dach, gdzie i on przebywa!

Dlaczego to czyni! Dlaczego się krępuje? Większego bólu mu sprawić nie może. — A kto wie! zapragnęła się nagle wydać lepszą, niż jest w rzeczywistości? — Ach! to jeszcze ohydniejsze.

Niechby już została taką jak przedtem, jak dawniej, gdy nie kryła się ze swem zbliżeniem się z Toczyskim. Wolał to — wolał po stokroć.

Wraca do domu, a na niego pada mrok i smutek, dawniej mu nieznany.

To nie zazdrość wszakże. Bo to, co z jej istoty zostaje udziałem Toczyskiego, jest dla Adama podrzędne. Lecz, że to podrzędne kala właśnie i niszczy to głównie, to, co później na resztę życia pozostaje kobiecie wszystkiem — to Adamowi serce orze tępem ostrzem bólu.

Jak matka! jak matka!...

Nie wini jej — nie wini nikogo. Tylko cierpi młodzieńczo i pięknie. Cierpi duszą całą, która mu się w serce wściska. To dwoje — dusza i serce.

I takie biedne, takie strasznie zbolałe.

Kilka dni znów przechodzi samotnie, monotonnie. Adam nie może, nie jest w stanie spojrzeć znów w oczy Wiśce. — Czuje za nią coraz większy wstyd i traci pragnienie zejścia się z nią znowu. Wieczorem późno przekradł się do dworu, zebrał konieczne rzeczy i przeniósł się do oficynki. Usprawiedliwia swój postępek czuwaniem nad umierającym.

— Dla niego także nic nie mogę...—myśli rozpaczliwie, patrząc na coraz silniejsze napady Rydzika.

— Tylko on odchodzi, ona będzie się jeszcze wlokła długie życie... tak, tak!

I ogarnia go szalone rozrzewnienie.

— Biedna, biedna...

Chciał dodać po dziecięcemu „moja“— ale się opamiętał. Skąd? dlaczego?

Lecz — gdy nocą przyległ na skrzyni Rydzika i z ciemni, z nad łóżka w świetle lampeczki pobieliwać zaczęła trójkątna twarz kobieca, podjął się, ręce złożył przy ustach trochę drżących od wzruszenia.

— Dlaczego nie może być... moją? — zaczął się zastanawiać — może być serdecznie moją w myśli, w obrazie duchowym, w tej Wiśce istotnej, nieszczęsnej, zbrukanej powierzchownie. Będę o niej myślał, otulał ją swą miłością, serdecznem pragnieniem. Może tam coś do niej przywionie i choć na chwilę jej duszę rozjaśni. Taka może być m o j ą... to przecież możliwe!...

Taki był w tej chwili szczery, prosty— taki ładnie młody — pomimo, iż ciało jego nie miało już w sobie dziewiczości dziecka. Lecz duch przewionął po nad tem wszystkiem nieskalany widocznie, skoro Adam mógł jeszcze tak myśleć, tulić ręce do ust drżących, słać tęskne oczy w stronę, gdzie spała młoda dziewczyna, płonąca żarem i niczem niestrzeżona.

I będę ją tak kochał całe życie...

To jeszcze mu przesuwa się przez myśl, takie postanowienie serdeczne.

Ona tam śpi pod atłasem kołdry — śpi w rozrzuconej gęstwie czarnych włosów i nie wie nic, nic.

Tylko jarzembina szuści po szybach, lecz ona nie strzeże nawet snów dziewczyny.

A sny to niespokojne, straszne, złe. Pot zrosił czoło i pierś Wiśki. — Nic nie pomoże korna, serdeczna i szczera myśl, dążąca ku niej z oficyn.

Nic nie pomoże. Taka myśl, to jakby mgła, padająca na płonący step.

Nim płomieni dotknie — zniknie strawiona żarem.

Tak — tak!

. . . .

Nadeszła odpowiedź od profesora. Niewiadomo, gdzie bawi obecnie baronowa. Była w Wiedniu, gdzie leczono ją na utratę tuszy, pojechała, lecz dokąd, niewiadomo. Profesor dziwił się, iż Adam zwraca się do niego z tem zapytaniem, mając pod bokiem córkę baronowej.

Adam postanowił zwrócić się raczej do Tarajewicza, niż do Wiśki. Owładnęła nim bowiem chęć pozostawania jak najdalej od baronównej. Im dalszy będę od niej, tem bliższy— myślał. Delikatniej drogą zdawać mi się będzie...

Zresztą, inaczej być nie może.

Chwilami bowiem — zdawało mu się, że ta Wiśka żywa. silna, działająca w swej sferze—

może sprawić krzywdę tej Wiśce słabej, bezsilnej, którą on wymarzać sobie zaczynał i otulał swą serdecznością.

Lecz Tarajewicz na zapytanie Adama oburknął się prawie brutalnie.

— Nie wiem, a zresztą na co tu jaśnie pani? po co właściwie. Czy tak, czy tak ta nędza zdechnie. A jaśnie panią ściągać tu i narażać Bóg wie po co. Ani będzie za to wdzięczna ani kontenta. Pochować go bez niej potrafią. A zresztą, nie wiadomo, gdzie jest... gdzieś... po świecie.

Tarajewicz ręką machnął, jakby liście jesienne po przestrzeni rozganiał.

Adam powrócił do izdebki Rydzika i zaraz u progu spotkał oczy umierającego, oczy przypominające mu ostatnie wymówione słowa.

— A ona niech tu będzie!...

Widoczne było, iż silna wola panuje tu szaloną potęgą nad zastygającem ciałem.

Woń gnilna unosiła się dokoła pomimo najusilniejszego wietrzenia i dezinfekcyi. Chory przełykał tylko lód lecz kilkakrotnie zwracał szare miazgi. Powoli zanikały w nim czynności organiczne. Adam zrozumiał, iż rak przeżera się do aorty. Dziś, jutro miało skończyć się wszystko.

Adam zrozumiał, iż niema czasu do stracenia.— Zażądał kogoś do pomocy koło chorego. Narzuciła się Haśka. Sekundę, jak błyskawicą mignęła w Adamie chęć odrzucenia

jej pomocy ze względu na podejrzenia Wiśki. Lecz zaraz odepchnął tę myśl od siebie.

Jak można nawet — jak można... wszak to tamta Wiśka przypuszcza, ta jego niema podobnych myśli. Za czysta, za święta, a jemu chodzi o tę drugą.

— Siedź tu... — mówi do dziewki, która kokieteryjnie ściąga z głowy żółtą chustkę, — siedź tu i podawaj mu po odrobinie lodu do ust.

Haśka z instynktem kobiety, chcącej zwabić jakkolwiek mężczyznę, ujmuje dość zgrabnie łyżeczką i pochyla się nad chorym.

— A nie wstrząśnij go!... proszę cię!

Oczy dziewki spotkały jego proszące źrenice. Chichot był w ślepiach Haśki na dnie. Jaki mi czuły doktor!... jak się to rozpada!...

Zesznurowała usta, przybrała skromną minę.

— Dobrze... — wyszeptała.

Adam chwilę zastanowił się, wreszcie, nie patrząc na Haśkę, zapytał:

— Panna baronówna w domu?

Haśka się schmurzyła.

— Nie wiem! — odparła dość czelnie — panna od świtu poluje — może nie wróciła.

— Gdzie poluje?

— W Janosicach, razem z panami.

Adam wdział palto, czapkę i szparko przed dom wyszedł. — Koło stajen kręcił się furman.

— Daleko ztąd do Janowic?

— Niby do Leśniczówki?

— Tam, gdzie polują.

— A no — w Leśniczówce. Koło trzy, cztery kilometry.

— Zaprzęgaj, jedziemy!

— Zawiozłem pannę rano...

— Mniejsza z tem, konie nie popadają. Szybko zaprzęgać we dwóch zaczęli. Adama ogarnęła gorączka. Drżał cały. Teraz nim aż coś rzucało, aby zobaczyć się z Wiśką. I pragnął i lękał się. — Wolał jednak, tak w lesie — wśród ludzi, niż sam na sam.

— Jedźmy!

Jechali tą samą drogą, na której Adam dostrzegł kilka dni temu sarny i Wiśkę. Dzień był jasny i krystaliczny. Wcześnie jeszcze było, i mgła się włóczyła po łączce, która zdawała się mieć w sobie zieleń zaczarowaną.

W miarę jak wjeżdżali w las silnie rozrośnięty miejscami, czasem znów wycięty i jedynie nasiennikami porosły — Adama przejmowało jakieś uczucie nieokreślone. Coś z lęku, coś z szacunku, coś ze smutku, że dzieje się tyle objawów życia, na które on wszakże musi pozostać obojętny. Zdaleka słychać było jakiś łomot i krzyki głosów niesfornych, zbiorowych.

— Ha!... ha!...

— Naganka — wyrzekł furman.

Adam zatrzymał lejce.

— Zaczekaj — wolę dojść — czy prosto!

— Tak — o... kot! kot!

Aż wstał z uciechy, widząc zmykającego zająca. Długo chwiały się po nim jeszcze krzaki i drżały wrzosy.

— Poniosło!...

Adam wysiadł i zaczął iść drogą. Za nim rżały konie dzwoniąc tręzlami.

— Czekajcie tu na mnie. Zaraz wrócę!

Na zakręcie drogi dostrzegł nagle leśniczówkę, zbiór budynków miniaturowych, stawianych z drzewa. Na placyku przed domem, dokoła którego czerwieniały gieorginie — ścięte gładko pnie drzewa formowały stoły.— Poukładane na nich tarcice dziewki nakrywały obrusami i ustawiały talerze. — Stara, siwa leśniczyna wynosiła właśnie z sieni ogromne półmiski, pokryte cienko krajaną szynką i ozorem.

Adam uchylił czapki.

— Chciałbym pomówić z panną baronówną.

— A!... jaśnie panna w lesie, ale zaraz tu przyjadą. Biorą właśnie ostatni miot w tej stronie... Wrócą na śniadanie.

Niedaleko nakrytych stołów ustawiono na dwóch kozłach drągi silne do zawieszenia zabitej zwierzyny. Właśnie zajechał wóz i kilku chłopów zeskoczyło, zwalając cielska okrwawione, bezwładne, tragiczne.

Bestyalstwo tryumfujących budzi się w zetknięciu żywych ze świeżymi trupami. Śmiech dziwny kurczowo wykrzywia usta chłopów.

— Nie będziesz ty kurek dusił — mówią do lisa.

Liczą zające, rechocząc głośno. Mały podrostek babrze się we wnętrznościach rogacza i wpycha je przez ranę do brzucha. Nozdrza roztwierają się dziecku, pochylonemu z lubością nad tą pracą. Wreszcie rzędem, estetycznie, według reguł zawieszono jeszcze ciepłe zwierzęta. Krew czarna, gęsta pada kroplami na jasny piasek. Jedna z dziewek zerwała długie sploty nasturcyi i przyozdabia nimi żerdź.

Adam odwrócił się i zaczął iść w głąb lasu, skąd nadlatywał coraz silniej wrzask naganki.

. . . .

I nagle ujrzał Wiśkę.

Jechała na drabiniastym wozie, z którego wyjęto jedną drabkę. Myśliwi usiedli rzędem, spuszczając nogi ku ziemi.

Ona, jedna kobieta pomiędzy rzędem mężczyzn wnosiła delikatny odcień piękna w to rozbisurmanione, brzydkie grono.

Jakiś wyraz nie kulturalny, coś potrącającego o epokę jaskiniową wybiegł na twarze tych ludzi. Grube ubrania, przeważnie bronzowe, lica jakby spalone wichrem, zimnem i namiętnością, oczy połyskujące zawiścią i chęcią mordu, wszystko to składało się na szpetną całość.

Stercząca w górę broń — zbłocone obuwie nie dodawała nikomu z tych ludzi wdzięku.

Nogi były obute w zbyt wielkie i ordynarne buty, na głowach wciśnięte były śmieszne tyrolskie kapelusiki. Z pod nich wysuwały się zbyt duże twarze.

Siedzący obok Wiśki — Toczyski przedstawiał się najfatalniej. Zgrabiał — posiniał. Na bakier wsadzony kapelusik mchowego koloru był nad wyraz komiczny. Zakręcone piórko komizm ten potęgowało. Przytulony prawie do ramienia Wiśki mówił coś do niej posiniałemi ustami. Ona nie słuchała — zapatrzona przed siebie. Na marmurowo białej twarzy czerniały plamy oczów. — Adama uderzyło przedewszystkiem to, iż Wiśka nie zdawała się bynajmniej podniecona ogólnym nastrojem. Wyglądała raczej na znudzoną.

Dojrzała go — zmrużyła oczy — i zdawała się wahać przez chwilę.

On kapelusza uchylił i stanął nad drogą. Serce mu łopotało w piersiach jak ptak spłoszony.

Gdy wóz nadjechał, Wiśka odezwała się głośno:

— Pan do mnie?

Zatrzymała wóz i zeskoczyła na ziemię.

— Chodźmy!

Poszła przodem w gąszcz leśną. Nie obejrzała się za nikim ze swych towarzyszy. Przedzierała się śmiało przez krzaki. Gałęzie cierniowe czepiały się jej krótkiej spódniczki

i odsłaniały bufiaste spodnie przytrzymujące angielskie wełniane pończochy. Wysokie bronzowego koloru buciki tonęły we mchu jak w bagnisku. Purpurowe kamienuchy osiadły brzeg tej sukni.

Adam postępował za nią zmieszany, zdławiony. Nie przypuszczał, że tak prędko się to stanie.

Gdy byli wreszcie w środku gąszczu i wozy turkotały w oddali, spojrzała mu prosto w oczy, wyciągnęła ręce i przez zęby rzuciła jedno słowo:

— Nareszcie!

Był to war, ukrop, coś co wiruje, kotłuje myśli pod czaszką, dech zapiera.

Czekała tak z rękami wyciągniętemi. Lecz nim aż coś szarpnęło z trwogi przed tą dziewicą o spalonych wargach i pociemniałych oczach.

Prędko, chcąc zerwać czar, wyrzekł:

— Gdzie jest teraz matka pani?

Wyciągnięte ręce opadły. — Jakby leciuchny biały obłok przesunął się po źrenicach.

— Ach!... więc to po to?

— Gdzie jest matka pani?

— Po co panu moja matka?

Głos brzmiał twardo, źle. Adam to odczuł, lecz coraz więcej cofał się w siebie.

— Ojczym pani umiera.

— Cóż stąd?

— Chce widzieć ż o n ę.

Zaakcentował silnie to słowo.

— Nie zobaczy.

— Musi.

— Śmieszne...

— Złe...

Zaczęli się mierzyć oczami. Lecz znów w Adamie przeważyła litość.

— Pani wie, co jest śmierć?

— Pani wie, jakie to bolesne, gdy pokrzywdzony umarł i krzywdy mu uczynionej nic już naprawić nie może?

— To są sentymenta.

— Może — ale są, więc — się z nimi liczyć musimy.

Wiśka przygryzła wargi i nerwowo zapinała i rozpinała żakiet.

— Nie jestem egoistką... wolę — cierpieć! — Nic nie zdoła oddać tonu, z jakim wypowiedziane było to słowo.

— Raz ostatni pytam, gdzie matka pani?

— A ja raz ostatni odmawiam odpowiedzi.

Ręce ku niej teraz wyciągnął.

— Nie dla mnie, dla siebie to zrób...

— Powiedziałam — wolę... cierpieć.

— Dlaczego nie chcesz zrozumieć, ile szczęścia w dobroci?

— Śmieszne!... śmieszne!... śmieszne!...

— Nie, nie.

— Zresztą pan nie masz prawa o tem mówić. Pan sam jesteś zły... Tak, tak. Zmuszasz

mnie do czynienia wielu rzeczy, które wiem, że robić nie powinnam.

Gorącym tchem wiało od niej, oczy jej znów ciemniały.

Jego ścisnął za serce szalony ból.

— Gdzie jest matka pani?

Zastawiał się tem jak tarczą.

Nie odpowiedziała nic. Marszczyła brwi.

— Nic mi więcej nie powiesz?... — spytała wreszcie niskim, chrapliwym głosem.

W ziemię patrzył.

— Nic.

Jak błyskawica porwała się i biedz w zarośla zaczęła.

— Wiśka!...

— Idź precz... nie chcę cię znać!

Łamała z pasyą krzaki — szarpała ciernie rękami. Wreszcie znikła w gąszczu.

Adam powoli powrócił na miejsce, gdzie pozostawił konie. Zaroiło się tam od ludzi. Obdarty, ledwo odziany oddział podrostków stanowiących nagankę. Ten i ów wyciągał z torby kawałki chleba. Kilku rozpalało ogień, aby piec kartofle.

Adam wsiadł do wózka prawie nieprzytomny.

— Co to wszystko ma znaczyć? — myślał, dysząc ciężko.

Nagle zaszumiało w krzakach, i drogę zabiegła Wiśka.

— Stój! — krzyknęła na furmana.

Była bez dubeltówki i ręce miała pokrwawione. Wskoczyła do wózka i usiadła obok Adama.

— Jedź!...

Konie porwały się szybko, i czując, że wracają do stajni, biedz szparko zaczęły.

Adam nie odzywał się wcale. Patrzył na jej ręce pokrwawione, czuł, że ramię jej opiera się o jego ramię. — Coś go dławiło. Chciał porwać te ręce i krew z nich zcałować. Nagle, wyjechali na polankę. Sarny, ciche wabienie, ryk jelenia przypomniały mu wszystko.

— Teraz za mną... o! jakaż to nędza! — myślał, łamiąc się rozpaczliwie.

— Ja sama do matki napiszę... — rozległ się niespodziewanie szept obok niego.

Nie wiedział dlaczego nie uczuł na to zwycięstwo żadnej radości. — Podniecona oporem ustępowała. To było widoczne. Duszy swej ani na chwilę w ten postępek nie kładła. — W imieniu konającego działał przecież. Niewolno mu było być dumnym. Musiał brać, co mu dawano.

Cicho odparł:

— Dziękuję!

Odczuła w nim, że ją przeniknął. Odsunęła się trochę. Przestała go palić swem ramieniem.

Jechali milcząc, oboje znękani i zmęczeni swoją obecnością. — Zbyt była silną na razie.

Gdy zajechali przed dom — wypadła z oficyny Haśka.

— Niech pan doktor się śpieszy... to jakoś tak dziwnie leży — boję się...

Adam zwrócił się do Wiśki:

— Niech pani telegrafuje... to konieczne.

Wiśka spochmurniała znowu — usta jej wykrzywił niepoczciwy grymas.

— Zobaczę!—wyrzekła, obrzucając chłodnem spojrzeniem Haśkę i Adama.

IX

Cicho, cichutko — po łąkach białe mgły się rozsnuły. Nic — tylko białe mgły. Z brzega widać sylwetki drzew, a dalej wszystko białe, tonące jakby w obłoku.

Taka dziwna noc.

Księżyc wysoko także biały — nie srebrny. — Na równiach tryska purpurą albo mleczną biel ściele.

Adam stoi koło łóżka Rydzika. Ten zapada w pół sen, graniczący już z utratą przytomności. Chwilami podnosi z ciężkością powieki, jakby jeszcze chciał przebić mrok.— I trudno mu, nie może.

Dwukrotnie tężały mu muskuły szyi— bełkotać coś zaczynał jakby się mocował z czemś potwornem niewidzialnem — i ustępował... milkł.

Adam blady, zdenerwowany — cały zamieniony w uczucie, pochyla się, niesie pozorną ulgę. Na nic nauka. Bezwładny jest, smutny tragicznie jak zawsze, gdy to potężne szydziło z wysiłków, przez naukę czynionych.

— Znów śmierć!... i nic... nic...

Za nim Haśka siedzi na kuferku i czyni wysiłki, aby nie zasnąć.

Adam podnosi oczy i spotyka się z bladą twarzą trójkątną za szybą obrazu.

— Gdzieś ty myśli — czy ci przeczucie kobiece nic w tej chwili nie mówi?

Dziw — dziw...

Oto za szybą okienka słania się druga taka twarz blada, trójkątna, obramiona pasmem czarnych włosów. Nie wyraźne to — ale jest rzeczywiste, żywe...

Haśka równocześnie zjawisko dostrzega.

— Jaśnie panna... — mówi szeptem.

W Adamie aż targnęło się wszystko.

Przyszła!... przyszła pod okno zbudzona litością nad umierającym. A więc sumienie, sumienie i... przebaczenie!...

Wybiega czemprędzej z chaty. Pragnie pochwycić Wiśkę za ręce — wprowadzić ją w tryumfie — pochylić nad konającym. Jakaż słodka rozkosz rozwieje się z tej chwili!

Wiśka przed nim ucieka. Biegnie ku parkowi w mgłę. Drogie, drogie stworzenie wstydzi się jasnych odruchów duszy. Ale on ją dogna i powie.

— Taką cię widzieć pragnę... taką...

Stanęła wreszcie i czeka na niego.

— Chodź pani, chodź... on jeszcze przytomny. — Ona nie idzie. Oparła się o rozwalony

płot, owinięta w fałdy szala. — Włosy ma rozpuszczone. Białe światło kładzie po nich śnieżne puchy.

— Dlaczego się pani opiera? Dlaczego ucieka? Ja panią przeniknąłem, zrozumiałem, co się w pani dzieje — to najpiękniejszy odruch pani serca...

— Więc niech idzie precz!

— Niech natychmiast idzie precz!

— Lecz kto? kto?...

— Ona... ta... ach!... mówisz, żeś mnie zrozumiał, dlaczego więc...

— Och!...

Adam porwał się mimowoli za głowę. Spadek był zanadto silny. Wiśkę przygnały pod okno oficynki niepoczciwe myśli, podejrzenia. Teraz każe gnać Haśkę, a on sądził, że budzi się w niej dobroć, że budzi się w niej kobieta.

Ona go nie pojmuje — szybko, gwiżdżąco prawie wyrzuca wyrazy:

— Można mi było tego oszczędzić... i mnie... i sobie... Takie coś, taka...

Gryzie wargi do krwi — ogarnia nią szał. Adam patrzy przerażony. Nie miał pojęcia o takiem rozpętaniu namiętności tych najniższych. I ogarnia go przesmutna rozpacz, bo czuje, że wszystko co chciałby uczynić w kierunku wyższym rozbije się o ten wał, utworzony ze steku najgorszych warstw, jakie ludzką istotę składają.

— Nic na to nie poradzę!... nic!... — mówi, patrząc na nią zrozpaczonemi oczami.

— Poradzisz, poradzisz... nie drażń mnie więcej, bo się potem za siebie i za ciebie wstydzę...

— Wiśka! Wiśka!...

— Ech! co? co? Wiśka... chodźmy!

Porwała go za ręce, wpiła mu w dłonie swe długie wyszlifowane paznogcie.

— Było ze mną nie zaczynać! — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

— Chodźmy!...

Pobiegła naprzód do oficynki. On szedł za nią zgnębiony, zawstydzony. — Nie w takiem usposobieniu pragnął ją przyprowadzić do łoża umierającego.

— Wynoś się stąd — wyrzekła krótko do Haśki, wchodząc do izby.

— Ktoś nam jest potrzebny...

— Obudź furmana, każ mu tu zaraz przyjść, słyszysz!...

Haśka nienawistnie, po kobiecemu spojrzała na tę drugą kobietę rugującą ją ze stanowiska. Wstyd i zmieszanie Adama wzmogło się. Nagle Rydzik otworzył oczy. Dostrzegł Wiśkę — lecz zamroczony już umysł nie umiał rozróżnić córki od matki. Wpatrzył się w straszny, tragiczny sposób. Przeszył ją niemal tem spojrzeniem. Oparła się o ścianę zmieniona, drżąca.

— Czego on chce?... czego on chce?...— szeptała.

— To obrachunek — odparł bezwiednie Adam. Stanął przy niej i podtrzymywał ją, bo słaniała się bezsilna.

— Jak on patrzy... jak on strasznie patrzy... Wlepiła przecież w niego źrenice, jakby urzeczone tragiczną potęgą jego wzroku.

— Ja mu przecież nic nie zrobiłam...

— Jesteś tego pewną?

— Nie, nie. To on mnie!...

I podrzucona siłą nerwów — rzuciła się od ściany.

— Puśćcie mnie stąd!...

Adam starał się ją zatrzymać.

— Podaj mu pani rękę!

— Nic! nic!...

— Już patrzy łagodniej, prosi o coś oczami!

— Puśćcie mnie stąd!!!

Owinęła się włosami jak welonem i rzuciła się we drzwi. Za chwilę słychać było łomot drzwi w sionce, i ucichło wszystko, razem z biegiem jej kroków.

Adam pozostał sam na sam z umierającym, którego oczy stawały się powoli szklanne i rozpaczliwie smutne.

X

Adam powrócił z cmentarza. Rano upadł śnieg i teraz topniał powoli, dręcząc po macoszemu resztki drżących i biednych kwiatków, tulących się w zmarzłe i pożółkłe masy bukszpanu.

Adam miał całą duszę pełną goryczy. Ten pogrzeb męża pani baronowej był tragicznie oschły, nędzny, potworny.

Wiały mu dwie chorągwie — jeden ksiądz zawodził cicho jakby się wstydził, jakby niechętnie spełniał tę ostatnią posługę, choć zmarły pogodził się z Bogiem...

Tak, tak się stało.

I Adam, siedząc teraz w swoim pokoju, widzi jasno — jak było, jak stało się to, że on właśnie w tej zgodzie pośredniczył.

Bo, gdy pozostał tak sam owej pamiętnej nocy z konającym — zwaliła się na niego ta góra niepewności, która go przy każdym skonie przytłaczała i brała za bary. Tak się to utarło — to niby poznanie nicości wszystkiego.

Niby przez te skalpele, tę bezbronną martwotę trupią, tę martwotę ćwiertowanych wołów lub krajanych rzep, buraków...

Nicość, nicość...

To było konieczne, razem z doktoratem, to być musiało.

Lecz coś nurtuje, coś w te chwile przedzgonne, gdy jeszcze bezwładność trupa nie występuje na plan pierwszy...

I ta myśl, czy mam prawo odbierać ostatnią pociechę, do której duch się garnie? Czy mam prawo niweczyć to, około czego wiła się nić życia? Ja? dlatego, że wiem ile łokci mają kiszki i jak się plączą nerwy w tem ciele?

Kto wie, jak rozpacznie w tej chwili pragnie ten milczący posłyszeć dzwonek, który mu zapowie Pana Boga...

Taki cichy, zbliżający się jakby gwiazda— dzwonek.

I za nim stuła... łagodne „Absolvo te...“ i dobre słowa.

— „Mój synu... czekają tam na cię...“

Na niego, nędzarza, o duszy obitej szczęściem życiowem, zranionej do głębi tak, że już miejsca niema na więcej ukłóć, na niego, na którego już nikt nie czeka i czekać nie chce...

— A przecież na niego czekają!...

Jaka błogość, jaka radość świta w mroku i pustce.

. . . .

. . . .

I dlatego wczesnym rankiem, gdy po odejściu Wiśki na progu oficynki pojawił się zaspany furman, Adam zwrócił się ku niemu.

— Jedźcie po księdza!... — wyrzekł krótko.

A gdy furman czapkę z głowy bezwiednie zsunął, dodał:

— Śpieszcie się!...

Furman odszedł cichy i nagle skruszony. To wielkie słowo padło.

— Po księdza!... będą go dysponować.

A do wezgłowia umierającego przystąpił Adam i wyrzekł wyraźnie:

— Posłałem po księdza!...

Oczy Rydzika otwarły się i wzniosły się ku górze. Była w nich tak wielka potęga wdzięczności, iż Adam zrozumiał, że ten z oddali tętniący dzwonek wypłoszy nawet pragnienie ujrzenia tej twarzy trójkątnej i rąk białych, gestem posiadania złożonych.

. . . .

Teraz już po wszystkiem. Niema Rydzika, jego klątew — garnków z kapustą — jego istoty, z którą niewiadomo co zrobić, gdzie podziać, aby była na swojem miejscu. Podziała się jednak jakoś...

Adam powoli pakuje swoje drobiazgi. Dopiero teraz ocknął się i czuje, że jest tu czasowy i zbyteczny. Tak go ta choroba, ta śmierć schwyciła, że nie czuł czem jest w tym światku, który do niedawna jeszcze nie istniał dla niego.

Wiśki od owej nocy nie widział. Całe dnie spędzał u Rydzika, ona się tam nie pojawiła więcej. Widział tylko światło w oknach jej pokoju. Światło nie gasło noc całą. Lecz coś tak przeogromnego stało pomiędzy nimi — ta śmierć — rzecz powszednia, codzienna, zwykła — a przecież porażająca swą potęgą i objawieniem swej głębi — że to, co ich wiążało — nikło i schodzić się zdawało na plan drugi.

Teraz jednak, gdy wszystko powracało do tak zwanego „normalnego" trybu, to drobniejsze brało górę. Życie tryumfowało, mszcząc się za to, iż przez chwilę musiało milczeć zwyciężone. I oto z mgieł i chaosu Adam zaczynał dochodzić do świadomości, iż kocha Wiśkę, kocha w jakiś dziwny sposób. Żal, litość, serdeczność wzmożona do potęgi. Nie wie, czy ta którą kocha, jest piękną i powabną, nie wie, czy bije od jej ciała prąd, przenikający go do głębi — nie jest harfą nerwów, trąconą zmysłowym powiewem.

Rozserdeczniło się w nim uczucie dla niej aż do łez, aż do najtajemniejszych fibr i drży, i łka i prosi się o nią, aby tulić — aby chronić..

Zmierzcha się.

Na dziedzińcu, zda się jeszcze, są ślady od wozu, na którym wieźli Rydzikowy trup do kościoła.

Tymi samymi śladami powiozą i Adama utro na kolej — powiozą het...

Zdaleka widać park. Złoty, żółty i bronzowy. Zda się przeszedł po nim pożar. I milczy teraz zacięty w swej nienawiści — tryumfujący, że ten, który sprawiał mu rany i darł jego pnie rozpustą kul — odszedł już precz z raną, która zeżarła mu serce — na nic, na szczęt!...

Do okna podszedł Tarajewicz.

— Pan doktor jutro jedzie?

— Tak!

Okno uchylone, ciepło dziś niespodzianie, gdy słońce przebiło zimną biel chmur — i teraz nawet, choć już błękit topnieje na opal jeszcze powietrze nie mrozi.

— Pan doktor się też u nas naużywał — mówi Tarajewicz, opierając się o okno.

— Nie po to tu przyjechałem.

— Tak, ale musiało się panu doktorowi przykrzeć. Teraz, jak się wyrwie, to sobie użyje.

Rozpustnie mruży oczy.

— Miasteczko? co? kobietki?...

Adam nie odpowiada nic, układa książki. Tak, tak — miasteczko... kobietki...

Widzi je obsypane pudrem, spryskane zapachami, włóczące się w jasności sklepowych świateł, lub ledwo odziane z tym grymasem, znanym mu tak dobrze, kryjącym w sobie ciągły jakiś ból — jakąś nieustającą chorobę.

Kobietka!...

Wszak i ona jest taką kobietką — ta blada Wiśka, którą on kocha, i która jutro, pojutrze,

słyszeć o nim nie będzie. I ona ma już ten grymas, wyczekującej w cierpieniu, na spełnienie swego przeznaczenia, i ona...

Kobietki!...

Jakież to straszne, tragiczne szyderstwo! Tarajewicz czuje, że trafił w złą chwilę.

— Pan doktor coś nie tego... no — to zmęczenie.

— Tak.

— A przecież, jak dobrze, że pani baronowa nie przyjechała... co?

— Nie wiem.

Tarajewicz odchodzi zwolna, myśląc, że on wie, iż jest dobrze. Kto wie, co Rydzik mógłby babie naopowiadać przed śmiercią. Strasznie ich szpiegował — wiecznie go mieli na karku. Wiedział dużo, za dużo.

— Teraz mordę stulił — śmieje się Tarajewicz.

Leciuchno drzewa parku mu wtórują.

— Teraz trzeba się do tej szkapy zabrać,— postanawia Tarajewicz.

Tam, pod brzozami — po siwą sierścią porosłej skórze Babci, przeleciał dreszcz. Pochyliła łeb.

I — czeka na śmierć.

Bo ten, który ją chronił...

— Stulił mordę...

Oh!... jak!...

. . . .

Już wszystko ułożone, nawet paski na pledzie ściągnięte.

Jakaś gorączka kierowała tem zbieraniem ubogich drobiazgów. To widoczne.

Teraz — Adam siedzi w kącie pokoju, czując przed sobą straszną, bezmierną pustkę. Taca z kolacyą stoi nietknięta. Na komodzie pali się świeca, która rozjaśnia tylko nieduży kąt pokoju. Trzeba stąd iść precz, bez możności powrotu — a zostawić tu tyle, że nawet niespodziało się, iż można mieć po za sobą tyle do zostawienia.

W tej j e d n e j bowiem zaczyna się teraz koncentrować dla niego wszystko. To, co chciał oddać z siebie najlepszego tysiącom, teraz by jej jednej złożył w ofierze. Wiśka, to synteza całej ludzkości. Kiedyś koledzy, drwiąc z rozczulenia jego na punkcie altruizmu — mówili mu; iż przyjdzie chwila, w której jedna istota skrystalizuje w sobie wszystkie jego myśli i pragnienia. Rwał się, przeczył — to niemożliwe!... Dziś — przyszło to na niego, a on, chcąc dać ze siebie to najlepsze, musi milczeć, musi odejść...

— Pójdę do ogółu!... — myśli — czyniąc coś dla niego i ją obejmę tym czynem. Może siła mej woli na odległość coś dla niej zdziała! Okno było wciąż otwarte, i cisza panowała tak wielka, jakby w opuszczonej świątyni, którą nawet nocne ptaki nie nalatują.

— Jaka żałoba!... — przemknęło przez umysł Adama.

I Rydzik mu się przesunął. Jeżeli... jeżeli się nie wszystko skończyło...

— Jeżeli...

Jakiż on mądry teraz, jak w jednej chwili posiadał tę świadomość, której żaden z żyjących najmędrszych nie posiądzie nigdy.

W jednej chwili...

Takiż głupi, biedny chłop.

A tu całe życie strawione na dociekanie tego, co przecież musi być ogromnie proste, ogromnie jasne...

. . . .

Zaszemrało nagle u drzwi.

W pierś Adama, jakby ktoś uderzył. Przeczuł ją — tam po za drzwiami, wahającą się, pomieszaną.

Chciał wstać, drzwi otworzyć — wyjść na jej spotkanie, ale lękał się poruszyć. Z zapartym oddechem — czekał.

Weszła.

Gdyby Adam nie był prostym, nieskomplikowanym chłopcem — odrazu uderzyłby go jej strój.

Była w klasycznej bieli, w długiej cienkiej wełnie i w pianie koronek. Włosy, związane purpurową wstążeczką, spływały na plecy. Z pod brzegów sukni wysuwały się czerwone, złotem haftowane pantofle.

Oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem. Zdawała się wychudłą i wyższą. Trzymała w ręku świecę, którą zgasiła, wchodząc do pokoju. Postawiła lichtarz na konsolce, i podeszła do stołu. Oparła się na nim ciężko, jakby wyczerpana. Chwilę tak stała — wreszcie osunęła się na fotel.

— Co będzie z nami? — rzuciła krótkim, urywanym głosem.

Adam powstał, lecz nie podszedł ku niej. Zaskoczyło go tak nagle. Był już prawie zrezygnowany, i nie spodziewał się niczego więcej.

Ona patrzyła na niego przez chwilę pałającymi oczyma.

— Więc, dla ciebie to wszystko, co się stało, jest niczem? — spytała, a głos jej drżał — czy sądzisz, że ja tak łatwo czynię tego rodzaju ustępstwa, że jestem jedną z tych waszych flirtów kołtuńskich, mieszczańskich?

Coś jakby ją zdławiło. Wyglądała nieprzytomnie. Chciał ją błagać, aby się uspokoiła, aby odeszła stąd — nie mówiła tych rzeczy banalnych, szargających jego uczucie po jakiejś utartej ścieżce powszednich zgrzytliwych flirtów — lecz lękał się rozdrażnić ją więcej i posłyszeć to, czego słyszeć się lękał.

Zresztą tu nie szło o to, co ona mówiła, tu szło o zuchwałość samego faktu, o to wtargnięcie do niego nocną porą, o to ślepe zdanie się na los, na fatalność, na to co o n z nią uczynić zechce.

I trzeba było nie chcieć — nie chcieć za jakąkolwiek cenę.

Tymczasem — Wiśka przez długą chwilę oddychała ciężko. Ta cisza przesycała się jej wielką namiętnością. Była nieskończenie piękna, długie paznogcie nadawały jej rękom kształt pazurów gryffa. Brakowało jej tylko skrzydeł — pochylenie głowy na wysokiem tle fotela dopełniało złudzenia.

— Dlaczego mnie nie chcesz?...

Jakie to było straszne, jakie to było tragicznie bezczelne, jakie to było przechodzące wszystko, co wymarzyć można.

Adam aż przymknął oczy, tak go ten cios dotknął. Lecz równocześnie przemknęło mu przez ten poczciwy, dziecięcy umysł, że on ją znieważa — że Wiśka ma na myśli małżeństwo.

I smutnym odpowiada głosem:

— Cóż bym ci dał w tem małżeństwie, Wiśka, cóż bym ci dał?

— W małżeństwie...

— !!!

— Nie, nie... nie jestem tak dalece bezinteresowną. Nie chcę cię wiązać i wlec się za tobą. Ja nie znam siebie, ja nie wiem, do czego jestem jeszcze zdolna. Wiem to tylko, że wtłoczone mam w siebie straszne instynkta... patrzyłam na straszne rzeczy!

To wszystko mam w sobie i wypluję może podłymi czynami. Jakże więc być żoną? jak?

Łamie ręce, drży cała.

Adam przypada do niej, klęka, za ręce ją chwyta.

— Nie mów tak, nie mów tak. Serce, uczucie cię osłoni...

— Serce? nie wiem nic o niem. Matka jedynie może w córce je zbudzić. Moja matka się o to nie troszczyła...

Podniosła się z krzesła wyniosła, smukła— ręce w górę rozwiała.

— Przeklęta jestem! Parya!...—odepchnięta... nikt mnie znać nie chciał... świat się mnie wyparł... nie na żonę... nie...

W Adamie serce rwie się na strzępy. Objął ją — tuli się do jej kolan.

— Nie mów tak... Ja cię kocham... ufam ci... połączymy się... będzie, co być ma.

— Nie! nie!... ja wiem, że może być źle — takie jest marne, głupie przysłowie o jabłku. I choć ty wierzyć mi będziesz, ja sama się podniecę — zasugestyonuję... Tak! tak!— i potem co? Z jakim Toczyskim, z jakim Rydzikiem — po kątach... jak... jak...

Straszny, nieludzki płacz zdławił jej ostatnie słowa.

— Jako kochanka... dobrze. Nic nie przysięgam, nic nie biorę na siebie. Gdy zdradzę, gdy pójdę utartą dla mnie ścieżką — to nie będziesz mieć prawa... A potem ludzie — ludzie. Cóż to? nie widzisz? Ja tylko mogę przestawać z mężczyznami — wszystkie uciekają odemnie. To jej córka! I pomyśl... byłbyś mężem tej

jej córki!... Każdy powie — Taka sama!... Ach! podłe, podłe!

Rwała na sobie odzież.

Pochyliła się ku niemu.

Włosy jej znów opadły na jego głowę— odurzająca woń owiała go. Pod ciemnym płaszczem zbliżała się ku niemu blada twarz, rozchylone usta.

— Jako kochanka...

Na czoło mu spadły jej łzy. Ostatnie, gorące.

I to wystarczyło.

Odsunął płaszcz włosów.

— Jako żona!

Nie. Zanadtom uczciwa... Jako kochanka!

— Zanadtom uczciwy — nie!...

Pochwycili się za ręce. Siła z nich biła. Oczy im płonęły naprzeciw siebie. Słychać było tylko wśród nocnej ciszy, jak dyszeli oboje ciężko.

— Idź stąd... — szeptał mężczyzna.

— Nie... nie...

Pozostawało jemu uciec, lecz instynktem czuł, że to będzie zbyt wielką dla niej obelgą.

Po raz pierwszy — on — na wskroś uczciwy, w kłamstwie dostrzegł możliwość wyjścia.

— Nie pojadę jutro... we dnie mówić będziemy!

Teraz, idź stąd! ja tego żądam!...

Wyprostowała się — otarła włosami łzy i patrzeć mu zaczęła prosto w oczy.

— Nie umiesz nawet kłamać — wyrzekła niskim, zmienionym głosem — a może, gdybyś się ze mną ożenił, miałbyś ciągle z kłamstwem do czynienia.

Poprawiła na sobie ubranie i skierowała się ku wyjściu.

— Pamiętaj! — wyrzekła, stojąc już na progu — że tej nocy z nas dwojga uczciwszą i szczerszą byłam ja, nie — ty! —

Wyszła.

Gdy drzwi się zamknęły — Adam mimowoli wyciągnął ręce w jej stronę. Ale ona nie wróciła, i Adam, upadłszy twarzą do ziemi, jakby ślady jej stóp całować zaczął.

. . . .

Zaszumiały drzewa parku cicho — niewyraźnie, i szum ten przebiegł równią w mgle białej skąpaną.

Tam, gdzie stają krzyże smukłe na kształt szarych Aniołów o rozpostartych wąskich skrzydłach...

Tam, gdzie nagle rzęd topól wytryska i bramuje jakiś niewidzialny grób nierówną ostrą kratą...

Tam, gdzie panuje w przestworzu wieczysta zagadka i zlewa się falami z rozwiązaniem przesmutnych pytań...

— Tam, gdzie dola jednostki tonie w doli wszechistnienia i zatraca swój ból, aby wspólną mękę na siebie przyjąć...

Tam płynie szum wichru i łkanie dwojga młodych, którzy popadli w błędne koło i dusze w niem swoje topią.

. . . .

On — przedziwny romantyk, mający wytłumaczenie wszystkich błędów dla drugich — dla siebie ostry jak kat.

Ona — kasztelanka, smukła — w jesienne barwy strojna, dziewica rozwiana Fra Filippo Lippi — z duszą sponiewieraną przedwcześnie, ze zwątpieniem zupełnem w cudowne źrenice, ze zwątpieniem w siebie, w uczciwość, we wszystko, w Cud!

. . . .

Po równi białej falami, delikatnie jak żałobna pieśń wizyi, które napróżno biją o witraże cichych kaplic, płyną łkania. Jakie one biedne, tragiczne, beznadziejne... Ludzkie łkania...

Modlitwy niewysłuchane...

Rozwiewne.

Jak mgły!...

I

— Pan ustąpi swego pokoju?

— Dobrze, panie dyrektorze.

— To będzie już raz ostatni.

— Ależ...

— Wypadek nadzwyczajny. Pomieścić musimy.

— W tej chwili — już jestem gotów.

— Niechże pan weźmie choć pled ze sobą.

— Mam palto.

— Tak, ale pacyentka może tu zabawić parę dni... więc...

— To przyślę Necia. Chodźmy.

W palcie watowanym, narzuconym na nocną koszulę, w filcowych pantoflach — idzie Adam szybko kurytarzem malowanym olejno. — Za nim postępuje kocim zwinnym krokiem dr. Strawicz, trzymając w ręku lichtarz z zapaloną świecą.

Długie cienie — załamane towarzyszą im. Dochodzą do balustrady wschodów.

— Czy mam iść przyjąć pacyentkę?

— Proszę! choć może ja...

Adam patrzy na pobladłą twarz dyrektora, nie lubiącego, gdy go „wyciągają z łóżka".

— Niech pan dyrektor idzie, ja sam to załatwię!

— Rzeczywiście, umieram ze snu.

Oddaje Adamowi świecę. Na dole w kancelaryi słychać jakiś szmer.

— Czy jest na dole?

— Tak!

— Co to?

— Nie wiem — zdaje się s a r c o m a. Nie czytałem jeszcze listu.

Adam naciąga palto, zapina je i schodzi na dół. Wielkie lustra, porozmieszczane na przestankach, odbijają jego postać. Rok minęło od chwili jego wyjazdu z domu baronowej. Wyrósł, wyciągnął się — dziecinny wyraz twarzy znikł i oczy mu zapadły.

Szedł cicho, lękając się obudzić te śpiące nędze, któremi całe Sanatoryum zawsze przepełnione było.

— Chwila złudzenia... snu... niech śpią. Na pierwszem piętrze przystanął. Zdawało mu się, że „numer 16" — świeżo operowany jęczy. Lecz było to złudzenie. Notaryusz z małego miasteczka, któremu profesor kilkanaście godzin temu rozcinał tak sprawnie brzuch i porządkował poskręcane jelita — zachowywał się cichutko

w swem żelaznem łóżku, zaścielonem ze szpitalną smutną czystością.

— Kogóż tam znów na dole zastanę? — myśli Adam, schodząc dalej — jakież nowe nieszczęście wyrwało się z ogólnych galer i idzie tu zbuntowane po ulgę... Kto ona?

Otwiera drzwi kancelaryi, pretensyonalnie umeblowanej. Mebelki filigranowe, porzucane na nich pluszowe kwadraciki, kilka sztychów banalnych, na których kobiety i kwiaty, kwiaty i kobiety — dywan zielony w duże róże.

Przy mdłem świetle abażurkiem przysłoniętej świecy jakaś postać raczej leży w fotelu. Fałdy rotundy opadły dokoła.

— Wreszcie! — mówi ostrym, zmęczonym głosem. Adam podchodzi bliżej — widzi delikatną twarz porcelanki saskiej — złote, sztucznie dokolorowane włosy wiją się nad czołem.

— Spodziewaliśmy się przybycia pani dopiero za trzy dni.

— Proszę mnie zaprowadzić — i pozwolić się położyć. Zmyliłam pociągi — jadę z dworca, umieram ze znużenia...

— Służę pani!

Ujął ją w pół i prowadzi na górę. Ogromna doza kobiecości wieje w szmerze jej sukien, w bieli woskowej jej rąk. Jest sama jedna, zjawia się tak wyczerpana, chora... Adam widzi jak na jej rzęsach drżą łzy. Podobno to śpiewaczka z operetki. Jedzie z Zakopanego. Przebyła jedną operacyę...

Och, słodka dziewczyno, Gejszo o złocistym wachlarzu, Fatinico strojna w jaskrawe paciorki — czy to ty się wleczesz wśród ścian Sanatoryum dzwoniąc brelokami u twych porte bonheur'ów?...

Ostatni akt... ostatni to akt, Heleno, żono Menelaja — może jutro, może za dni parę odpoczniesz.

Bez zmiany płyną tak dnie, płyną tak noce Adamowi w tem Sanatoryum. Wróciwszy ze wsi, chciał się jąć nauki, nie szło mu. Za mało miał siły aby porwać się z przeciwnością za bary. Przeszedł przez tak niezwykłe chwile, taki pożar przesunął się po jego ścieżce, iż nieprzygotowanym będąc — wyczerpał się na razie. A wyczerpało go nietyle samo przejście, ile raczej rozpamiętywanie i ciągłe przeżywanie tego, co minęło. Żył nią ciągle, tą kobietą o trójkątnej twarzy i ciemnych plamach oczów. Była koło niego wraz ze swymi dwoma cieniami równie jak one niepochwytna i tajemnicza. Bo napozór zdawać się mogło, że odkryła swą głębię, że z brutalną szczerością ujawniła to, co było jej treścią — a przecież Adam czuł, wiedział — że ona mu pozostała niepojętą i że nic z niej nie wie właściwie. Bo przecież poza tą, która z taką siłą leciała ku zadowolnieniu szarpiących ją zmysłów — była jeszcze ta druga, ta z dwoma cieniami, dochodząca w swej rozpaczy do samego skraju, godząca na siebie samą, na to właśnie narzędzie

rozkoszy — aby je unicestwić i zniknąć w tej formie swego bytu.

— Dlaczego szło mi o szablon, dlaczego koniecznie małżeństwo — myśli często Adam.— Byłbym ją tak kochał, tak uczył kochać — że stałaby się żoną, nie wiedząc nawet, nie czując przymusu. I byłbym ją ocalił!...

Dreszcz go przeszywa — dreszcz trwogi.

— Kto wie, co się z nią dzieje! A jeśli to najstraszniejsze, jeśli znów... nie zawsze los postawi mnie na jej drodze jak wówczas. Kto ją ocali!

Myśli o jej chęci samobójczej — lecz równocześnie obok niego przesuwa się jakieś pojęcie, że to nie jest tem najstraszniejszem. Są jeszcze inne możliwości potworne...

Gorsze niż śmierć!

Gorsze — gorsze.

Jakże się tu uczyć, jakże? — Przyjął miejsce w prywatnym domu Zdrowia jako asystent. Niema jeszcze do tego prawa, ale profesorowie operujący w Sanatoryum nie są bardzo surowi, i przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, nie robią mu trudności. Sanatoryum jest zawsze przepełnione, pacyenci czekają po hotelach na wolne miejsca — gnijące ciało ludzkie jest bowiem najpewniejszą lokatą. Adam jest sam — wraz z wiecznie znużonym dyrektorem, który robi wrażenie człowieka, żyjącego po nad zakreśloną mu linię. Czuwanie nad

pacyentami, nad ich gorączką, opatrunkami, przygotowywanie sali operacyjnej, wygotowywanie kilku kompletów narzędzi, asystowanie przy operacyach, podnoszenie na duchu chorych — tysiączne szczegóły wiecznej walki z bezustannie kołaczącą śmiercią — z początku absorbują zupełnie Adama. — Klijentela Sanatoryum różni się najzupełniej od tej sfery, która zapełnia szpitalne sale. Adam wchodzi pomiędzy ludzi, którzy mają za co chorować.

Niemniej przecież jednakowo gniją, rozpadają się na strzępy i jednakim głosem jęczą wśród nocy. Chloroformowani ryczą z równą rozpaczą bezsilną — a tylko w noce bezsenne tamci częściej wołają:

— O Jezu!... o Maryo!...

Powoli przecież z tych cierpień ogólnych, wyłania się ból serdeczny i niepokój jego własny, i zaczyna być już nie w nim, lecz obok niego tak, że staje się jego nieodłącznym towarzyszem. I rzecz dziwna, w każdej chwili— przy każdem cierpieniu zwłaszcza kobiety, mdlejącej mu w ręku w przeddzień operacyi, w każdym jęku cichym — przedłużającym się łkaniem— Adama trąca o wspomnienie Wiśki.

I gdy pochyla się do opatrunku, gdy taką chorą koi spojrzeniem, gdy tym, którym chloroform wzbroniony zaciska krępujące je do stołu operacyjnego rzemienie — wciąż coś o struny jego duszy trąca i jakby on jej oddawał te

przedzgonne usługi, czy jakby ona stała tuż blisko i współczuła z nim samym...

Nie wie już nic, nie może pojąć jaki to ma związek — a przecież ten związek jest, jest bezsprzecznie.

Ten *mój* ból, ten *ich* ból spływają w jedno — myśl.

I zaraz wyłania się dalej.

Jej tak samo jak im *nic* pomódz nie mogą... nie... chcą, szarpią ze siebie całą wolę, wszystką nerwową siłą i nic... Tu ciało rozpada się w zgniliznę — tam dusza... *jej* dusza. I ja nic nie mogę!

. . . .

Bo — przyszło na niego to najstraszniejsze — to, które razem z siwemi włosami na lekarzy nachodzi.

Po tysiącach wysiłków, tysiącach prób, w czasie których nerwy jak siatka drżą wytężeniem, nadzieją, niepokojem, w których zużywa się rozpęd młodzieńczy i przeznaczona na całe życie siła — przychodzi taka chwila...

I staje oko w oko.

Lekarz opuszcza ręce.

I mówi...

— Nic nie mogę!

Mówi cicho, do siebie — w duszę swoją.

Lecz — mówi.

— Nic nie mogę!

To już jest — straszne takie przejrzenie prawdy, takie starcie się zupełne, takie przyznanie się do przegranej.

— Nic nie mogę!

A przed nim i za nim bieży ciągle fala chorych, i jęczy — prosi — domaga się, rozkazuje.

A on nic nie może!

O straszne chwile ciszy, gdy z wytężeniem przytulone do ścian postacie śledzą biegnące po papierze pióro. Recepta... „rp.“ nowa recepta! Teraz ta prawdziwa, ta uzdrawiająca... I już wstępuje nowa nadzieja, byle tylko ta recepta...

Doktor pisze...

A sam do siebie mówi z bezbrzeżną melancholią.

— Ja nic, nic, nie mogę!

. . . .

Z Adama starła się nagle ta siła młodzieńcza i stanął na progu świątyni Śmierci— bezsilny i nieuzbrojony.

Nie siłą bowiem i rozpędem przepojony był cały — lecz — Miłosierdziem.

Błękitne anioły współczucia utkały jego duszę.

A szedł w królestwo śmierci. I ręce miał pełne kwiatów litości a nie stalowych błysków.

Drżał zapinając rzemienie, krzyk operowanego przenikał go do głębi.

. . . .

— „Oswoisz się“ — mówili mu koledzy.

. . . .

Miast oswoić się — popadał w coraz większą tkliwość.

. . . .

Bo to był „dobry“ — tylko „dobry“ chłopiec.

Nic więcej.

Bartnikiem mu być, pomiędzy pszczołami, wśród szarych ulów w cichym bardzo cichym sadzie.

Z miodnych łąk dolatuje brzęk, z kwietnych łąk dolatuje szum.

On siedziałby cichy i jasny i patrzył jak biegną złotym pyłem obsypane pszczoły i nikną, nikną.

Rolnikiem mu być i o złotem południu iść w łany żyta srebrną morą się mieniące.— I garnąć w rozwarte nozdrza chlebną woń, a w siebie rozkoszny poszmer kłaniających mu się w pas kłosów.

Nauczycielem mu być pokornym i pracowitym, który wczesnym różowym rankiem o drgającem złotem powietrzu do róż swoich się garnie, do róż, których krzaki wyprosił po świecie i pod oknem mu kwitną w noc księżycową rozwijając delikatne liście.

Wszystkiem tem mu być tylko nie lekarzem i nie rozkochanym w Wiśkach.

. . . .

Dziś wycinano nerkę i skrobano kość, jutro od świtu sala operacyjna czysta, biała jak sypialnia pensyonarek — zajęta.

O dziewiątej wycinanie raka w piersi tej bladej nauczycielce, która ciągle się modli i obrazek przywieziony ze sobą do ust ciśnie; o jedenastej łamanie nogi źle zrośniętej młodziutkiemu chłopcu; o pierwszej trepanacya czaszki...

To dosyć. Więcej czasu nie starczy. Dnie krótkie. Inni niech czekają swej kolei. Adam karnecik zamknął i czysty fartuch wdział szybko.

To białe ubranie, ten kaftanik zapięty aż pod szyję nadawał mu jakieś bardzo młodzieńcze piętno. — Coś się jednak w jego twarzy zmieniło. Nie było to dziecięce w kącikach ust, które mimo wszystko się tam czaiło.

Staje na stanowisku ktoś co także sam przeszedł ból. Nie fizyczny ale ból także, od którego kurczy się i mdleje serce. I dziwne mu to chwilami. Przecież ostatecznie niby się tak mu przez życie tylko przemknęło a tak się wżarło podle, nie ludzko.

Ach! jak podle.

Właściciel Sanatoryum bardzo z asystenta rad.

I operatorowie chwalą go. Komplety narzędzi jak lalki — chorzy chcą go mieć przy sobie do ostatniej chwili, wdzięczny wzrok go ściga.

— Nic dziwnego kobiety — mówi jeden, drugi — ale mężczyźni.

— Czem ich zyskuje?

A on tylko ma dla nich wielką dobroć i czuje z nimi razem.

Nawet taki biedny jakiś posesor, co się przywlókł ze swego kąta i przywiódł ze sobą nieodłącznego żyda. Tego żyda uwiązał za palec na noc i każe mu spać na sofie. Ciągnie za sznurek, żyd się zrywa. Otwarli posesorowi brzuch — popili się z żydem wieczorem po operacyi. Adam całe noce czuwał później nad nieprzytomnym i miał dla niego pełno dobrych słów i tkliwości.

— To bydlę... — mówił profesor.

— Nie — to c h o r y — odpowiadał Adam.

. . . .

Bo on odczuł, że „chory“ to cały osobny świat, smutny — dziwny — pełen majaczeń — szalonych zachceń — dziecięcych rojeń — śmiertelnych trwóg i tęsknot. Tam dusza na odlocie drży, jęczy, płacze.

Tam dusza na odlocie trwoży się i kaja. I ten obrachunek dni ubiegłych...

Długi — walący się ciężarem ziemi na wieko trumny.

I myśl, że się już wszystko „skończyło“. Dla jednych pustka, lodowata, głucha.

Dla drugich ołtarz kwiecisty, strojny i gwarny.

Lecz i tu i tam — zakończenie.

— I — obrachunek.

To... najstraszniejsze... A najgorsze, że w tym świecie chorych jest nawet pomieszczenie na zjawiska proste i nieskomplikowane.— Prawdziwe obrazy wiszące nad łóżkiem kucharek z tańcem czarownic, kotłem, dyabłami w czerwonych przepaskach. — Kultura, wykwinty estetyczne — cała harfa wieków, wiedza, idee snopami siły bijące huragany kataklizmów dziejowych — to wszystko... nic, nic.

Mały światek chorych oddzielił się niemal murem nieprzebytym i poza nim drży, jęczy, trwoży się — ma nadzieję — wątpi...

Wszystko — wszystko.

. . . .

I Adam w ten światek wszedłszy, żyje tem życiem drobnem, gdzie przeczucie słońca cieszy, gdzie mucha brzęcząc ciągnie za sobą oko i wywołuje uśmiech, gdzie są z drobnych dla zdrowia faktów tragiczne katastrofy a z katastrof drobne pyłki.

— Jestem jak oni — myśli Adam wsłuchując się w monotonny głos chorej utyskującej na złe zestawienie obiadu.

— Barszcz... komput ze śliwek...

Aż łzy jej z oczu płyną. Wychudzone ręce drżą. Adam myśli, że ta kobieta jest sama, że całą noc obrachowywała się ze swem życiem, że tylko jęk wichru w piecu koił jej ból i żal — i przejmuje się jej bólem i żalem...

— Śliwki i barszcz...

On co innego wyczuwa w tej banalnej skardze łagodnie, serdecznie stara się odwrócić złe myśli. Przyniósł właśnie w fartuchu małego białego kotka. Ten kotek to jego wielki sprzymierzeniec. — Pomaga mu nieraz w najcięższych chwilach. — Położony na łóżko chorego biały, miły, puszysty wyciąga aksamitne łapki. I wielka tragedya „zakończona“ — przecięta jakby bielą nenufara opadłego na martwiejącą toń zaklętego stawu. — Uśmiech zakwita. Coś drobnego, pełnego wdzięku dziecięcego tuli się i wdzięczy. Takie drobne małe kocię!...

Dyrektor Sanatoryum szydzi z Adama i jego kota.

— Z pana dziecko! Przyznam się panu, że asystent powinien mieć więcej powagi!— Adam nic nie odpowiada. Ale — on już wyczuł, że nie na rozdawaniu trucizn i błyskaniu skalpelem zawisła siła lekarska. Coś innego. To— coś lepszego.

. . . .

Czasem — gdy Adam wyjdzie z Sanatoryum „na świat“ i nagle go uderzy ten ogrom energii, którą ludzkość rozprasza i rozrzuca często bezcelowo z lekkomyślnością szaleńców — czuje się przerażony i wszystkie fibry drżeć w nim zaczynają jakby z trwogi.

— O przyszłości myślą — tłomaczy — działają w szerokim kręgu, rzucają wielki siew, ścinają zmurszały las, czynią miejsce dla nowych, świeżych sił...

I czuje się nędzny, drobny, mały ze swą łagodną mową i rękami siostry miłosierdzia.

I ogarnia go zwątpienie.

— Czy jestem potrzebny? — czy to co robię nie jest tylko zamąceniem przebiegu koniecznych wydarzeń? — Czy nie mając sił ani pędu do wielkiej pracy wydatnej i płodnej w następstwa nie powinienem raczej usunąć się w zupełny cień lub... zniknąć? — Przebiega go dreszcz. Pchnięciem noża przebiega mu przed oczyma wizya kobiety o dwóch cieniach sunących wzdłuż muru i potem huk tramwaju.

— Co to? — myśli — co to?

I przyśpiesza kroku. Powraca do Sanatoryum, porywa fartuch, stuka do drzwi. Wszędzie spotyka go radosny uśmiech.

— A... pan asystent!

Czasem blada, bezkrwista twarz od poduszki się odrywa.

— Bez... kotka?...

I to co wydawało mu się śmieszne, głupie i drobne zaczyna rość do rozmiaru rzeczy głównych. Wywołanie uśmiechu na usta drgające bólem, złagodzenie choćby chwilowe rozdzierającego jęku pokrywa ważnością swą ogrom idei jak snopy tryskających sił i potęga przyszłości.

Och! ten światek! ten drobny, mały światek chorych jak garnie ku sobie, jak chłonie— choć nic nie żąda, o nic nie prosi — tylko z poza mgły łez, tylko tym cichym jękiem...

Adam już nie myśli, że jest nieużyteczny, że zginąć powinien. Nie oblicza marności swych sił, niema pogardy i trwogi — lecz stara się być w tym światku tem czem mu być sądzono.

. . . .

Zbliża się termin dwutygodniowego urlopu Adama.

— Pohula pan sobie trochę... — śmieje się dwuznacznie dyrektor.

Adam uśmiecha się z przymusem. Ten odpoczynek ubiegłego roku przedstawia mu się jak szereg dni niemiłych w czasie, których jakaś kasyerka z zakładu fotograficznego czepiała mu się u ramion, proponując przechadzki po parku miejskim. Dziewczyna była na pozór miła o dużych błękitnych wylękłych oczach. W zbliżeniu pachniała nadto tanim Chyprem, miała dużo materyału na sentymentalną kokotkę i niewyczerpaną dozę kłamstw prawie subtelnych.— Adam czuł się nią bardzo szybko zmęczony i ogarniał go ciągły niesmak i jakaś dziwna gorycz. Anna nie kryła się nawet z tem, iż uważa ich znajomość za coś bardzo przelotnego.

— Gdy wyjdę za mąż... — powracało bezustannym refrenem na jej usta.

Rozeszli się bez porozumienia a po prostu przestali się widywać. Adam uczuł ogromną ulgę, gdyż przez cały ten czas odpędzał od siebie myśl o Wiśce. Sądził, że mu to przyniesie pewne ukojenie. Tymczasem po radości

z jaką dusza jego wróciła do dawnych bolesnych wspomnień zrozumiał, iż był w błędzie.

— Więcej tego szukać nie będę — postanowił sobie.

Dlatego, gdy dyrektor podsuwał mu myśl „przehulania“ urlopu, uśmiechnął się smutno.

— Nie — pojadę raczej na wieś! — odparł.

— Wyborna myśl... pokój pana mi właśnie potrzebny.

— Właściwie jeszcze nie wiem...

Lecz dyrektor uczepił się tej myśli rad, iż na dwa tygodnie znów wynajmie pokój asystenta.

— Przeciwnie — jedź pan. Świeże powietrze wybornie panu zrobi. To nawet konieczne.

Jesteś pan blady, przenerwowany. Jako lekarz każę panu wyjechać...

Adam rozumiał wybornie pobudki tej troskliwości. Wstyd mu było za tego człowieka, który w obłędnej chęci zrobienia „pieniędzy“ — tracił miarę i takt.

— Dobrze... pojadę... — odparł.

— A kiedy?

— Pojutrze.

— Wybornie. Więc ja telegrafuję do pacyentki — że może przyjechać.

Coś jakby bezwiednie szarpnęło się w Adamie.

— Kto to? — zapytał.

— Ktoś ze wsi...

Dyrektor patrzył uważnie na swe paznogcie. Zdawał się jakby zmieszany. — Wreszcie dodał:

— Pan nie zna... a potem... to tajemnica.

— A!...

Dyrektorowi widocznie zależy na tej pacyentce—pilnuje wyjazdu Adama. Sam, wbrew zwyczajowi przyszedł przypilnować przygotowania pokoju. — Wniesiono jakiś fotel w białym pokrowcu, anemiczną palmę, opięto firanką stolik i ustawiono na nim pożyczone przez panią dyrektorową srebrne lustro.— Pomywaczka ubrana w czysty kaftanik i fartuch miała za osobną „dopłatą“ — udawać wykwalifikowaną dozorczynię... Nad wieczorem przyniesiono niewielki bukiet żółtych nicejskich róż, które pan dyrektor ustawił własnoręcznie na biurku obok atramentu i wody kolońskiej. — Róże były smutne i zmarznięte. Zdawały się konać powoli i z rezygnacyą. Adam patrzył na te wszystkie przygotowania z jakąś odrazą. Coś nim targało, coś niezrozumiałego. Po raz pierwszy żałował, iż pozwolił dyrektorowi rozporządzać tym pokojem.— Raczej było drzwi zamknąć... myślał przygryzając usta. Gdy wreszcie znalazł się na dole i w sali jadalnej pił herbatę, mając przy sobie zniesioną z góry walizkę, niechęć ta wzrosła jeszcze więcej.

— Czy to egoizm? — zastanowił się— dlaczego gniewa mnie to, co wypełniałem

kilkanaście razy chętnie i bez jakiejkolwiek przykrości...

Starał się więc nie myśleć więcej o tej sprawie. — Usiłował wyobrazić sobie swego wuja księdza, do którego jechał na te dwa tygodnie. Czy bardzo zmieniony? Czy to posunięcie się w lata nie przyniosło mu nowych myśli, nowych a szerszych poglądów na to co ludzką zbrodnią i złością mienił?...

Zegar w jadalni wybił dziewiątą godzinę. Chrapliwie rozległy się te dźwięki w ciszy wieczornej. Tylko zdaleka, od kuchni rozlegał się głuchy łoskot zrzucanych na stos talerzy i piskliwy głos opowiadającej coś pomocnicy kucharza. — Adam miał jechać za godzinę. Usunął się jednak wcześniej ze swego pokoju bo pociągiem o dziewiątej miała przybyć oczekiwana pacyentka. — Adam powstał od stołu, i przeszedł do saloniku. Paliła się tu lampa przysłonięta zielonym abażurem. Adam usiadł na fotelu z pąsowo lakierowanej trzciny i tak pozostał nieruchomy. — Ogarnęła go ta zwykła u niego trwoga, która go zwykle ogarniała w chwili powrotu do „świata". — „Znów uczuję się niczem... pomyślał ze smutkiem" — ogarną mnie rzeczy wielkie i przygniotą swym ogromem.

Cicho zaturkotały koła powozu przed oknami Sanatoryum. Dyrektor dla reklamy kazał pewną przestrzeń ulicy wyłożyć brukiem drewnianym, co wzbudziło wielką sensacyę w całej

dzielnicy.— Czuwał widocznie gdzieś ukryty, bo Adam posłyszał jak z góry wydawał rozkazy portyerowi i służbie. — Drzwi wejściowe otwarły się i Adam posłyszał kroki kilku osób.— Szmer sukien, niedyskretny szelest jedwabiu, jakiś głos kobiecy przyciszony — mówiący coś jakby po francusku — i wreszcie umilkło wszystko. Adam siedział ciągle nieruchomy, przyciskając palcami powieki. Nikło to wszystko w pyle unoszącym się z katafalków, stert oblanych srebrnym blaskiem księżyca.

Boże! Boże!... mimowoli cisnęło mu się do ust i serce mu drżało bólem dni minionych.

Jak długo tak siedział nie wie sam. Skrzyp drzwi otwieranych od sieni budzi go. Podniósł głowę i widzi jak dyrektor do niego plecami unosi portyerę i wprowadza kogoś do saloniku.— Widocznie chce przejść z tą osobą do kancelaryi, do której trzeba przejść przez salon. — Gdy odwróciwszy się dostrzega Adama jest już zapóźno. — Prostuje się i ukazuje ręką drogę.

— Przejdziemy tędy...

Po chwili wahania dodaje:

— Mój asystent.

I zaraz do Adama się zwracając:

— Sądziłem, że pan już na kolei.

Adam nie odpowiada nic wpatrzony w idącą za dyrektorem kobietę.

. . . .

Jest to wysoka, tęga dama o płowo - złotych włosach umiejętnie uczesanych w spiętrzone nad

brwiami fale. — Bogate futro nurkowe odziewa ją niemal do stóp — gronostajowe klapy śnieżne plamy na pierś kładą. — Wielki tok z nurków strojny pomarańczowym rajerem okrywa jej włosy. Jest bardzo strojna, bardzo biała, bardzo szeleszcząca, pachnąca. — Sunie zwolna przez salon, zajmując sobą wiele miejsca. Adam wpatrzony w jej twarz, w jej oczy ma wrażenie, że tę kobietę zna oddawna, że patrzył na nią godzinami całemi, że te zbyt czarne oczy ciemniały przed nim z jakichś mgieł, z jakichś chmur w chwilach tragicznych czyjegoś istnienia...

Lecz gdzie? kiedy?

Okrągła, nalana tłuszczem twarz kobiety rysami swemi nie przypomina mu nic a przecież targa się w nim cała jego istota i budzi, i drży każda fibra bólem nieokreślonym.

I nagle, nagle w świetle lampy dzieje się rzecz niezwykła. Kobieta przechodząc już u drzwi kancelaryi odwraca się i obrzuca spojrzeniem Adama. Wytwornie, ładnym ruchem skłania głowę a równocześnie uśmiecha się. W kącikach jej ust przez mgnienie oka mignęło coś białego, coś dzikiego...

Uśmiech tych kobiet z równi płowych. Z parków bramowanych złotemi strzałami.

Gdzie poranione drzewa strząsają deszcz szumiących liści.

Gdzie wicher rozwiewa jęczące gałęzie jarzębin.

A szare sarny, wrzosy różowe roztrącają wpadając do alkowy lasu...

I dreszcz przebiega, dreszcz od kobiecych rozmodlonych ciał tryumfalnym Hymnem wszechmocnego Piękna.

I ręce wyplątujące się z gęstwy czarnych włosów opadają skrzydłami biorących w posiadanie.

I tak już ciążąc pozostają.

. . . .

Złotowłosa kobieta znikła za portyerą.

Adam stał długo wpatrzony w miejsce, z którego zeszła — niepewny, spłoszony, jak ptak z gniazda.

II

Dwa tygodnie przewlokło się jak ciężka jesienna chmura. — Adam wraca do miasta. Siedzi w wagonie trzeciej klasy. Żółte światło lampy świeci nad nim a przez okna resztki dnia płyną. Adam przymknął oczy i siedzi w swym kącie nieruchomy, zasłuchany w siebie. — Ciągły niepokój go szarpie. — Zwłaszcza tam na wsi, w tej ciszy ubogiej plebanii cierpiał najwięcej, chcąc uwięzić myśli drżące i błądzące dokoła Sanatoryum. Starał się zająć tem co go otaczało. Lecz — ani wuj skostniały coraz więcej w swych zapatrywaniach, ani ten lud o duszy i stroju pół łyków miasteczkowych, ani wreszcie to otoczenie, z którego powoli ulatywała poezya prymitywnego piękna nie były w stanie trzymać jego myśli na uwięzi. Kilkakrotnie wyzywał wuja na dysputę; ten starał się po dawnemu zawiązać z nim wymianę myśli, lecz ociężał — zrobił się mniej jasny, zgorzkniał i na wszystko wzruszał ramionami, i chwilami nawet zdawało się Adamowi, że wuj

śledzi go z pewną ironią i ten wzrok mieszał go i denerwował. Gdy pozostał sam biegł natychmiast myślami w miasto, jakby tam był jakiś magnes rwący go ku sobie. Przymknąwszy oczy słyszał szelest sukien, głosy za portyerą i nagle błyskały przed nim usta uśmiechnięte a w uśmiechu tym dwa drobne kły i wielka gąszcz złotych, dziwnych, nienaturalnych włosów.

A potem — ogarniał go niepokój straszny, niemożliwy. Ten mały światek chorych, do którego wracał zawsze jak poza murem odgrodzone schronienie, rozwichrzył się nagle i zamącił. Jak? dlaczego? nie wiedział. Czuł to jednak i lękał się a mimo to dążył całą siłą aby czemprędzej się tam dostać. Pociąg pędził z całym pośpiechem pogwizdując wesoło. Podjeżdżał ku miastu. Białe światło elektryczne wmieszało się w podwójne oświetlenie wagonów. Adam zdjął walizkę i stał przy drzwiach a na twarz mu wybiegły wypieki. Zdawało mu się, że tam koniecznie już coś się stało i że ta katastrofa jego dotyczy. Gdy dorożką podjeżdżał do Sanatoryum uczucie to wzrosło.— Pragnął przedewszystkiem dostać się do swego pokoju i zamknąć drzwi za sobą. Myślał, że znajdzie tam uspokojenie. Gdy wbiegł jednak na wschody — zatrzymał się niezdecydowany.— Dech mu zamarł w piersiach. Widział już drzwi swego pokoju lecz teraz właśnie uderzyło w niego uczucie ogromnego lęku. I cicho zszedł na dół szukając dyrektora.

Znalazł go w salce operacyjnej przyglądającego się rozścielaniu nowego na podłodze płótna kauczowego.

— A... pan powrócił? Właśnie miałem telegrafować, że przedłużam panu urlop o dwa tygodnie.

— Dlaczego?

— Sanatoryum pełne... pokój pana jeszcze zajęty — potrzebny mi będzie na jakie dwa tygodnie.

— To drobnostka. Będę jak dawniej sypiał w kancelaryi.

Twarz dyrektora rozjaśniła się.

— Bardzo to poczciwe z pana strony. Ja już upadam ze znużenia. Zaraz panu zdam chorych. Są dwa ciężkie wypadki. Jutro mamy Rydigiera dwa razy i Marsa raz. Zaraz pan się zaprzęgnie do pracy.

— Najchętniej.

Wyszli razem. Przy wschodach zatrzymał się dyrektor. Widocznie chciał jeszcze coś powiedzieć. Wreszcie wskazał głową na górę.

— A tam... do swego pokoju... niech pan nie wchodzi. Chora nie życzy sobie nikogo z tutejszych,.. ma swoich lekarzy. Ja jeden tylko. Zresztą ona za dwa tygodnie opuści Sanatoryum. Pan rozumie?

Tak!

W pół godziny później Adam odziany w swój fartuch i biały kaftanik szedł z dyrektorem wzdłuż jasnych ścian i pukał do drzwi,

poza któremi był mały światek — drobny rozmiarami a taki wielki tragicznością swą i bólem chwil przecierpianych.

. . . .

Wszedł w ten krąg—lecz nie uspokoił się wcale. Ucichło w nim tylko to jakieś rwące i najgwałtowniejsze. Był jednak ciągle jakby na straży, jakby na czuwaniu. I przypominały mu się te noce dziwne, w czasie których jarzębina szumiała delikatnie po szybach dworu a on siedział nieruchomy podczas, gdy opodal z gąszczu włosów czarnych bieliła się dziwna twarz trójkątna.

Wiśka!...

Nie odganiał już myśli o niej. Przeciwnie wżywał się w te wspomnienia z całą siłą. Była mu teraz dziwnie jakaś blizka i oczy jej czarne, ogromne świeciły mu ciągle z poza rozpiętej szeroko siatki ciemnych włosów. To znów złotem błyszczące pantofelki migotały z pod rąbka białej sukni. I nagle wykwitała jak amfora z czarnego onyksu smukła i prześliczna na wierzchu katafalka srebrnej sterty i wyciągała w rozpyloną dal dłonie z tęsknotą przeogromną za przestworem i wolnością...

Zmieniał się obraz. Lekka i młoda obiegała trawnik rozwiewając w strudze słonecznej zielono-złoty szal — a śmiech dzwonił jakby harfa rozegrała się w ten dzień pogodny i ciepły. A potem park ją tulił, park wyniosły jak

ona garnął ku sobie jej dumne ciało złocisto-białe — odziane w zieleń wełn podnoszących królewski majestat jej ruchów.

Dokoła złociste kraty — po nad nią korony liści, u stóp paprocie i mchy, przed nią purpura octowych drzew.

Rajski ptak!... och!... rajski ptak!

. . . .

Adam spełnia swe obowiązki gorliwie. Zapracowuje się. Nocami ciągle obchodzi chorych — patrzy, słucha pod ich drzwiami. Gdy ma przechodzić koło swego pokoju doznaje lęku. Boi się, aby te drzwi nie otwarły się nagle i ta tajemnica tak pilnie strzeżona nie stała się mu wiadoma. Przyśpiesza kroku. Tłumaczy sobie to pewną mimowolną urazą za brak zaufania. Do tej chwili był dopuszczany do wszelkich tajemnic tego rodzaju. Podwaja więc swą gorliwość względem innych chorych, jakby czując dla nich wdzięczność za to, że mu ufają. Niemniej przeto ciągle jest niespokojny i podrażniony.

— Cóż to? — myśli — czy nerwy moje już się rozprzęgły. Stanowczo trochę za wcześnie. Nie zrobiłem przecie nic — nic.

Nagle — jednego dnia, spada na niego grom nieprzewidziany — który zdaje mu się trudny do przeniesienia.

A dzieje się to bardzo prosto — tak jak zwykle dzieją się największe i najbardziej stanowcze fakta w naszem życiu.

Z góry — schodzi ku niemu, stojącemu na wschodach posługaczka przydzielona do pilnowania tajemniczej pacyentki i podaje mu zwinięty kawałek papieru.

— To od tej pani, proszę pana doktora.

— Od której?

— Od tej z pańskiego pokoju.

— Do mnie?

— Tak — powiedziała, że do pana asystenta.

Adam papier rozwija. Czyta tylko słów kilka:

„Jestem tutaj. Chcę pana widzieć.

Wiśka.“

— Ona! ona tu!... ona!...

Posługaczka stoi i patrzy zdumiona.

— Co mam powiedzieć?

— Dobrze... przyjdę.

Dziewczyna idzie ciężko na górę. On wbiega do sali operacyjnej, która jest właśnie pusta, uprzątnięta po świeżo odbytej operacyi. I nigdy chyba nie zapomni wrażenia z jakiem przepędził tych chwil kilka sam na sam ze sobą, uczepiony konwulsyjnie u białej oszklonej szafki, poza którą błyszczy się stal narzędzi.

Pod czaszką ma chwilami pustkę, to znów huczy war myśli. Ona tu — więc chora. Tajemnica — ta najstraszniejsza! Wiśka!... Tak być musiało. Zostawił ją tam, samą. Więc stało

się to najgorsze. I przyszła aż tu... jest obok niego!

Jakież to straszne, jakież to okropne. Ileż on cierpi! Nie miał wyobrażenia, że ludzkie serce znieść może tyle bólu.

Skrzyp drzwi. Ktoś idzie. Stoi przed nim posługacz.

— Proszę pana asystenta, przywieźli tę waryatkę ze szpitala.

— Ach... idę...

Zdaje mu się, że odrywa świeżą ranę od jakiegoś przestwora, który mu był przytuliskiem chwilowem i niesie ją pomiędzy szalejące potwory, które pazurami swych własnych cierpień drapać ją będą. — Idzie za posługaczem i gdy wchodzi do jednego z pokoi, na środku którego stoi drobna, wychudła postać kobieca — ma w oczach tyle własnego bólu, iż zdaje się niema tam miejsca ani na dobroć, ani na litość, ani na odbicie cudzej niedoli.

Waryatka zwraca się ku niemu i patrzy nań prosto oczyma, które raczej do ran są podobne niż do kobiecych źrenic. I płyną z nich dwie strugi łez, nieustające, gorące, ciągłe. Ta kobieta rozpłakała się kiedyś snać tak gorzko, że utulić nie może ją ani czas, ani niczyje ludzkie słowo. — Dwie rany łez. I trochę skóry pożółkłej, zapadła linijka ust, włosy bez koloru... taka straszna nędza, takie bezgraniczne morze nieustannych cierpień, że nic nie zdoła

oddać ani określić tego wyrazu, z jakim cicho, bez ruchu, waryatka patrzy na Adama.

Jakiś prąd uspokajający Adama płynie do niego z wzroku chorej. Coś przypomnienie obowiązku — powrót na ścieżkę wybraną, na ląd z fal wzburzonych i rwących. — Waryatka podsuwa się pod okno. Oczy wciąż płaczą, na usta uśmiech wykwita.

— Niema krateczek... mówi — niema krateczek, dobra nasza, można będzie wyskoczyć, drugie pięterko!...

Adam już jest przy niej, już cały targnął się na myśl możliwego samobójstwa jeszcze przed tą operacyą żołądkowego wrzodu konieczną i bardzo śpieszną. — Wiśka, otrzymana kartka niknie mu z pamięci. Ujmuje waryatkę pod ręką, pociąga od okna, drugą ręką przyciska dzwonek, przywołuje służbę. Chora wyczerpana osuwa mu się na ręce. — Drży cała zdenerwowana, skomli — jęczy i płacze ciągle, a gorące łzy moczą ręce Adama. — Ułożywszy ją na łóżku Adam podaje jej trochę wody chloroformowej i korzystając ze stanu sennego każe ją przenieść do jednego z parterowych pokoi opróżnionego przed godziną. — Dyrektora niema, wyjechał na parę dni do Wiednia — jeden z ginekologów - profesorów ma za pół godziny odbyć operacyę kystu — Adam ma tylko dość czasu aby przygotować salę, sprawdzić czy należycie przeprowadzają dezinfekcyę chorej. Zastaje pacyentkę, kobietę jeszcze młodą lecz strasznie

wynędzniałą w stanie najwyższego lęku i rozstroju. Ciśnie do piersi przyniesiony z domu obrazek Matki Bożej i wybladłemi usty powtarza:

— Och! Matko Boska ratuj!...

Jest to matka kilkorga dzieci, uboga i zapracowana. — Czuć w tem oddaniu do Sanatoryum tragiczny wysiłek wielkiej nędzy pragnącej ocalić choć życie kosztem wszystkiego. — Kobieta nie targa się — nie protestuje — wie, że tak być musi, że napróżno nie wydaje się tyle pożyczonych pieniędzy — lecz trwoga jej jest tak straszna, tak rozpaczliwa, iż Adam z trudem znaleźć może słowa otuchy pokrzepienia, pociechy.

Gdy wreszcie wychodzi od niej, na wschodach spotyka tulącego się do ściany człowieka w wyszarzałem palcie. I tu znów zalęknione oczy patrzą na niego przez łzy.

Adam odgaduje, że to „mąż“ — który cierpi, który się lęka, który może... przeczuwa.

— Panie doktorze... czy... aby...

I reszta słów ginie prawie w łkaniu. Ta blada kobieta tam na górze, tuląca w tej chwili obrazek jak tarczę — jest wszystkiem dla niego. — Kochanką, żoną — przyjacielem, pomocnikiem, czeladnikiem, kucharką — wszystkiem co świat dać jest w stanie. I to „wszystko“ idzie pod nóż — to „wszystko“ — przymocowane rzemieniami będzie krzyczeć tak strasznie aż osłabnie, zamilknie...

— Bo jej chloroformować nie można.

— Tak, tak wiemy...

— Bo proszę pana doktora, serce.

— Tak, tak...

Turkot na dole, profesor przyjechał. Mąż usuwa się.

— Ja poczekam u portyera — mówi zdławionym głosem.

I Adam patrzy jak schodzi powoli zgarbiony, cichy. — Mija się z profesorem zajmującym wiele miejsca w swem wspaniałem futrze. Jest chwila, w której zdaje się, że tamten rzuci się do tej ręki, która przynieść ma ból i zbawienie — i zacznie całować ją i prosić aby stała się zbawcą — lecz profesor idzie ciężko i wyniośle. Nie dostrzega nawet nic po drodze. Wzrok ma znużony i prawie szklanny. Więc ten w zniszczonem palcie przyciska się tylko do ściany i kłania się nisko, pokornie — jak żebrzący jałmużny. — Poza profesorem idzie jego asystent, cień swego szefa. Obaj wchodzą do pokoju przylegającego do sali operacyjnej. Adam udaje się za nimi i od tej chwili całą jego duszę, istność wchłania tragiczność aktu operacyjnego i jego drobiazgowa ścisłość.

. . . .

Nie pamięta o Wiśce, nie pamięta o sobie, gdy bierze wychudłe ciało kobiety na ręce i z łóżka kładzie je na nosze.

Nie pamięta o sobie, nie pamięta o Wiśce, gdy sprowadza te nosze po wschodach powoli, ostrożnie kierując posługaczami. A potem, sam

zdejmuje znów z nosz wpół martwą kobietę, układa ją na stole operacyjnym w jasnem świetle olbrzymiego okna i zasłania jej jak ksiądz jałmużnik skazanemu na śmierć gilotynę, tak on szafki i szklanne płyty pełne narzędzi i przyborów.

Kurczowo chwytają go ręce wychudłe, oczy rozszerzone wpatrują się w niego, i następuje cisza śmiertelnej trwogi przed nieznaną potęgą, przed owym szokiem nerwowym, który zabija moralnie i cieleśnie w jednej chwili z szybkością pioruna.

A tam na dole, Adam wyczuwa przez mury, przez oddalenie — taką drugą parę oczów, taki dech wstrzymany, ręce zaciśnięte...

To mąż, który z natężeniem całej swej duszy przedziera się myślą i czuje nóż, czuje ból, i nic nie może tylko szepce:

— „Matko Boska ratuj!"

Prawie się ściemnia, gdy Adam zdołał uwolnić się ze swych obowiązków i stanąć wreszcie sam na sam ze sobą. I ogarnia go szalona trwoga. Musi tam iść, musi się z nią zobaczyć. Lecz jak? co jej powie? Jak ją przywita? I to on trwoży się, wstydzi, cierpi za tę kobietę, za tę dziewczynę, która mu w serce się wpiła.

Gdy wreszcie ujmuje za klamkę i wchodzi do pokoju jest blady jak płótno a drży jak jego chorzy, gdy wnoszą ich do operacyjnej sali.

Niesie swą duszę na wielką torturę i wie, że niczem jej uśpić nie będzie już w stanie, bo stało się to najgorsze — i nic faktu samego nie zatrze.

W pokoju panuje prawie zmrok.

Lampa nie zapalona. Tylko w piecu pali się czerwono płomień i płynie falą wąską krwawego światła na podłogę. Struga ta opływa stopy i nogi siedzącej przed piecem na niskiem krzesełku postaci. Snopek iskierek migoce na końcu złotem haftowanego pantofelka. Biała wełniana, fałdziata szata rozsunęła się dokoła po ziemi. I tylko jeszcze występują ręce Wiśki splecione poniżej kolan z jakimś gestem rozpaczliwym. W rękach tych Adam poznaje całą Wiśkę. Blade są, wychudłe, rasowe, nerwowe.

Te ręce są ciągle zbuntowane lecz ten bunt już łamie a nie podnieca, — jęczy a nie bluzga przekleństwem. — I następuje wielka cisza.

. . . .

Wiśka odwróciła się ku niemu i patrzy — a on nie widząc tych wielkich czarnych bezdennych źrenic wyczuwa je i mdleje pod ich wrażeniem. — Ciemna gąszcz włosów opada z ramion na białą szatę i kryje czoło, kryje pasmami policzki, ramiona — Wiśka!

Ona — ona cała. Tylko milcząca, cicha — jakby ku ziemi przyciśnięta.

Co powie? Jakim krzykiem buntu odezwie się znowu, jakim śmiechem pełnym ironii smagać będzie i siebie i swe życie?

. . . .

Cisza przecież panuje. Wiśka wciąż patrzy na Adama a on wzrok jej czuje i chłonie go w siebie teraz jakby napój pełen goryczy. Wreszcie rozplotły się jej ręce i jakby burzą zważone dwie gałęzie bluszczu marmurowego pomnika opuściły się ku ziemi.

— Czekam tak długo! — dał się słyszeć głos z ciemni.

I dziwne — głos ten w niczem nie podobny do głosu dawnej Wiśki. Cichy matowy— prawie pokorny. Bardzo kobiecy, bardzo mięki— głos kobiet, które już z bólu jęczeć umieją...

Adamem targnął ten głos do głębi.

— Zajęty byłem — tłumaczy się wdzięczny, iż pozwala mu mówić banalnie — dyrektor wyjechał...

Lecz ona przerywa mu skinieniem ręki.

— Wiem, wiem... — czekałam na jego wyjazd — a potem chciałam być już silniejsza, gdy pana zobaczę.

— Pani wiedziałaś, że ja tu jestem?

— Tak. Dlatego wybrałam to Sanatoryum.

— !!!

— Sądziłam, że umrę. Chciałam żebyś mi pan oczy zamknął.

— Ja wyjechałem.

— Dowiedziałam się o tem już po pana wyjeździe. I było mi wtedy strasznie. Nie miałam już nikogo.

Dłońmi zakryła twarz. — On stał ciągle opodal, i myślał, że ona przecież nie zastanowiła się jak straszny ból mu zada, żądając w takiej chwili jego obecności. I sam nie wiedział czy być jej wdzięczny za to bezgraniczne zaufanie, którego chciała mu dać dowód, czy powiedzieć jej, że zbyt wielki ciężar chciała mu cisnąć na duszę tem właśnie bezgranicznem zaufaniem. Lecz milczał i trawił w sobie te sprzeczne uczucia, które fermentowały w nim i przepełniały mu serce całą lawiną skłębionych wrażeń.

Wreszcie Wiśka oderwała ręce od twarzy. Zasunęła się głębiej w fotel tak, że płomień kładł jej purpurowe plamy na piersi i ramiona.

— Chodź pan bliżej... usiądź przy mnie! — wyrzekła cichutko.

Wziął krzesło i usiadł przy piecu zapatrzony w migocące złoto jej pantofelka. Przypomniał sobie jak na wsi patrzył raz także długo na te złote arabeski wysuwające się z pod białych fałd jej sukni. Lecz teraz czuł jakby lodowy wał dzielący ich dwoje. — I zrozumiał jak wielką ulgą było mu to, iż nie wyciągnęła do niego ręki, oszczędziła mu zbliżenia się,

które strachem go i dreszczem przejmować zaczęło.

A ona znów mówiła słodkim jakby dalekim głosem.

— Mimo wszystko, nie straciłam pana z oczu. Wiedziałam co się z tobą działo. Och! nie wszystko. Mniej więcej. Głównie to gdzie byłeś. Czułam, że może nadejść chwila, w której będę cię szukała wzrokiem i sercem. Chwila taka mogła być tylko... na krawędzi grobu. Urwała — wreszcie po chwili dodała.

— Nie było mi sądzono umrzeć jeszcze, ale mimo to nie mogłam oprzeć się chęci zobaczenia cię znowu. Nie wiem jednak czy dobrze zrobiłam... Zamilkła znów jakby czekała, że jej coś odpowie, że pozwoli jej dalej zadość uczynić tej konieczności wypowiadania się jaką mają prawie wszystkie kobiety.

Lecz on milczał, a tylko w nim wzbierała się chęć ukryć twarz w dłonie i wybuchnąć strasznym przeogromnym jękiem. Bo była mu ona znieważonym majestatem Dziewictwa nieprzyozdobionym świętością Macierzyństwa.

Bo była mu ona ciszą pogodnych kwiatami pokrytych cmentarzy nagle rozszeptaną rwącym na strzępy serce głosem.

Bo była ona porankiem wiosennym, w który wdarła się smuga chmur ohydnych, żółtych, kłębiących się brudem oparów śmietnisk ludzkich.

I była mu ona kobietą nieumiejącą już spojrzeniem swem rozwijać lilije.

A uśmiechem usypiać gołębie.

. . . .

O dziewczęta Fra Filippo Lippi!... o dziewczęta smukłe i jasne tańczące korowody złączone wstęgą rąk... o dziewczęta!...

A przecież ona jest teraz taka inna, taka słodka, głos jej płynie bez buntu, choć postać zachowała dawne linie. Lecz głos ludzki to muzyka duszy i ten właśnie maluje jej nastrój. Anioł duszy człowieka na rozpiętych strunach jego głosu gra pieśń, która mu drży w głębi.

Nie patrz na zmianę twarzy.

Wsłuchaj się w głos! w głos!...

Lecz koło uszu Adama ten głos zmieniony Wiśki biegnie — jeszcze go nie pojął. Zanadto cierpi, patrzy na nią i walczy.

I ona milknie, jakby już nie śmiała, jakby marło w niej powoli to co się rwało ku niemu, to co przed nim wypłakać chciała. Cisza zupełna. I tak siedzi przed sobą tych dwoje a pomiędzy nimi jest jakiś trup (nie ich miłości) ale gorzej — bo ich serc, tego najlepszego co było w nich, co ginie, przepada, zamiera...

Do drzwi ktoś stuka.

— Proszę pana asystenta — zdaję się, że na 18 gorączka.

— A... idę.

Zerwał się.

— Przepraszam, chorzy...

Ciemne oczy Wiśki przeprowadzają go do progu. Skurczyła się, jakby zmalała. Twarz

jej powlokła się szarością. Ciężko jej przeżyć tę chwilę. On to czuje, rozumie — ale nie jest w stanie nic więcej dla niej zrobić. I postępuje śpiesznie do progu jakby się lękał, że ona wyciągnie ku niemu ręce i że on będzie musiał te ręce ująć.

I nagle po za sobą słyszy cichy, pokorny głos:

— Pan jeszcze do mnie przyjdzie?

— Tak, tak... jutro... nic pani nie trzeba?...

— Nic.

— Dobranoc!

Wyszedł, i na kurytarzu oparł się o ścianę, tak mu było strasznie słabo fizycznie z tego wysiłku, przez jaki przeszedł.

— Och jakież to straszne!... — myślał— jakież to okropne!...

Pobiegł do chorych, pragnąc zagłuszyć w sobie wszystko, nie zastanawiać się nad niczem. Ręce miał lodowato zimne i grzać je musiał, zanim się do chorych zbliżył. — Do późnej nocy biegał, czuwając. — Nie rozbierał się wcale. — Na chwilę spróbował zasnąć na małej kanapce w kancelaryi, lecz rzeczywistość brutalnie zwaliła się jak stado rozwścieczonych zmor. Porwał się i pobiegł czuwać przy rano operowanej. — Leżała w gorączce i cicho wymawiała imiona męża i dzieci. Uśmiechała się przytem słodko. Adam usiadł w nogach łóżka na krześle i słuchał jej szeptu. Pomyślał o miłości, z jaką w tej chwili mąż tej kobiety

rozmyśla o swej żonie, i ogarnęła go straszna gorycz.

— Są szczęśliwi... — łkał w głębi, przejęty zazdrością do tego mizernego biedaka, który mógł z całą ufnością i uczuciem zwracać się ku tej wychudłej, poranionej nędzarce, tak godnie dźwigającej majestat kobiecy.

— Są szczęśliwi...

Świt przebijał się zwolna, szary, ciężki, ołowiany. — Połyskliwa barwa szpitalniana występowała ze ścian. Gorączka u chorej opadała.— Otworzyła biedne, zmęczone oczy i wpatrzyła się w Adama.

— A... to pan doktor... — wyszeptała— jaki pan dobry, że pan tu siedzi — dziękuję!

Powstał, otulił to biedne wychudłe ciało.

— Nie, nie — wyrzekł — to j a pani dziękuję za to, że tu mogę siedzieć.

. . . .

Ale kobieta nie zrozumiała, co przez to chciał powiedzieć.

III

Przez następny ranek Adam snuł się kilkakrotnie dokoła drzwi pokoju, zajmowanego przez Wiśkę.

— Wejdę, muszę wejść — postanowił.

Lecz tchu mu brakowało. Chciał pochwycić się banalnego faktu, gdy ktoś trzeci będzie pomiędzy niemi, i wejść wtedy na krótką chwilę.

— Nie mogę inaczej — myślał — to nad moje siły.

Lecz służba wcześniej załatwiła sprzątanie, podczas wizyty zwykłego lekarza Wiśki, Adam nie mógł narzucać się swoją obecnością, i południe minęło, a Adam nie wszedł do jej pokoju.

Czuł przecież, że jest to dla niej zniewaga i że każda chwila tę zniewagę powiększa.

— Nie mogę... nie mogę...

Posłał dwukrotnie z zapytaniem, czy nic nie potrzeba. Służąca wracała z odpowiedzią

przewidzianą „nic!“ — I za każdym razem doznawał ulgi, jakby ominęło go coś bolesnego, coś wstrętnego, co miał wykonać.

. . . .

Bo — niestety, nie należało się łudzić.— Zbliżenie się do Wiśki wydawało się teraz Adamowi wstrętne.

To było bardzo ludzkie — to było bardzo naturalne.

Po raz pierwszy Adam doznał tego, czem jest wstręt fizyczny z moralnym złączony. I oto — on, który sądził tak surowo tych, którzy ze wstrętem odwracają się od ludzi lub faktów, on sam musiał bezczynnie asystować, jak z jego głębi dobywało się mimo jego woli uczucie straszne, wrogie, złe, dobywało się jakby jakiś ptak drapieżny o strasznych szponach i mocarnych skrzydłach i owładało nim z potęgą brutalną i bezwzględną. — Jak porażony stawał co chwila, ścierając pot z czoła — przerażony tem, co się w nim działo. Lecz bez żadnej walki poddawał się, rad prawie, że dostaje jakiś puklerz, który przygniata w nim jego ból, jego uczucie miłosne i czyni go odpornym, zimnym, jakby tężejącym stopniowo.

— To... wstręt... — mignęło mu błyskawicą.

A potem wyraźniej:

— Mam do niej wstręt.

Gdy uczynił to odkrycie, zbiegł jak szalony ze wschodów i chwilę przebył sam w saloniku na dole.

— Wstręt... — powtarzał, trąc czoło— wstręt...

. . . .

Dnia tego nie było żadnej operacyi. Profesorowie jednak odwiedzali swych pacyentów, i Adam musiał naturalnie asystować przy tych wizytach. Starał się być spokojnym jak zwykle i zajmować tylko chorymi. Przychodziło mu to z trudnością. — Wysiłek był ciężki, lecz Adam pokonywał go. I znów przeszedł koło drzwi Wiski. Cisza panowała za nimi zupełna. Sam zdziwił się uczuciu prawie nienawistnemu, z jakiem na nie spojrzał.

I poszedł dalej — do innych chorych.

Nad wieczorem powrócił dyrektor. Natychmiast poszedł do Wiśki. Adam dojrzał to z uczuciem ulgi. Lękał się bowiem, że nie idąc do niej, nie spełnia obowiązku lekarza względem chorego. Obecnie — dyrektor uwolni go od tej troski.

Lecz, w kwadrans później odszukał go w laboratoryum, przy analizie krwi jednego z chorych, podejrzywanych o malaryę.

— Pan odwiedził w czasie mej nieobecności pacyentkę na górze? — zapytał, nie patrząc na Adama.

Adam w pierwszej chwili zmieszał się.

Czuł, iż nie może powiedzieć, że Wiśka wezwała go sama.

— Musiałem tak uczynić — odparł krótko, nie przerywając swego zajęcia.

— A... więc to dawna pana znajoma?

Adam brwi zmarszczył.

— To moja i jej rzecz, panie dyrektorze— odparł jeszcze suchszym głosem.

Dyrektor ramionami wzruszył.

— Wogóle nie wiem, czego się pan gniewa — wyrzekł — sądziłem, że panu te panie są obce, tembardziej, że matka, przechodząc wtedy wieczorem przez salon — nie dała poznać, iż pan jest jej znajomym.

— Ja znam tylko pannę.

— A... a... tak, to co innego. Zresztą, nie wchodzę w to. — Panna jest kapryśna i zmienna. Z początku miała być wielka tajemnica, nawet przed asystentem miejscowym i to było wyraźnie zastrzeżone. Obecnie panna baronówna, życzy sobie, ażeby pan ją odwiedzał. Zdaję więc panu najchętniej te obowiązki, tembardziej, że ja jutro wyjadę znów na parę dni do Przemyśla.

Adam szybko porwał się z miejsca. Tafelka szklanna, którą lokował pod lupą wypadła mu z ręki.

— Chciałem prosić, aby mnie pan od dozorowania nad stanem zdrowia tej pani uwolnił.

Obleśna i trochę fałszywa twarz dyrektora zmieniła się na chłodną i nieprzystępną maskę.

— Przepraszam — wyrzekł — lekarz jest lekarzem i żadnych pobocznych względów niema. Tu są t y l k o c h o r z y. Pan zdaje się zapomniał o tem.

Powiedziawszy te słowa, dyrektor wyszedł cicho, zamykając drzwi za sobą.

Adam pozostał sam, a dokoła niego snuły się ciągle słowa:

— Tu są tylko chorzy... tylko chorzy...

Lecz to dźwięk bez echa.

Ci „chorzy“ — to byli wszyscy inni, tylko właśnie nie o n a.

. . . .

„Zrozum mnie—pisał w godzinę później—zrozum i uwolnij, nie badaj, nie pytaj—nie mogę cię widywać. Ciebie właśnie — ciebie przedewszystkiem. Dlaczego chcesz tego, kiedy to jest niepodobieństwem. Uwolnij mnie. W imię dawnych wspomnień, proszę cię, uwolnij!“

List ten posłał na górę i całą duszą pragnął jedynie milczenia. Gdyby jednak tak się stało, doznałby — zawodu. Nie rozumiał tego, a przecież tak było w rzeczywistości.

Nad wieczorem dopiero nadeszła karteczka. Kreślona nierówno, zdradzała wielką nerwowość, szarpiącą rękę, która pisała:

„Nie uwolnię. Muszę cię widzieć pomimo, że jest to prawie prośbą o jałmużnę. — Czekam. — W.“

Mimo to Adam nie poszedł. Wiedział, iż wieczorem zaglądał na górę dyrektor. Jako lekarz więc był uspokojony. Jako człowiek stał na rozdrożu. Wieczorem skorzystał skwapliwie z propozycyi dyrektora, aby się przeszedł po mieście. Wyszedł już około dziesiątej i zaczął się plątać bez celu, po ulicach, unikając zgiełku i wrzawy. Mimowoli zaszedł na tę ulicę, na której z pod kół tramwaju wyciągnął Wiśkę. Spojrzał w ciemną jamę zaułku, i cała scena przytulenia się jej do jego piersi, potem odtrącenia, stanęła mu żywo przed oczami.

— O dwóch cieniach...—myślał—o dwóch cieniach.

Gorycz przeszyła mu serce.

— Zabijać się chciała... taka dumna, a dziś... I z kim? z kim? Czy to Toczyski?—pewnie on! och jakie to wstrętne...

Opłynął go znów wstręt do niej, do jej matki, do tego całego gniazda, przesyconego zezwierzęceniem. — Trumna Rydzika, żałobny śpiew dyaka wyjący rozpaczną modlitwą po ścierniskach i ta kobieta ze złotą fryzurą—opięta futrami o rudych połyskach...

— Obie... obie...

Zaczynał mieć w sobie ponurą zaciętość stryja. Przyczyny, początek rzeczy niknął w jego wzburzeniu.

Gdy wrócił późno — wchodząc do bramy nie podniósł głowy, i nie spojrzał na okna pokoju, zajmowanego przez Wiśkę. — Wiedział, że nie śpi, że tam drżą jej oczy w bladem świetle lampki — ale nic o nich wiedzieć nie chciał.

Obie... obie... — powtarzał z goryczą.

. . . .

Los złączył go prędzej z Wiśką, niż mógł przypuszczać.

Rano odjechał dyrektor. Adam, który prawie był zdecydowany podziękować za miejsce, wynaleźć następcę i opuścić natychmiast Sanatoryum — został tym nagłym wyjazdem zaskoczony. — Zrozumiał, że dyrektor zrobił to umyślnie — przeczuwając, że Adam zechce mu uciec i — nie wiedział, nie mógł zrozumieć, co się dzieje pomiędzy baronówną i jego asystentem, ale znał zanadto dobrze z opinii baronowę i Wiśkę, aby nie wyczuł jakiegoś romansu, który mu był bardzo nie na rękę. Zanadto mu Adam był wygodny i cenny. Chodziło mu bądź co bądź o zatrzymanie go nadal.

— Niech się to utrze bezemnie — myślał jadąc na kolej — gdy mnie nie będzie, Adam musi ją odwiedzać, i coś tam jakoś się to ułoży...

Adam odrazu zrozumiał dyplomacyę dyrektora. Postanowił jednak pod pozorem przepełnienia Sanatoryum i niemożności podołania samemu tej pracy — wziąć do pomocy jednego

ze starszych kolegów. Na niego zda odwiedzanie Wiśki i całego drugiego piętra, pomyślał. W tym celu napisał bilet do jednego ze zdolniejszych i poważniejszych medyków, wysłał go, a sam zaczął odwiedzać chorych umieszczonych na parterze i pierwszem piętrze. Prędko pochłonął go jak zawsze obowiązek. Przestał na razie myśleć o Wiśce. U jednego z operowanych nastąpiły niespodziewane komplikacye. Wielka troska ogarnęła Adama. Szczęściem nadszedł profesor, który wykonał ową operacyę. Adam dopomagał mu w zmienieniu opatrunku. Profesor był spokojny, a nawet żartował z trwogi „dzieciaka" — jak nazywał Adama. — Ten, słysząc głos swobodny i żartobliwy, odetchnął.— Profesor odszedł, a Adam odprowadził go aż do drzwi wejściowych, słuchając szybko dawanych poleceń. Gdy wracał na górę, uczuł się nagle lekki tak, jakby zbył się jakiegoś strasznego ciężaru.

— Chwała Bogu... — powtarzał — chwała Bogu...

Nagle, na zakręcie wschodów pomiędzy parterem a pierwszem piętrem, ujrzał postać kobiecą idącą powoli pod górę. Była do niego odwrócona plecami i okryta długim płaszczem.— Szła z widocznym wysiłkiem, a biała suknia wlokła się za nią z pod fałdów płaszcza. Górne światło matowych szyb spadało na jej głowę pochyloną i pokrytą masą zbyt czarnych włosów.

— Wiśka! — pomyślał Adam.

Zkąd wracała? — poco zeszła? — Wprawdzie tędy była droga z łazienek, ale Wiśce robiono kąpiel w pokoju, wsuwając gotową już wannę i wysuwając ją tą samą koleją. — Widocznie jednak było, że nie zważając na tak troskliwie strzeżoną tajemnicę, Wiśka dziś zeszła aż na dół i teraz wracała powoli, jakby wyczerpana lub jakby czekająca...

Pierwszą myślą Adama było cofnąć się do portyera i tam przeczekać, aż baronówna wejdzie do swego pokoju. Lecz nagle Wiśka zachwiała się — pochwyciła i puściła poręcz, poczem osunęła się na klęczkach na dywan wschodów. W jednej chwili — Adam zapomniał kim jest ta kobieta. Miał przed sobą chorą — tylko chorą. Rzucił się ku niej, podniósł i otoczył ramieniem. Gdy podniosła ku niemu swą twarz białą jak opłatek i spojrzała głęboko zapadłemi i podsiniałemi oczami, Adam widział tylko wycieńczony i schorowany organizm anemią i brak sił.

— Proszę się na mnie oprzeć — ja panią zaprowadzę.

Powoli dopomagał jej wchodzić na wschody. Pozwoliła prowadzić się jak dziecko. Czuł, że drżała cała. Zatrzymała się chwilę i bardzo cicho wyrzekła:

— Taki mam szum w głowie...

Odparł żywo:

— To osłabienie. Dlaczego pani zeszłaś na dół i to sama?

Nie odpowiedziała mu nic. Tylko coś, jakby delikatny, różowy cień zaczął wysuwać się jej na lica. Lecz i to znikło. Gdy Adam wprowadził ją do pokoju, była blada i zimna. Ułożył ją na łóżku i otulił. Sięgnął do dzwonka, lecz ona zatrzymała jego rękę.

— Nie chcę nikogo... tylko pan jeden.

Zamknęła oczy i dodała szeptem:

— Och!... gdyby umrzeć!

. . . .

Rano spadł śnieg i dziwny biały blask napełniał pokoje. Przez muślin białych świeżo wypranych firanek wpływały jakieś niejasne wspomnienia wigilij mroźnych, ranków świątecznych pełnych życzeń — i woni sosenek.— W tym nastroju, który zawsze białe światło śniegowe ze sobą przynosi, leżała nieruchoma Wiśka — kredowo-blada, z rękami złożonemi na piersiach, gestem ostatnim, grobowym.

— Och! gdyby umrzeć...

Z pod bezmiernie długich, cienistych rzęs spływały łzy. Wolno toczyły się po zapadłej twarzy gładkiej, przejrzystej — drżały lekko jak rosa na płatkach kwiatu i spadały w puch włosów.

I te łzy właśnie przypomniały Adamowi, kim jest ta „chora“ — której starań odmówić nie mógł. — Jej łzy zaczęły go kłuć jak uderzenia sztyletu. Odwrócił oczy i pragnął, aby

znów ktoś wszedł po niego, aby powstał pożar — aby coś się stało nagłego, co wyrwałoby go z tej strasznej, rozpaczliwej sytuacyi.

Ona zdawała się odgadywać jego myśli.

— Nie uciekaj... — proszę... — wyszeptała.

Milczał.

Podniosła się z wysiłkiem i usiadła na łóżku.

— Proszę... niech pani leży...

Przerwała mu:

— Pozwól. Jesteś wreszcie przy mnie, więc muszę ci wszystko powiedzieć...

— Nie, nie... nic wiedzieć nie chcę!

Płomień przebiegł po jego żyłach. Cofnął się przed możliwością tej spowiedzi.

Patrzyła na niego przez mgłę łez.

— Komuż powiem, jeżeli nie tobie? — wyrzekła z prostotą.

— Mnie właśnie nie powinnaś mówić!

Nie rozumiała widocznie ciągle.

— Ty jeden przecież byłeś mi prawdziwie blizki i drogi — wyrzekła.

Niezwykłość sytuacyi pchnęła go w dziwną banalność uczucia.

— Dałaś tego dowód! — rzucił przez zęby.

— A!...

Potarła rękami czoło, które pokrywało się kropelkami potu.

— To nic nie dowodzi! — wyrzekła po chwili z widocznym wysiłkiem — dałam ci większy dowód wtedy, gdy przyszłam do ciebie

i ofiarowałam ci bezinteresownie, bez zastrzeżeń moją młodość, moje życie, siebie całą...

— Nie chciałaś jednak być moją żoną.

— Tak. I zdawało mi się, że właśnie w ten sposób przekonam cię, iż nie mam żadnych chytrych myśli, że nie chcę wołać na pomoc prawa, świadków, całego aparatu, aby obwarować i pętać cię przy sobie... Jak byłoby później, gdybyśmy ty, i zwłaszcza ja, przekonali się, że możemy być naprawdę małżeństwem — to już los by pokierował... Prawdopodobnie bylibyśmy wzięli ślub... Tak sądzę. Ale na razie — — kochałam cię i nie umiałam ci dać innego dowodu miłości.

Opadła na poduszki widocznie wyczerpana.

— I bardzo za tobą tęskniłam!... — dodała ciszej, a łzy jej znowu z pod rzęs przymkniętych płynąć zaczęły.

Wydawała mu się niepojętą w tem wszystkiem, co mówiła. Widocznie oddzielała swe czyny od swych uczuć i chciała, aby on je tak przyjmował. Ofiarowywała mu kwiaty swych uczuć, rezerwując sobie wolność sądu o swych czynach. — Serce łopotało się w nim jak ptak zraniony.

— Czegóż teraz chcesz odemnie? — zapytał ją twardo.

— Chcę się przed tobą uskarżyć, użalić.

— Przedemną?

— Właśnie tylko przed tobą.

Zbliżył się szybko do łóżka — pochwycił jej zimne wystygłe ręce.

— Kobieto! — zawołał — czyś ty zupełnie z uczucia obrana? Czy ty nie rozumiesz, co się we mnie stać musiało, gdy dowiedziałem się i zrozumiałem wszystko?

Patrzyła mu prosto w oczy i odparła drżącemi usty:

— Myślałam, że będziesz mnie żałował— że mnie przygarniesz do siebie.

Puścił jej ręce — jakiś chłód go ogarnął. To, co mówiła, zaczynało mu się wydawać cynicznem.

— Żałować cię?... ja?...

— Tak cię sądziłam... A zresztą — pomyśl. Co mnie teraz pozostaje? powiedz sam... Chyba tylko wyjazd z matką... rozumiesz — tak jak ona — wesoła zabawa — to tu, to tam— może się ktoś złapie a nie, to i tak życie wcale się przyjemnie przedstawia... Matka się tem zbytnio nie zmartwiła. Ona nawet woli, bo tak to już... A zresztą — nie wiem — och! w głowie mi się mąci...

Wysunęła rękę, szukając jego dłoni.

— Tak cierpię, tak się tem wszystkiem męczę...

Lecz on nie ujął jej ręki. Cofnął się cały w swoje cierpienie i układał je na wyniosłości katafalku.

Milczał i patrzył jak powoli jej ręka opadała na biel pościeli.

Wiśka otworzyła raz jeszcze oczy i spojrzała na niego dziwnie, przenikliwie.

— Nie powiesz mi nic? — spytała.

— Uspokój się i zaśnij.

— Nic więcej? — M a m i ś ć w ś w i a t?

Nie odpowiedział jej nic.

Chwilę czekała. Wreszcie westchnęła ciężko i przycisnęła guzik dzwonka.

— Możesz odejść... — wyszeptała zmienionym głosem — zaraz przyjdzie dziewczyna.

Adam wysunął się z pokoju. Gdy zamykał drzwi, szarpnęło się w nim coś, jakby pragnął wrócić. Lecz już tam poza progiem czuł, że ogarnie go ta sama gorycz, żal i wstręt.

— Nie mogę! nie mogę!...

Na wschodach spotkał posługacza, szukającego go wszędzie.

Należało iść zastrzykiwać rekonwalescentom arsicotil — i wydać lysol. — Adam powlókł się do apteczki na wpół zdrętwiały.

IV

Późna noc. Adam snuje się tu i owdzie. Od kilku dni jego kolega dopomaga mu w zajęciach. Wiśka odmówiła wpuszczenia do siebie nowego asystenta. Natomiast jej zwykły lekarz odwiedza ją dwa razy dziennie. Stan jej zdrowia nie poprawia się, i Adam dowiaduje się od gospodyni, że „ta pani odsyła jedzenie prawie nietknięte!"

— Należałoby może wezwać matkę! — mówi gospodyni — gdy jest matka, potrafi w córkę dużo rzeczy wmówić. Ta pani jest zawsze wesoła, energiczna, i młoda pani może się przy niej ożywić.

Adam nie odpowiedział nic, lecz przez umysł przeszło mu:

— Więc mam z matką iść — czy jak.

Usiłował nie myśleć o tej sprawie.

— Co mnie do tego! co mnie do tego, niech idzie z matką — trudno!...

Tego wieczora, gospodyni, podając obu asystentom kolacyę, zawiadomiła Adama:

— Ta starsza pani nagle przyjechała.

— A!... dobrze.

— Jest na górze. Posłałam kolacyę na dwie osoby.

— Dobrze!

— Kto to? — zapytał Barciński, kolega Adama.

— Matka jednej pacyentki.

Tej nocy nie mógł Adam usnąć. Myśl, że baronowa jest przy córce, zaczęła go żreć jakimś dziwnym niepokojem. Gdy wiedział, że Wiśka jest sama, nie pragnął być przy niej— ale coś się w nim jakby układało do jakiegoś spokoju. Zdawało mu się chwilami, że ten stan rzeczy trwa oddawna i trwać tak będzie ciągle. Ona tam po nad nim — blizko, a mimo to oddalona nieprzebytą przestrzenią.

I dlatego Adam błądzi noc całą. Nadsłuchuje pod drzwiami chorych, czasem uchyla te drzwi, dochodzi do łóżka, pochyla się, bada sen — lub z czuwającym zamienia kilka słów cichych. I znów wychodzi, i znów błądzi po wschodach, kurytarzach, zmuszając się do ruchu, do czynności jakiejś, aby nie myśleć, nie zastanawiać się.

Dwukrotnie zachodził już do owej żony krawca, której wyzdrowienie obecnie nie ulega już wątpliwości. — Cieszy się tym razem z nią samą i jej mężem, który ciągle pokorny i grzeczny zjawia się na wschodach co rano, niosąc

jakieś maluchne paczuszki, powiązane okrawkami sukna. Chora po każdej takiej „wizycie“ promienieje radością—cieszy się—pokazuje Adamowi ćwiartki powydzierane z zeszytów i zapisane niewprawnem dziecinnem piórem. I wszędzie „droga mamusiu—cacana mamusiu, jedyna mamusiu“—jak kwiaty zasypują dokoła jej wychudłe, biedne ciało...

— Gdy wrócę, gdy będę już w domu— szepcą blade usta.

. . . .

Dom!...

Kilka ścian, kilka okien zasłoniętych firanką czystą i białą, dzwi dobrze zamknięte— lampa czysto oprawiona, świecąca na stole, jakieś wybladłe fotografie, podłoga pokryta ubogimi dywanikami, wazony prymulek i bożego drzewka w powiązanej sznurkami żardinierce...

I to przekonanie, że nikt obcy, nikt, mający złą myśl i chęć niema prawa wtargnąć tu nagle, tak jak niema prawa wtargnąć tu z wyciem i świstem wicher, burza, śnieg...

Rozpostarte niewidzialne skrzydła czuwają tu na straży. I srebrne dzwonią dziecinne głosy, srebrne dziecięce śmiechy. Czasem jęk, płacz, skarga... Lecz i to utuli cisza domowa, jak płaszcz ciepły i dobrze znany...

Dom!... dom!

Takie drobne, małe — kilka ścian, kilka okien, dobrze zamknięte drzwi, i w tem cały świat.

Dom!

. . . .

To aż drży, aż tętni w słowach kobiety. Gdy wróci do domu, gdy wróci do domu...

. . . .

Rozjaśnia się. Adam wchodzi do sali operacyjnej wystygłej i martwej. Siada na krzesełku pod ścianą i tępo patrzy przed siebie. Pełny jest jeszcze tych słów owej krawcowej. Przed chwilą powiedziała mu:

— Co pan doktor chce. Wy mężczyźni to macie dla siebie cały świat.

Ale my kobiety musimy mieć dom. To dla nas wszystko. Jak która od dziecka nie wie, co to dom — rodzina — niby serce... to pójdzie na Bóg wie co... Nas, kobiety, trzyma w porządku taki dom, choćby najgorszy, najbiedniejszy...

Tak powiedziała krawcowa.

I teraz, gdy Adam siedzi w tej pustej i zimnej sali, przychodzi mu natrętnie myśl, którą chce gwałtem od siebie odegnać.

Wiśka nie miała nigdy — domu.

Bo to, co było tam na wsi, to nie były owe ściany przytulne i ciche, to nie były owe drzwi zamknięte, przez które nie śmie wejść ani burza, ani śnieg — ani to Złe, to Najgorsze...

Bo nie było tam owych skrzydeł, rozpostartych u wnijścia.

A skoro, „która od dziecka nie wie, co to dom, co to rodzina — co to niby S e r c e, to pójdzie na Bóg wie co...“

Adama przeszył dreszcz. Wstrząsnął się cały. Wstał i wyszedł z tej półciemni rzewnej i dziwnej.

— Nerwy mną szarpią... — pomyślał. Nigdy nie doznawał podobnego uczucia.

Siadając do obiadu, zastał już przy stole Barcińskiego, który był ożywiony i wesół.

— Wyobraź sobie... — wyrzekł — kogo spotkałem na wschodach. Tę... tę... no jakże jej. Ach ta słynna baronowa z Rusi — ta, która się tak źle prowadzi. Zapomniałem nazwiska. Ta, co poszła za jakiegoś chłopa i ma taką śliczną córkę, Wiśkę. Zaledwie ją poznałem. — Przefarbowała włosy, roztyła się i wygląda inaczej, ale wcale, wcale. Dawniej miała pozór czarnej charcicy, a teraz bardzo belle femme... Co ona t u robi?

Adam patrzył uparcie w talerz.

— Może kogoś odwiedzała — wybąknął.

— Nie, nie, była bez kapelusza, w szlafroku i szła jak się dowiedziałem do łazienek. Jeżeli będzie się operować, ja zapisuję się na asystenta... pamiętaj!...

Śmiał się cynicznie. Rad z życia, z siebie, ze swej siły, jadł dużo i czuł potrzebę mówienia wszystkiego, co mu przez myśli się przesuwało.

— Ciekaw jestem... — podjął znowu — co słychać z Wiśką. Czy się jeszcze trzyma. Będzie z niej to samo, co i z mamy. Temperament aż bucha. Ma po kim dziedziczyć.

Adam zasłonił oczy. Dotkliwy ból powoli zaczynał zanurzać ostrze w jego piersi.

Barciński podsunął mu półmisek?

— Nie bierzesz risotta? Doskonałe. Z wieprzowiną... po raz pierwszy jem w ten sposób. Wracając do tych pań — czy wiesz, że to byłoby bardzo ciekawe obserwować także córkę. Bo to są okazy patologiczne. Jedna i druga — jednakowo uformowane, złożone i jednakowo temperamentowe...

Adam porwał się od stołu.

— Co tobie?

— Ząb, ząb mnie boli.

— Wyrwij.

— Właśnie tak zrobię. Wychodzę.

— Nie zazdroszczę. — Ja się przedrzymię. — Adam odział się i wybiegł na ulicę.— Słowa Barcińskiego podziałały na niego straszliwie. Zdawało mu się, że ktoś wywłóczy kogoś na plac publiczny, zdziera z niego ostatnią osłonę i chłoszcze, śmiejąc się i krzycząc:

— Temperament! temperament!...

A ten chłostany jęczy i wzdycha. Takie westchnienie Adam już słyszał raz — tam, na górze u Wiśki, gdy rzucił jej słowa:

— „Dałaś dowód twego do mnie przywiązania...“

A Wiśka westchnęła.

Nad wieczorem powrócił do Sanatoryum.

Spotkał się z Barcińskim przy kawie.

— Wiesz, poznałem się z baronową. Stała na kurytarzu, na drugiem piętrze. Gdy przechodziłem poprosiła mnie o trochę fenacetyny. Dałem jej cofeiny. — Przedstawiłem się. Jest wściekle miła i wesoła. Ma śliczne zęby, tylko trochę szyja już tego... Ale jeszcze, jeszcze.— Patrzy... no... Nie pytałem jej, co robi, ale mnie się zdaje, że ona chyba mieszka w tym pokoju, do którego mnie nie chciano wpuścić:

Tylko dlaczego teraz się nie kryje i stoi sobie swobodnie na wschodach.

To ciekawe.

Adam w tej chwili postanowił pozbyć się od jutra Barcińskiego. Czuł, że baronowa, nudząc się w Sanatoryum, nie odwróci się od chwilowego flirtu z tym cynicznym i przystojnym chłopcem.

— Proszę cię — wyrzekł, nie patrząc na Barcińskiego — ażebyś zechciał szanować tutejsze tajemnice.

Barciński parsknął śmiechem.

— Ładne tajemnice, co po kurytarzach ludziom na szyję włażą.

— Och!... och!... na szyję.

— A żebyś wiedział. Cóż ty myślisz, że ja się nie znam na kobiecych awansach. Nie

każdy taka niańka, jak ty. Ja żebym był na twojem miejscu, to żyłbym tu, zupełnie inaczej... Śmiejąc się wstał od stołu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Adam oparł ciężko głowę na rękach splecionycn. Znów mu się zdawało, że ktoś smagany — wzdycha ciężko. W pierwszej chwili czuł tylko ból swego serca, lecz powoli rozróżniał, że jeszcze i drugi straszniejszy ból nim wstrząsa i przenika go jeszcze dotkliwiej. Ból cudzy, ból... drugiej istoty a przecież niby jego własny. I tak blizki sercu, że rozróżnienie to jest prawie identyfikacyą.

Wszakże ta druga istota to — ona. Wiśka!

A więc tak blizka mu, że prawie jakby z nim zrosła. Więc — pomimo tego, że mówił sobie, iż mu jest daleką — że nic już go z nią nie wiąże — to przecież, przecież jest między nimi tajemna, wielka spójnia.

Pomimo wszystko!...

I znów zapada noc. Drzwi skrzypnęły. Wchodzi gospodyni. Żąda jakichś informacyi, co do dyety niektórych pacyentów. Prawie wszyscy proszą o więcej jedzenia. Wstawia się za nimi. Adam otrząsa się całą siłą woli i wdaje się z tą kobietą w dyskusyę. Tu— dorzuca na jutro winną polewkę, tam przykróca mięso, owdzie dozwala tylko kleik.

— Pani na drugiem piętrze już zaczęła jeść!... — odzywa się nagle gospodyni — wczoraj

sama zażądała mięsa i polewki. Mówiłam, że, gdy matka przyjedzie, wszystko będzie inaczej. Byłam tam dziś rano, lepiej już wygląda, ubrana. Matka ją uczesała — jutro mają wyjść na miasto. Nie będą jadły u nas, matka mówiła, że jeść będą w restauracyi... Adam skinął ręką.

— Dobrze... już może pani odejść.

— Dobranoc panu asystentowi.

— Dobranoc.

Adam pozostał sam. Zakłębiło mu się pod czaszką. Wiśka ma jutro wyjść z matką: wraca do świata, do dawnego życia i wraca razem z matką. W zgodzie, w harmonii, uczesana, przystrojona pójdzie obok tamtej, żywiołowa i pełna temperamentu. Mężczyźni, tacy jak Barcińscy, zaczną się za nią oglądać i będą mówić do siebie:

— Ma po kim dziedziczyć...

— Ma po kim dziedziczyć...

Pójdzie do restauracyi na obiad, potem wyszedłszy już zupełnie z Sanatoryum, mieszkać będzie w hotelach lub w „domu“, który nie jest domem a hotelem. I dusza jej będzie mieszkać także w takim hotelu i nie będzie miała dokąd się schronić, i nie będzie miała drzwi, które ją odgrodzą od zła, od najgorszego — bo te drzwi były wyrwane już w dzieciństwie tej duszy, lub nigdy ich nie było — nigdy.

I śniegi, wichry, burze, pogardy, szyderstwa, cynizmy wpadać będą, wyć, smagać, mrozić, zabijać... szarpać...

Nieszczęśliwa...

. . . .

Adam podniósł głowę, ręce do piersi przycisnął.

— Nieszczęśliwa! — krzyknęło w nim, jakby strasznym głosem, jękiem z głębi jego najgłębszych uczuć. Przedarło się to jakby przez całe pokłady zimnego kamienia, który pokrył jego właściwe uczucia względem tej kobiety. Gdy miała stanąć oko w oko z rzeczywistością, i on stanął oko w oko z prawdą swej duszy.

. . . .

V

Maleńka lampeczka migoce. Obrazek Matki Bożej nad łóżkiem, do ściany lakierowanej maleńkim gwoździkiem przyczepiony błyska leciuchno złocistem tłem.

W pokoiku, gdzie leży krawcowa — ciepło i cicho. Zaledwie z poza ściany, jakby ktoś trącał lekko harfą oddaloną, jakiś monotonny dolatuje jęk kobiecy. — To jest wszystko.— Krawcowa leży, nie śpi. Szeroko otwartemi oczami wpatruje się w przestrzeń. Myśli, medytuje, ile to ją roboty czeka, gdy do domu wróci. Pończochy dzieci musiały zupełnie podrzeć, rozpoczęte prasowanie prześcieradeł przerwało jej pójście na operacyę — trzeba będzie zakrzątnąć się koło prania, dzieci pokąpać, doprowadzić do ładu.

A dom, a podłogi, a meble. Boże miły! jak to wszystko musi bez niej wyglądać!

Dziś by ptakiem leciała do swoich, a jeszcze co najmniej dwa tygodnie musi tak leżeć

bez ruchu i jeść co dwie godziny, jakby jaka dama.

Westchnęła ciężko. Ile to kosztuje! Boże!... ten mężysko duszę ściąga i na nią łoży.

Cicho drzwi się uchylają.

Wsuwa się Adam.

— Pani znów nie śpi?

Łagodna twarz chorej uśmiechem się rozjaśnia.

— Nie mogę, panie doktorze.

— Pani znów się kłopoce, pani znów myśli o... domu.

— A o czem-że mam myśleć, panie doktorze! Adam bierze krzesło i siada przy chorej. Jest tak wzburzony, tak udręczony, że chce się uspokoić przy tej prostej, serdecznej duszy. Lubi z nią rozmawiać. Jest to k o b i e t a prymitywna, niczem nie zepsuta, mówiąca jasno, otwarcie i szczerze, a pełna tej wieczystej kobiecości, która stwarza dokoła niej jakąś jakby smugę wdzięczną i uspokajającą.

Adam odczuwa, że ta kobieta kocha dobrze i prawdziwie, i jest tak samo dobrze i prawdziwie kochaną.

I jest mu tak, jakby on błądził w jakimś labiryncie i wyczerpany patrzył zdala na kogoś, kto idzie prostą i właściwą drogą.

— Pani pozwoli — posiedzę przy pani.

Kobieta aż składa ręce.

— Ach panie doktorze! czy ja pozwolę! Ależ to pan mi wyświadcza łaskę. Taka długa

noc i choć jest o czem myśleć, lecz wreszcie i te myśli trochę umęczą. Potem pan tak dobrze ze mną rozmawia, a ja... no cóż począć — jak każda baba muszę się wygadać. Zresztą to każdy człowiek chyba musi opowiedzieć, co mu dolega. Czy pan wielki, czy biedak. A może i nie... Może kształceni państwo to chowają w sobie troski i kłopoty... Bo i oni mają swoje mole co ich gryzą...

Uniosła się trochę na łóżku. Blada jej twarz delikatnie oświetlona miła była i pełna kobiecego wdzięku.

— Ja myślę, że mały człowiek ma małe troski, a wielki człowiek — wielkie troski. Jak pan myśli?

— Sądzę, że to zależy od wrażliwości czującego.

— No tak. I dlatego kształceni państwo czują chyba swoje troski jeszcze głębiej niż prosty człowiek. Nas byle co pocieszy. A dla was to ciężko o pociechę. Jedna rzecz to już chyba się zupełnie jednako czuje. To — co się odnosi do swoich dzieci. Jednako matki nad dziećmi cieszą się i płaczą. Co?

— Prawda.

— A widzi pan. To już serce prawdziwie czuje s a m o i nauczyć tego żadne szkoły nie potrafią... Ot ja. Kocham mój drobiazg tak, że żadna hrabina swoje więcej kochać nie może. Bo już się więcej miłości nie zmieści. Chciałabym, żeby im nie tylko dobrze

i uczciwie było na świecie. I tak je już otulam sobą i tak je od małego prowadzę w bojaźni Boga i w tem, żeby głównie mnie kochały i słuchały. A nigdy nie biję. Bo po co? Trzeba, żeby sobie w życiu matkę przypomniały jako bardzo dobrą i bardzo miłą, a nie jakąś tam taką, co bije.

Umilkła na chwilę — oczy jej zaszły jakby mgłą wspomnienia.

— Bo to... — rzucała znowu, a głos jej brzmiał trochę ciszej i smutniej — dla dziewcząt zwłaszcza to dobrze, jak sobie umieją przypomnieć matkę w jakich złych chwilach. To je strzeże czasem lepiej, niż Anioły stróże. — Dobrą matkę, pan rozumie. Jak nic nie ustrzeże, to taka myśl ustrzeże. Widzi pan... ja coś o tem wiem. Ja jestem taka bez matki, od Sióstr mnie znaleźli i oddali z policyi do Sióstr. To też dlatego dużo się złego ze mną w życiu stało.

Umilkła i cicho dodała, osunąwszy się na poduszki.

— Nie miało mnie co strzedz.

Zapanowało milczenie.

Adam patrzył na leżącą i ogarniało go wielkie zdziwienie. Jakto? więc i z tą cichą i pokorną działy się rzeczy złe? Czy i tu stały się rzeczy nieodwołalne i najgorsze? A ona westchnąwszy — mówić dalej zaczęła, patrząc ciągle szklannemi oczami w przestrzeń.

— Panowie młodzi, co za biednemi, samotnemi dziewczętami biegają, to nawet nie wiedzą, jak to trudno takiej dziewczynie przed nimi się ustrzedz... Cóż? młodość aż ciągnie. Czasem ciekawość, a czasem to jak się jest tak samą, rozpacz chwyci, i choć aby na chwilę mieć kogoś, co da dobre słowo, pogłaszcze, niby będzie blizki. Ja przynajmniej dlatego. Jak przyszła niedziela, to mało się człowiek nie skręcił. Aż wyło coś, tak było smutno... No, więc szło się tam, gdzie ktoś czekał, pogadał — i zjeść dał... Tak, tak. Zresztą o jedzenie, to już mniejsza, ale o to dobre słowo. A że panowie zawsze coś za coś — a więc trzeba było... no i tak przez to, że się miało smutek w sercu, to człowiek popadł i w hańbę i w zło.

Przycisnęła rękę do piersi i dodała z uczuciem głębokiej szczerości.

— A jak Boga kocham, to nie była nieraz moja wina!

Adam słuchał mówiącej i przed oczyma jego snuł się samotny dwór na równi, opuszczony, opluty przez wszystkich, i noce długie, podczas których wicher jęczy — i wieczory rozpaczliwe, szelestem zmarzłej jarzębiny przerywane...

A dokoła duszy młodej, dziewczęcej — nic, nic. Tragiczność pustki — zwątpienie, gorycz, niezasłużone odtrącenie, parya bezdomna, nic więcej... nic więcej...

I pokusa, narzucenie się z dobrem słowem w chwili, gdy aż coś wyje z tęsknoty za kimś żyjącym obok...

A tu — niema komu strzedz!

Nawet wspomnienia dobrej, kochanej matki.

Nic.

. . . .

— „Potem to źli ludzie kamieniem ciskają — mówi znów chora — „lecz niech no oni takie niedziele przejdą", to zrozumieją, że dziewczynie, co to jak dziecko spracowane i takie przytulne — ciężko i gorzko być tak samej jednej. — Potem — huzia na nią! Kamienie, wydrwinki...

Bóg jednak przebaczył...

Łzy jej zaszkliły oczy.

— I zesłał mi takiego męża!

Zasłoniła oczy ręką i tak pozostała.

Adam pochylił się ku niej.

— Pani mąż wiedział?

— Pewnie. Powiedziałam mu wszystko.

— A on?...

— On, zrozumiał i przebaczył!

. . . .

I znów milczenie.

A Adamowi zdaje się, że słyszy bicie własnego serca, tak się w nim zaczyna rozbudzać to serce, które, z chwilą ujrzenia Wiśki,

zastygło w martwocie rozpaczliwej. Jakieś dzwony w oddali biją lekko na Ave. — Coś majaczy niby świt ciepły, i w budzący się ptaszęcy świergot bogaty.

— Proszę pana! — słychać głos kobiety, głos drżący od wzruszenia i łez — czy on nie lepiej zrobił, że wszystko zrozumiał i wziął mnie na resztę życia. Wypłakałam to przed nim, wypłakałam, powiadam panu tak, że już zdawało się, że z żałości skonam. — Bo to było najgorsze, że on myślał, że mnie poznał, że ja jestem uczciwa dziewczyna, i strasznie mnie pokochał. Ja wtedy dopiero zrozumiałam, w jakie ja wpadłam nieszczęście. A ja także go pokochałam. Więc nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam ukryć przed nim, ale nie mogłam. Ja go zanadto kochałam, aby go w czem oszukać. A potem myślę — przed kim-że się użalę i uskarżę, jak nie przed takim, który naprawdę kocha...

Ach! teraz w Adamie budzi się cały tłum myśli. Te słowa, on je usłyszał z ust — Wiśki, mówione do siebie.

— Przed kim się uskarżę, użalę, jeśli nie przed tobą, który mnie kochasz...

. . . .

Kobiety... kobiety!

Tysiące, miliony was, a przecież tylko j e d n a...

. . . .

— Więc powiedziałam mu wszystko. Nie patrzyłam na niego, bo się bałam, że się zabierze i pójdzie. Ale on — och! to święty, taki dobry człowiek, on siedział, i tylko długo nic nie mówił. Ja czekam... jak na śmierć, a on milczy. Więc ja do niego podchodzę, a on— panie doktorze — on płacze! Łzy mu tak po twarzy ciekły, jak groch, i mówi. — Jakaś ty musiała być biedna! — Tak powiedział i ręce do mnie wyciąga. Panie doktorze!... ja mu do nóg lecę, a on mnie chwyta i mówi — to nic, to nic... teraz cię już nie opuszczę, bo znów będziesz marnieć, niebogo, taka samiutka na świecie...

Łkanie tamuje głos chorej. Adam nie śmie jej przerwać, nie śmie nakazać jej milczenia. Rozkołysały mu się w sercu dzwony na Ave... Ten biedak prosty zrozumiał...

— I ożenił się ze mną. Ożenił!... Boże, ten dzień, jakeśmy się żenili! Deszcz, śnieg a ja jakby na świat przyszła, jakby dopiero wiedziała, co dzień, co życie. Po rękach go całuję, on się nie daje, za co? Przecież, żeby mnie rzucił, jak inni, to byłabym dalej tak leciała na marne i szukała, żeby choć na chwilę ktoś był mój, choć na niby. Ja panu doktorowi powiedziałam kiedyś, że kobieta musi mieć dom — bo inaczej, pójdzie na Bóg wie co.

Jakby zwierzęciu nie dać gniazda... kiedy je Bóg do gniazda stworzył.

Co?...

Adamowi teraz jasno — ach jak jasno na duszy. Ten głos cichy, drżący, łzami wezbrany i wdzięcznością, wiedzie go na drogę prostą, na drogę prawdziwej, wielkiej miłości. Tak, tak. Należy zrozumieć, odczuć, że ten ptak wygnany szuka gniazda, że z tragiczną rozpaczą rozbija swe skrzydła o tafle szkła, poza któremi świecą sztuczne światła, i choć wie, że to nie jest „dom“ — że to tylko „gospoda“ — upada przed progiem i zranione swe skrzydła zwija w chwilowem omdleniu...

— Stworzona do gniazda, do gniazda...

Błyskawicą miga mu myśl — dawałem jej gniazdo, wtedy — chciałem się z nią żenić.

Nie chciała!...

Lecz już biją dzwony hymnem tłumaczenia.

— Dlatego, że cię kochała, lękała się — chciała się wyprobować — twoją rzeczą było otulić ją ciepłem, rozwinąć w niej serce — stworzyć jej gniazdo nie przygodne, ale gniazdo, które byłoby jej domem... I sama byłaby się prosiła, aby w niem pozostać mogła do śmierci...

Adam powstaje z krzesła. Czuje, że chce, że musi pozostać sam i dalej badać się, dalej pozwalać rozświetlać się dokoła swej duszy błękitom i jasnościom porannym.

Kobieta leży cicha i nieruchoma. — Ręce jej jakby zanurzone w drobne ćwiartki, pokreślone dziecięcem pismem, które jakby kwiaty na łóżko jej opadły.

— Droga mamusiu, jedyna mamunieczko...

Usta blade uśmiechają się, jak do przenajsłodszych wizyi. Jej świat okolił ją — świat jej gniazda, jej domu...

Adam cichutko wysuwa się z pokoju.

Pozostawia tę kobietę ze swoimi.

. . . .

Otwiera drzwi sali operacyjnej i tam wchodzi w samotność i cień.

Gdy się znajduje tak sam, uczucie jakie ogarnęło go tam — u łoża chorej potęguje się i wzrasta. Dokoła niego ciemność zupełna, a przecież otacza go jakby błękit pełen spokoju i słodyczy. — To straszne wrażenie wstrętu, goryczy — które dławiło go aż do tej chwili, znika zupełnie. I to, co było podstawą jego istoty, ta bezmierna dobroć i odczucie cierpienia, tryumfalnie powraca, biorąc go w swoje posiadanie. Widzi się egoistą, widzi, jak swoje własne cierpienie stawiał na ołtarzu adoracyi, jak myślał tylko o tem, co o n przechodzi, a nie baczył, że tam, obok wije się jak zdeptany robak drugi ból, nad którym los pastwi się od dawnych chwil.

— Sama była, sama — oplwana, wzgardzona, odepchnięta. Zwątpiła w siebie, w życie, w dobro — we wszystko. Musiało tak być. Nie miała domu, nie miała matki, nie miała wspomnień... nic...

I nagle ogarnął go szalony żal. Wzruszenie targnęło się w nim całym huraganem i kłębiło się burzą uczucia.

— Wiśka, moja Wiśkal...

Ręce podniósł do góry, ku niej — jak tamten, który ręce wyciągał ku tej, co mu kornie do stóp się kłoniła. Lecz to on — do jej stóp kornie się kłonił, prosząc ją o przebaczenie za to, że nie zrozumiał, za to, że chciał ją, tulącą się do niego — odepchnąć i rzucić w świat, aby zmarniała jak ptak, jak taki ptak bez gniazda... bez domu.

— Wiśka! moja Wiśkal...

Stworzy jej ten dom — cichy — biedny. Cztery ściany — drzwi dobrze zamknięte i — stanie sam u tych drzwi na straży, jakby skrzydłami rozpostartemi tak bronić będzie ją od tego, co jest złe, co czycha na samotne i bezbronne.

— I ja zrozumiałem, i ja... — woła w ciemni. A dokoła dzwony biją na Ave.

Tryumfalne dobroci najwyższej dzwony.

I białe Cherubiny wieją skrzydłami, jakby palmy srebrne rozkołysały się w słoneczny dzień Zmartwychwstania.

Rozgorzało serce dobrego człowieka i świeci jak wielkie, niezgaszone niczem słońce.

I oświetla szeroką, prostą drogę.

Drogę prawdziwej, wielkiej miłości.

VI

Nadszedł dzień. Powoli pełza, powoli wstaje. Nie błękitem, nie jasnością. Szary, niewyraźny.

W Sanatoryum budzi się życie. Znów dwie operacye. — Dyrektor powrócił. Adam słyszał jak szedł do swoich pokoi. — Mówił przytłumionym głosem. Ale już powstawali wszyscy. Służba się kręci, chodzi po chorych — nosi wodę, śniadanie. Tym, którzy wracają do życia śpieszno powitać dzień.

Adam wpada znów w wir codziennych zajęć. Barciński odchodzi — więc jest trochę do załatwienia z chorymi. Następnie należy zdać relacyę dyrektorowi, przygotować salę i towarzyszyć dyrektorowi podczas jego wizyt u chorych. Ta codzienność poszarza trochę błękit i jasność, które owiały duszę Adama tej nocy. Przytem jakiś lęk, jakaś niepewność zaczyna go ogarniać. — Jak ją zobaczyć — myśli, jak z nią mówić?

Kilkakrotnie pragnął choćby snuć się pod jej drzwiami, lecz nie śmie. Wstrzymuje się u stóp wschodów. Gdyby była sama — kto wie — wbiegłby i wyciągnął ku niej ręce nie mówiąc ani słowa. Tak byłoby najprościej. Ona odczułaby także, że on wreszcie zrozumiał i przychodzi zabrać ją na resztę życia wraz z jej bólem, cierpieniem i łzami. Lecz Wiśka nie jest sama. Tam jest jej matka a ta kobieta mimo wszystko dla Adama pozostaje niezrozumianą. Dla niej nie ma w jego sercu nic. I ona teraz jak nieprzebyta przeszkoda stoi pomiędzy nim i Wiśką.

O godzinie jedenastej przed Sanatoryum zajeżdża fiakier na „gumach". — Sprowadzony przez posługacza czeka rozwalony na koźle. Ten fiakier ma w sobie bezczelność zwykłego woźnicy paniczów i kokotek. Adam przechodząc mimo okna widzi czekającą przed domem dorożkę.

— Dla kogo to? — pyta portyera.

— Dla tych pań z drugiego piętra.

— Al...

Adam zwraca się ku wschodom i chce iść do sali operacyjnej. Boli go dziwnie myśl, że Wiśka jechać będzie tą kokocką dorożką w towarzystwie swej matki po mieście.

— Moja wina — myśli — gdybym wtedy ją wysłuchał, nie odtrącił...

I nagle postanawia napisać do niej, że pragnie ją widzieć zaraz choć na chwilę jedną.

Wyjmuje z poza fartucha swój notatnik, wyrywa kartkę i wsparty na poręczy — pisze.

„Muszę cię widzieć samą, muszę koniecznie."

Chce coś dodać, coś pochodzącego z samej głębi rozbudzonego serca i pragnie napisać:

„Przebaczyłem!"

A ręka pisze sama:

„Przebacz!"

. . . .

Wchodzi do saloniku aby z leżącej tam zawsze teczki wziąć kopertę. Ręce mu drżą. Chciałby płakać i śmiać się równocześnie. Zobaczy ją za chwilę — da jej dom swego serca i ukryje ją w nim na życie całe.

Dom swego serca!

Wychodzi znów na wschody aby przez portyera wysłać list na górę. Lecz nie doszedł jeszcze do loży, kiedy jakiś szum rozlega się na wschodach.

Od góry, z wyżyny jakby jakieś ptaki spadały powoli.

Rozpostarły zwiewne złociste skrzydła, ważą się jeszcze w powietrzu, ważą i opadają na ziemię piękne i do żeru gotowe.

I zanim Adam podniósł głowę w górę— wiedział już, że to opadają ku niemu przedziwne piękna kobiecego ciała, że to zwiewają

na skrzydłach szat szumiących one o b i e — które mają włosy zbyt czarne, twarze trójkątne blade i dziwne, twarze lunatyczek i ręce zagięte gestem posiadania.

Skurcz serca dopowiedział mu reszty. To szła Wiśka i jej matka.

Portyer poskoczył ku nim i zgięty w pół otwierał drzwi. Za niemi szła pokojówka niosąc pled. Pierwsza szła baronowa dziwnie szczupło wyglądająca w młodem bolero ze skóry foki, przybranem gronostajami. Całe masy fijołków i róż Malmaison stroiły jej głowę. Stawiała nogi kształtnie i prosto. Dokoła pasa dzwoniły breloki. Była dumna i pewna siebie.

Za nią trzymając się poręczy szła Wiśka. Odziana w długie okrycie skunksowe matki w jej tok strojny spięciem brylantowem i długiem pękiem piór rajskiego ptaka — była prawie nie do poznania, tak ten modny, przepyszny strój zmieniał ją zupełnie. Tylko bladość jej twarzy akcentowała się jeszcze silniej i coś z głębi duszy zanadto w olbrzymich czarnych źrenicach.

Szły wolno i szum jedwabnych spódnic miał coraz więcej podobieństwa do szumu złowrogiego fal, które ludzkie dobro zagarniać pragną.

Adam przez jedno mgnienie oka chciał uciec, ukryć się gdzieś przed tem spotkaniem.

Jedno spojrzenie wystarczyło aby zrozumiał, że ta Wiśka, która szła ku niemu powiewając płomieniem rajera, to nie ta kobieta spłakana i zdręczona, którą chciał porwać w swe objęcia i do domu swego serca wprowadzić. Tak była wyniosła, strojna, dumna — tak stała od niego daleko, wysoko, że cofnął się w głąb siebie i stał prawie zmartwiały z zaciśniętem listem w ręku.

A ona — przesunęła się koło niego bez jednego gestu. Ani on, ani ona nie zamienili ukłonu. Tylko ona spojrzała mu w źrenicę, jedną chwilę a taka bezdeń smutku, taka tragedya wionęła ku niemu z tych czarnych oczów — że serce w niem zamarło.

— Passer devant! — odezwała się matka, usuwając się jej we drzwiach.

Wiśka przeszła i Adam, który biegł za nią wzrokiem, widział na jasnem tle przestrzeni jej pochyloną głowę, z której spływały płomienne pióra.

Widział następnie przez wielkie tafle szyb jak obie damy wsiadły do dorożki, jak cynicznie uśmiechnięty fiakier dość poufale powitał baronową, jak otulone pledem wtuliły się w poduszki powozu.

Poczem fiakier ostrożnie, po wiedeńsku zebrał lejce aby nie spłoszyć swych jukierów i z głuchym turkotem całe widzenie znikło...

. . . .

Adamowi zdawało się, że mu ktoś po sercu przejechał.

. . . .

Do późnej nocy Adam pilnował powrotu Wiśki.

Lecz baronowa z córką nie wracały.

— Poszły do teatru, wrócą później...

Siedział w saloniku i nadsłuchiwał turkotu. Ciągle był spłoszony i strwożony. Wiedział, że Wiśka nigdy niemal nie pokazywała się publicznie z matką. To wyjście jej w dzień biały, ten strój, ta jazda na „gumach" — były to rzeczy niezwyczajne, wbrew zasadom dziewczyny.

— Baronowa nadużywa sytuacyi — myślał Adam — i ogarniał go rozpaczliwy gniew, że się tak stało.

— Ile Wiśka cierpieć musi...

Wybiła dwunasta. Lampa, w której brakło nafty gasła. Adam nie chciał poruszyć się aby zapalić stojące na biurku świece.

— Gdzie one są do tej chwili... — myślał. I noc powoli mijała.

A wiśka nie wracała.

. . . .

Na drugi dzień rano — Adam zapytał portyera czy te damy z góry nie wróciły. Sądził, że może nadjechały wtedy, gdy był u kogoś

z pacyentów. Lecz — nie wróciły wcale. Przechodząc koło drzwi pokoju zajmowanego przez Wiśkę dostrzegł, iż robiono w nim porządek a rzeczy, kuferki, nesesery stały na dawnych miejscach, to go trochę uspokoiło.

— Wrócą, lada chwila wrócą...

Zaczął chodzić do chorych — lecz gdziekolwiek się obrócił smutne — dziwne spojrzenie wlokło się za nim, przed nim i zasłaniało mu wszystko.

— Ach! jaka ona smutna!...

I ogarniało go szalone pragnienie aby ten smutek wypić z jej oczów jak truciznę, która ją trawiła.

— Wezmę go w siebie, niech mnie nęka — lecz niech ona uśmiechnie się choć na chwilę jedną.

Egzaltacya go teraz rwała ku niej. Tęsknota szarpała nim szalenie.

— Ach! gdyby tylko wróciła...

Lecz Wiśka nie wracała.

Nad wieczorem nadszedł Barciński aby zabrać swe drobiazgi i obliczyć się z dyrektorem.

Zaraz na wstępie, przywitawszy się z Adamem śmiać się zaczął.

— Wiesz, teraz już domyślam się, kto była owa tajemnicza pacyentka na drugim piętrze.

Adamowi tchu zabrakło.

— Jeżeli się domyślasz, zachowaj ten domysł dla siebie — odparł twardo.

— Czegóż się rzucasz. Mówię to do ciebie. Trąbić przecież na rynku nie będę. Ale wczoraj, gdy zobaczyłem matkę i córkę, od razu się domyśliłem całej prawdy. — No... no... Ciekaw jestem z kim. A szelma piękna.

Stara przewiduję chwilę, kiedy dla niej samej nikt się już nie zbliży — więc dlatego zaczyna włóczyć ze sobą córkę. Przypatrywaliśmy się pannie długo w restauracyi. Były w Imperialu — miały stolik obok naszego. Jadły kolacyę. — Z niemi było dwóch facetów. Jeden jakiś przystojny obywatelczuk, coś nowego — a drugi znany wyciruch — ten łysy... no... Toczyski.

— A...

— Znasz go? Ja nie. Był z temi paniami bardzo poufale. Wiśka była trochę nie swoja ale pod koniec kolacyi ożywiła się i coś jakby śmiała się do obywatelczuka. Potem siadły na gumy i ci panowie i pojechali na spacer. Stoją w hotelu, w Imperialu.

— Skąd wiesz?

— Pytałem się wychodząc. — Tam zamówiły apartamenta na parę dni...

Pokręcił się chwilę po pokoju i wreszcie wyrzekł:

— Pójdę do starego. Czy jest u siebie?

— Jest — w kancelaryi.

Gdy Barciński wyszedł, Adam długą chwilę siedział jak oszołomiony.

— Z Toczyskim — razem z Toczyskim...— myślał. — Co począć teraz? — Coraz bardziej oddalały się od niego. Jak jej list doręczyć?— jak się z nią zobaczyć?

Ze wschodów znoszono jakieś rzeczy. Przeczuciem wiedziony Adam uchylił drzwi. Ujrzał ekspresów wynoszących kuferki i drobiazgi Wiśki. Poznał jasną skórę neseserów, cyfry, pled srebrno-szary.

Zdawało mu się, że zrywa się ostatnia łącząca go z nią nitka.

— Muszę przecież z nią mówić... muszę— nie dam jej na zagładę.

Lecz gorączka go spalała. Nie miał sił. Miął ciągle w ręku list i nie posyłał go.

Kilka dni przeszło w tej niepewności i oczekiwaniu. Adam ciągle układał listy jakie pośle do Wiśki i gdy siadał, aby je napisać, nie mógł sformułować ani jednej litery. Kilkakrotnie wyszedł na ulicę z gorączkową myślą, że spotka baronównę i powie jej choćby słów kilka, które wszystko naprawią. Lecz gdy się zbliżał do hotelu, w którym ona wraz z matką mieszkała— cofał się i uciekał z bijącem sercem jakby popełnił jakiś czyn zły, z którym kryć się musi.

Raz jeden zdawało mu się, że w świetle elektrycznych lamp dostrzega pióro jej kapelusza.

Doznał jakby uderzenia maczugą i oddalił się czemprędzej w przeciwną stronę.

— Boję się jej teraz... — pomyślał na wpół przytomny, wlokąc się do domu.

. . . .

Wreszcie zdobył się na napisanie listu.

„Wiśko — pisał pomiędzy innemi słowami — wróć do mnie, czekam na ciebie. Daruj mi, że kazałem ci czekać. Nie odrazu bowiem wydobywa się to, co jest w człowieku najlepsze. Zobacz się ze mną chwilę jedną. Powiem ci wiele i ty wypłaczesz we mnie cały ból i cierpienie swoje. Nie puszczę cię z niemi w świat. To straszni doradcy. I zamknę cię w ramionach swoich biednych, które ci nic nie niosą— ale które są dość silne, aby uchronić cię nadal od tego, co daje zło i nieszczęście. Przyjdź— czekać cię będę tam, gdzie po raz pierwszy widziałem cię w życiu. W zaułku ciemnym i smutnym. Tam byłaś ty i dwa cienie twoje...“

List ten napisał. Zawołał posługacza i późnym wieczorem posłał. Zaledwie zdołał wyrwać ze siebie to postanowienie.

A teraz — czekał.

. . . .

I nigdy mu tak drogą, tak piękną, tak kochaną, i tak biedną nie była jak w chwili tego oczekiwania.

Ach! rajski ptak z po za złotych krat— zuch dziewczyna Fra Filippo — dziewczyna

o śnieżności lilij — owiana wdziękiem dziewczyna, która nie wiedziała co złe, co to najgorsze.

Ach!... kasztelanka z pod szumiących groźnie drzew, wlokąca swe zielone wełny, smukła i poważna, idąca w równię na której czuwają szare krzyże. Anioły z rozpostartemi skrzydły.

. . . .

Do prawie ciemnego pokoju wsuwa się posługacz. Wyciąga rękę. Trzyma w niej list.

— Proszę pana asystenta...

Jeszcze nie skończył a Adam ma w swej piersi odczucie katastrofy.

— Te panie wyjechały wczoraj za granicę. Tak powiedział portyer w hotelu.

— Dobrze.

— Tu jest panowy list.

— Połóż.

— Dobranoc.

. . . .

Ach! dobranoc...

Adam usiadł przy stole i zacisnął rękę na liście.

I tak martwieje w ciszy i ciemni. Nie umie się żalić, nie umie cierpieć.

Ogarnął go lód, pustka. Wie, że Wiśka teraz dla niego nazawsze stracona.

Rajski ptak rozwiewa się w mgłę.
I — zapada w mrok.
A dom serca, który czekał nań, okrywa lód i cień...

KONIEC.